STYCZEŃ 1931

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM VII

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, LIPOWA 4a, TEL. 610-36.

STYCZEŃ 1931

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ



TOM VII

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, LIPOWA 4a, TEL. 610-36.



Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, Szpitalna 1, tel. 649-04.

TREŚĆ:

ŻELAZNA EPOKA.

NA TLE ŻYCZEŃ NOWOROCZNYCH.

Na wstępie Nowego Roku składa Redakcja „Naszej Przyszłości“ Szanownym Autorom, Prenumeratorom i Sympatykom pisma najszczersze życzenia. A jako redakcja pisma politycznego, składa je także całemu krajowi. Nasze życzenia zaś zmierzają przedewszystkiem do jednej, wielce pożądanej zmiany:

aby wszyscy obywatele państwa mogli przestać wzdychać potajemnie do „dawnych dobrych czasów“, a natomiast z dumą i zadowoleniem mogli zażywać nowych dobrych czasów w niepodległej Ojczyźnie!

Prawda, Szanowny Czytelniku, że wypowiedzieliśmy głośno Twoje najskrytsze pragnienie?

Ale jak spełnić to pragnienie w tak ciężkich warunkach, w jakich żyjemy? Oczywiście nie trzeba żądać ideału, ale w pewnej — i to może nawet znacznej — mierze można osiągnąć każdy realny cel życia i pracy, jeżeli się go... mocno pragnie!

Bo mocno chcieć, to znaczy osiągnąć.

Ale mocno chcieć, to znaczy także uzbroić się w żelazną wolę i kruszyć przed sobą przeszkody, łamiąc przedewszystkiem własne słabostki, nawyczki, przesądy, strachy i upory. Lawirowaniem, mędrkowaniem, kunktatorstwem, niezdecydowaniem i wyczekiwaniem celu się nie osiągnie. Nie dopnie lepszych warunków bytu naród, świeżo z niewoli wyzwolony, zewsząd zagrożony, demagogją ustawodawczą i ostrym kryzysem gospodarczym ciężko dotknięty, jeżeli wobec tych wszystkich trudności okaże... miękkość galarety.

Bo takie warunki twardych i dzielnych wymagają ludzi, a przedewszystkiem trzeźwo myślących. Trzeba zdać sobie sprawę, co kiedyś najniezawodniej potwierdzi historja, iż żelazną przeżywamy epokę zmartwychwstania i konsolidacji — a taka epoka żelaznych wymaga ludzi!

Młodociana, życiowo niedoświadczona i uczuciowo, romantycznie nastrojona Polska postawiła sobie odrazu — pod obcym wpływem — za główny swój cel: demokrację. Nie było jeszcze ani wojska, ani pieniędzy, ani ustalonego rządu, ani nawet ustalonych granic i jedności państwowej, ale była już demokracja — i to bardzo radykalna, najpostępowsza na świecie. Niech się wszystko w gruzy rozleci, byle tylko Polska przelicytowała każdy nowy koncept romantycznego, czy nawet rewolucyjnego demokratyzmu na świecie! Wszak swego czasu siliła się nasza prasa nawet na tłomaczenie Sowietom, że Polska jest daleko bardziej postępową w demokratyzacji!

Romantyzm, karygodna lekkomyślność, dzieciństwo! Bo wszak demokracja istnieje już u nas od prawie czterystu lat, najszersza, anarchiczna, odstraszająca dla obcych. Nie uchroniła nas od rozbiorów, paraliżując zgóry każdą rozumną reformę. W XVII i XVIII wieku, gdy inne państwa się wzmacniały, myśmy bawili się hucznie w demokrację. Prawda, że zarażony nią był wówczas tylko jeden stan — szlachecki. Dzisiaj zaraziły się nią bezmyślnie wszystkie stany. I przez to ma być lepiej?

My, Polacy, potrzebujemy wojska, pieniędzy, silnych rządów, podniesienia kultury i dobrobytu. A nie potrzebujemy już żadnej demokracji, bo to frazes, wszystko hamujący, którego dobrodziejstw doznaliśmy już do przesytu przed i po rozbiorach.

Demokracja nie napełni ci talerza, obywatelu, ale tylko mądra, wolna od przesądów gospodarka. Nie obroni ci też kraju, bo wszak dąży — w ostatecznej, praktycznej konsekwencji — do miękkiej, rozkładowej międzynarodówki. Tak jest — a nie inaczej!

Dlatego też w warunkach, jakie coraz wyraźniej wewnątrz i dokoła Polski obecnie się kształtują, żelaznych trzeba nam ludzi — żelaznych, zdecydowanych i konsekwentnych, nieobawiających się odpowiedzialności, ale zarazem umiejących energicznie tworzyć i rządzić!

I nie zgadzamy się z dziennikarskim frazesem, że „czas pracuje dla Polski". Jest wprost przeciwnie. Dlatego trzeba się spieszyć, bardzo spieszyć!!

REDAKCJA.

O REFORMĘ USTROJU.

W III tomie naszego wydawnictwa (lipiec 1930) wysunęliśmy w artykule p. t. „Nasze żądania reformy ustroju“ główne tezy i postulaty, bez których spełnienia uważalibyśmy naprawę konstytucji za chybioną w rezultatach na nieco dalszą metę, za ostateczne — mimo wszystko — zwycięstwo demagogji, z którą rządy pomajowe walczą dotąd z tak widocznym sukcesem zewnętrznym. Jako najbardziej zasadnicze postulaty skuteczności reformy podaliśmy tam trzy: konieczność aprobaty Prezydenta dla uprawomocnienia ustaw, całkowite równouprawnienie senatu z sejmem oraz zmiana ordynacji wyborczej w kierunku przynajmniej głosowania na jednostki, a nie na listy, przy odmiennym sposobie konstytuowania senatu — drogą nominacji przez Prezydenta oraz wyboru przez organizacje zawodowe.

Obecnie znajduje się sprawa reformy konstytucji w dawno upragnionem stadjum bezpośredniej aktualności — jak przynajmniej należy się spodziewać z osiągniętej stanowczej supremacji zwolenników naprawy w ciałach ustawodawczych, oraz ze wszystkich niedawnych enuncjacji czynników miarodajnych. Oczekujemy więc, jak i kraj cały, zdecydowanego podjęcia tej pracy w najbliższym czasie, co stanowi już nietylko najbardziej piekącą potrzebę państwa, ale poprostu zagadnienie wiary lub niewiary w twórczość rządów pomajowych. Silny i celowy okazał się system rządów pomajowych w dziedzinie walki z demagogją i anarchją, ale teraz musi okazać się w równej mierze twórczym. Bez tego nie zapisze się dodatnio na kartach historji.

Ale, mówiąc o naprawie konstytucji, należy zdecydować się przedewszystkiem na to, jaką ma być ta naprawa?

Czy ma ograniczyć się tylko do pewnych poprawek konstytucji (z ewentualną lekką modyfikacją ordynacji wyborczej), czy też ma sięgnąć głębiej — do gruntownej zmiany i „zmodernizowania“ ustroju państwa? I w tej właśnie alternatywie leży najtrudniejsze, najbardziej kłopotliwe zagadnienie.

Zapewne, każda rozumna poprawka fatalnej Konstytucji marcowej, każde, choćby drobne wzmocnienie władzy wykonawczej i prawne ograniczenie suwerenności sejmowładztwa będzie pożądane. Za każdą taką poprawką opowiemy się bez zastrzeżeń, bo oczywiście lepsze coś, jak nic. Ale pozwalamy sobie wielką podnieść wątpliwość, czy niedostateczne wykorzystanie tak wyjątkowo pomyślnej sytuacji dla przeprowadzenia gruntownej reformy ustroju, sytuacji, osiągniętej kosztem pięcioletnich niemal walk i zmagań i dotkliwych cierpień ekonomicznych, byłoby w danych warunkach wewnętrzno- i zewnętrzno-państwowych tem, czego kraj cały oczekuje? Czy niedostateczne, połowiczne, chwiejne poprawki ustrojowe będą w stanie usprawiedliwić to wszystko, co się od blisko pięciu lat w kraju dzieje w imię hasła „Naprawy Rzeczypospolitej“? Czy zbyt delikatne, subtelne, płochliwe branie się do rzeczy, najeżone tysiącem zastrzeżeń, względów i skrupułów socjalnoprawniczych, uczyni zadość wielkim nadziejom całego społeczeństwa? Czy pozorny sukces przeforsowania, po długich a ciężkich cierpieniach, drobnych poprawek, nie naruszających w niczem korzeni wadliwości ustroju, zdoła pchnąć państwo na serjo na lepsze tory rozwoju, a nie okaże się w najostateczniejszym rezultacie raczej fiaskiem rzuconych haseł i podjętych wysiłków?

Oto poważne obawy, które nasuwają się w tej chwili najbardziej nawet zdecydowanym zwolennikom rządów pomajowych, którzy chcą i potrafią choć nieco dalej patrzeć w „naszą przyszłość“! Z naszej strony nie mamy żadnych wahań ani wątpliwości: T y l k o z d e c y d o w a n a, g ł ę b o k o s i ę g a j ą c a r e f o r m a k o n s t y t u-

cji i zasad ustrojowych wogóle może przynieść zbawienny rezultat. Stosunki nasze wymagają bowiem nie plastra angielskiego, nalepionego ostrożnie tu i ówdzie, ale chirurgicznego cięcia. Tylko gruntowna reforma może natchnąć społeczeństwo zdrowym duchem i zapałem do twórczej pracy, bez czego każda konstytucja pozostanie tylko albo martwą literą, albo — jak dotąd — podatnym instrumentem do demagogicznego wywracania norm godziwości i zdrowego rozsądku.

I tu zaraz pierwszą, walną pozwalamy sobie wysunąć tezę: Nowa konstytucja, jeżeli ma być istotnie źródłem trwałego uzdrowienia stosunków, nie może być żadną miarą produktem kompromisu międzypartyjnego lub międzywarstwowego. Nie może być sztucznym zlepkiem, którego skomplikowana konstrukcja dochodzi do skutku drogą pieniackiej, przewlekłej dyskusji nad każdem słowem, każdą niemal literą, uzgadnianą wreszcie nietyle wskutek wzajemnego przekonania, ile wskutek poprostu przemęczenia członków komisji. Nie! Reforma musi być dziełem samoistnem, ponadpartyjnem, ponadklasowem, produktem ściśle objektywnego wyczucia realnych potrzeb państwa i jego przyszłej roli — daj Boże! — mocarstwowej. Musi liczyć się nie z dotychczasowem ustawodawstwem, prawem „zwyczajowem“, uprzedzeniami, przesądami i kaprysami społeczno-politycznymi wszelkiego rodzaju, ale jedynie z prostem, zdrowem poczuciem godziwości i sprawiedliwości społecznej oraz z realnym interesem państwa. Żadne „nastroje“ różnych warstw społecznych, ani żadne „prawa nabyte“ nie powinny zaćmiewać objektywnego sądu twórcom nowej konstytucji, gdyż nastrojów w tym względzie w społeczeństwie obecnie niema żadnych (chyba tylko w redakcjach pism i w zarządach partji opozycyjnych), a co do t. zw. praw nabytych postępu, to żadnej nie ulega wątpliwości, że narzucone one zostały Polsce z zagranicy dla hamowania postępu i, jak powiada Mickiewicz,

„małpiem naśladownictwem weszły do zwyczaju".

Dlatego żadne faszyzmy, ani inne egzotyczne doktryny społecznego przymusu, nie powinny znaleźć ślepego naśladownictwa w podstawach nowego ustroju Polski, tak, jak to dotąd kopjowano bezmyślnie w Konstytucji marcowej i w innych normach prawodawczych wszelakie najdemagogiczniejsze przykłady zachodu, a niekiedy — powiedzmy to sobie po cichu, ale szczerze — i wschodu. Konstytucja musi być swojska, rodzima, do naszych specyficznych dostosowana potrzeb, celów państwowych i stosunków!

A więc najpierw problem roli i kompetencji Głowy państwa. Przerost wszechwładzy demokracji i sejmokracji uczynił dzisiaj ze wszystkich naczelników państw — monarchów czy prezydentów — poprostu manekiny reprezentacyjne. Nowoczesny król czy prezydent w państwie cywilizowanem nie ma w najważniejszych sprawach państwowych właściwie nic do powiedzenia, żadnej władzy, żadnej na serjo ingerencji. Mimo teoretycznego podziału władzy w państwie między trzy najwyższe czynniki — Głowę państwa, rząd i parlament — nie jest król, czy prezydent, faktycznie jednym z tych trzech czynników. Rządzą tylko dwa ostatnie, a Głowa państwa, mimo całego nimbu, jakim formalnie jest otoczona, zeszła do roli — że tak powiem — dekoracyjnej. Musi ostatecznie robić to, co jej rząd i parlament narzucą.

A przecież w Polsce rozlega się — i słusznie — od kilkuset lat żywiołowy postulat „silnej władzy". Dzisiaj jest ten postulat już niemal jednomyślny w naszem społeczeństwie, jeśli pominąć demagogiczne enuncjacje szczupłej stosunkowo garstki przywódców partyjnych i sejmokratów. Jeżeli tak, to jasnem jest, że bez wyposażenia Głowy państwa w pewien zakres faktycznej władzy, niepodobna zrealizować wyżej wspomnianego postulatu. Bo jakże władza ma być silną, gdy najwyższy jej przedstawiciel nie ma w istocie żadnej władzy?! Niema prawa zatwierdzać lub

odrzucać projektów ustaw, uchwalonych przez parlament, a podpis jego ma znaczenie — praktycznie biorąc — tylko dekoracyjne, skoro bez kontrasygnaty ministra nic nie znaczy.

Należy więc — w imię rzetelnej, skutecznej „Naprawy Rzeczypospolitej" i postulatu silnej władzy — przyznać Głowie państwa konstytucyjnie pewne zasadnicze prawa decyzji i poprostu — rządzenia. Zwoływanie, odraczanie i rozwiązywanie parlamentu oraz nominacje i dymisje ministrów nie powinny być zawarunkowane kontrasygnatą rządu lub poszczególnych członków rządu, gdyż jako „suwerenne akty woli Prezydenta" nie wymagają nawet, logicznie biorąc, żadnej kontrasygnaty. Możnaby tu jeszcze więcej takich wypadków przytoczyć, np. wchodzących w zakres naczelnego zwierzchnictwa wojskowego, przyznanego Prezydentowi nawet w dotychczasowej konstytucji.

A nadto musi Głowa państwa — znowu w logicznej konsekwencji swego stanowiska i swej roli — być nietylko symbolem, ale i realnym faktorem suwerenności państwowej. Bo nie może nim być ani wielogłowa zbiorowość parlamentu, ani gabinet ministrów. Może nim być tylko Prezydent, co wzmacnia jeszcze wspomniane wyżej jego atrybuty „rządzenia" w pewnym zakresie, bo nie zgadza się ani z postulatem silnej władzy, ani z postępem „oświeconej demokracji" i objektywizmu XX-go wieku obdarzanie kogoś symbolem suwerenności, bez udzielenia mu odpowiednich do tak wyjątkowej i zaszczytnej roli uprawnień.

Z tem wszystkiem łączy się jeszcze jeden postulat: przedłużenia kadencji rządów Prezydenta. Trzeba się dobrze zastanowić nad jego wyborem. Ale raz go obrawszy, trzeba od niego żądać i oczekiwać, aby na rozwoju państwa w ciągu swej kadencji wycisnął pewne piętno, aby cośkolwiek pozytywnego dla państwa przeprowadził. A to jest nieraz niemożliwe przy krótkiej kadencji mandatu. Nadmiernie krótki okres urzędowania Prezydenta Stanów Zjednoczonych, aczkolwiek wyposażonego w wyższą wła-

dzę, niż niejeden z dzisiejszych monarchów, może nam tu służyć jako przykład ujemny; ledwie bowiem taki Prezydent zaczął akcję w jakimś kierunku, już musi robić miejsce innemu, najczęściej przedstawicielowi przeciwnych poglądów. Działa to ujemnie w Ameryce, a jeszcze ujemniej w stosunkowo prymitywnych stosunkach rozbudowy i konsolidacji młodego państwa, zmuszonego w niejednym kierunku wkroczyć na drogę eksperymentów. Dlatego też 10 lat, a nawet więcej, nie jest zadługim okresem dla kadencji rządów Prezydenta w Polsce, a przeciwnie, wzmocni tylko rozwagę i odpowiedzialność tych, którzy go wybierają.

Kto ma go wybierać? Otóż najmniejszej nie może ulegać kwestji, ani wątpliwości, że „suwerenny" Prezydent nie może być mianowany przez przywódców klubów parlamentarnych, czy partji, czy nawet związków zawodowych, oddziaływujących z za kulis na głosowanie Zgromadzenia sejmu i senatu. Bo tak działo się dotychczas w istocie. Mimo wszelkich prawnych pozorów, kandydatura Prezydenta była wynikiem targu, kompromisu i faktycznej nominacji ze strony przywódców partyjnych. Ten absurdalny stan rzeczy musi uledz gruntownej zmianie. Wymaga tego nietylko nasze, konserwatywne pojęcie pochodzenia władzy, ale nawet i szczerze demokratyczna zasada źródła władzy w narodzie. Naród więc musi wybierać Prezydenta plebiscytem. Tylko w ten sposób obrany Prezydent będzie mógł wznieść się naprawdę ponad spory i wpływy partyjne i posiędzie wobec wszystkich niezbędny autorytet. A skoro chodzi o tak niesłychanie ważny akt wyborczy, oddający losy państwa w ręce jednostki na pewien dłuższy okres czasu, to zważyć musimy, że nie jesteśmy społeczeństwem o przynajmniej przeciętnie jednakowym poziomie kultury. Przeciwnie, w rzadko którem z państw cywilizowanych znajdziemy tak olbrzymie różnice kulturalne między poszczególnemi okolicami kraju, czy warstwami społeczeństwa, jak właśnie w Polsce. I dlatego bezwzględnie rów-

nem prawem głosowania nie wolno nam rzucać tak ważnego indywidualnego wyboru na los szczęścia, demagogji, zakusów wywrotowych lub przypadku, ale musimy — zachowując powszechność — zastosować jednak pewien cenzus kwalifikacyjny w organizacji plebiscytu na Prezydenta. Wybór jego musi być także dziełem inteligencji i politycznego rozumu społeczeństwa, a nietylko mechanicznym produktem liczby głosów.

Z powyższych norm wynika dla Polski całkiem nowa, ale swoista i wcale nie przeciwna szczerym zasadom demokracji koncepcja „rządzącego Prezydenta". Zasadą konstytucyjnego monarchizmu przedwojennego było, że „monarcha panuje, ale nie rządzi". Zasadą republikańską jest, że „Prezydent nie panuje i nie rządzi, ale tylko reprezentuje". Otóż dla naszych stosunków, dla zadośćuczynienia dobrze zrozumianym, najżywotniejszym potrzebom Polski, wskazanem jest wprowadzenie zasady, że „Prezydent reprezentuje suwerenność państwa i rządzi" — rządzi oczywiście tylko w pewnym zakresie, konstytucją ściśle, ale nie nazbyt wąsko ograniczonym. Wówczas wielowieczny postulat wzmocnienie władzy w Rzeczypospolitej polskiej stanie się faktem.

Źródłem ustawodawstwa w Polsce pozostać musi sejm i senat, z zastrzeżeniem równorzędnego w tym względzie praw trzeciego czynnika — Prezydenta — który może podpisać uchwalony projekt ustawy, z kontrasygnatą w tym wypadku marszałków ciał ustawodawczych, albo jeszcze właściwiej Prezesa Rady Ministrów lub właściwego ministra resortowego, albo też projekt zwrócić izbom ustawodawczym do rewizji lub nawet całkiem odrzucić. Wynika to z poprzednich uwag o zakresie władzy Prezydenta. Natomiast parlamentaryzm, jako reprezentacja całego społeczeństwa i organ jego udziału w kształtowaniu ustroju i losów państwa, musi być oczywiście utrzymany i nie powinniśmy myśleć o zastępowaniu go jakąś inną koncepcją, zbyt sztuczną lub zbyt krępującą jednostkę na rzecz

państwa. Dlatego też wszelkie rodzaje „ustroju przymusu i mechanizacji“ w rodzaju faszyzmu i t. p. powinny byc u nas zgóry wykluczone, jako sprzeczne z prawem swobody twórczej jednostki i przygotowujące najniewątpliwiej grunt dla rozwoju doktryn kolektywizmu i niewoli społecznej.

Ale utrzymując bezwzględnie ustrój parlamentarny, należy go gruntownie zreformować — według zasad objektywizmu i t. zw. zdrowego rozsądku, z całkowitem pominięciem haseł, przesądów i postulatów demagogicznych, które tak dalece wypaczyły i sparaliżowały słuszną w zasadzie ideę parlamentaryzmu już przed wojną światową, a tembardziej po wojnie. Nowoczesny parlamentaryzm, wraz z bezkrytyczną instytucją absolutnej równości głosowania, z którego się rodzi, stał się prawdziwą karykaturą, pośmiewiskiem, źródłem stałego oszustwa woli narodu i stałym hamulcem każdej zdrowej myśli państwowotwórczej. Trzeba więc wszystko to racjonalnie zmienić.

I znowu stajemy tu na platformie gruntownej, celowej reformy, a nie systemu „plastrów angielskich“. Musimy jasno wytyczyć sobie kierunek, w którym rozwijać się ma i doskonalić reforma parlamentaryzmu. A pod tym względem jesteśmy przekonani, że jedynym racjonalnym celem może być tylko „parlamentaryzm zawodowy“. Jeżeli bowiem staniemy na stanowisku, że państwo nie jest fikcją, ale realną sumą pewnej ilości jednostek, ich prac, potrzeb i postulatów, że jest — jednem słowem — organizmem, nie zaś jakimś wytworem biurokratycznej czy etatystycznej fantazji, to musimy się w konksekwencji zgodzić na to, że polityka czyli „sprawa publiczna“, w najszerszem tego słowa znaczeniu, jest sumą interesów i dążeń poszczególnych jednostek, pracujących w różnych zawodach, interesów i dążeń, sharmonizowanych oczywiście z ogólnym interesem całego organizmu państwowego. Stąd wypływa w naturalnej konsekwencji, że reprezentacja ustawodawcza

narodu winna składać się z reprezentantów poszczególnych sfer zawodowych, możliwie w komplecie.

Z tego zaś wynika logicznie wybór tych reprezentantów przez organizacje zawodowe wszelkiego rodzaju, z zupełnem pominięciem względów „klasowych“, jako sztucznego a demagogicznego tworu radykalnych doktryn socjalnych. Parlament ustawodawczy powinien być 1) rzeczywistym, uczciwym wyrazem woli i „chemicznego składu“ społeczeństwa, 2) jego mózgiem, zdolnym do możliwie najracjonalniejszego traktowania zagadnień, nie zaś bezmyślnem narzędziem mechanicznej liczby. Parlament musi być, przynajmniej w ogólnym zarysie, elitą umysłową społeczeństwa, jeżeli ma się wogóle ostać wobec twardych wymagań nowoczesnego życia. A wszystkim tym zasadniczym, oczywistym postulatom może uczynić zadość tylko ustrój parlamentarny, oparty na reprezentacji zawodowej.

Jest to zresztą logiczny postulat ewolucji. Inne bowiem rodzaje parlamentaryzmu, zarówno stanowy, jak identyczny z nim swą istotą, a różny tylko odwróceniem systemu przywilejów — parlamentaryzm klasowy, owoc doktryn radykalnych, należą już do przeżytków. XX wiek, z całem swem oświeceniem i doświadczeniem, powinien obalić do reszty przywileje stanowe czy klasowe i stworzyć trzeźwe zasady zawodowej reprezentacji ustawodawczej w państwie. Uzasadniliśmy to już zresztą w I tomie niniejszego wydawnictwa (kwiecień 1930), w artykule p. t. „Organizacja zawodowa społeczeństwa“.

Zachodzi tylko pytanie, często dzisiaj zresztą dyskutowane nawet przez zwolenników tej koncepcji, czy można przystąpić do jej realizacji w takiem państwie, jakiem jest Polska, gdzie organizacja zawodowa nie jest jeszcze tak dalece rozbudowana, tak powszechna, aby mogła służyć za podstawę parlamentu zawodowego? Temat to istotnie do poważnej dyskusji i rozważenia. Nam się jednak zdaje, że wyczekiwanie na odpowiednie udoskonalenie się organizacji

zawodowej odsunęłoby w naszych warunkach gruntowną reformę ustroju parlamentarnego na termin bardzo daleki, a w międzyczasie demagogja polityczna i społeczna, oraz panująca bądź co bądź (nietylko w organizacjach socjalistycznych) zasada podziału na klasy i walki społecznej mogłyby zrobić coraz większe postępy i spustoszenia, paraliżując coraz bardziej osiągnięcie zarówno racjonalnej organizacji zawodowej, jak i parlamentaryzmu zawodowego. Natomiast stworzenie a priori pewnych norm głosowania i parlamentu zawodowego przyspieszy znakomicie organizowanie się społeczeństwa w tym kierunku. Nie sprzeciwia się zaś samej zasadzie powszechności głosowania oraz szczerze, szlachetnie pojętej idei demokratycznej, powiedzenie obywatelowi: Ponieważ wpływ na losy państwa drogą głosowania jest i może być tylko uprawnieniem dla obywateli, pracujących w jakimś zawodzie i w tym zawodzie zorganizowanych, więc przysługujące ci w zasadzie prawo będziesz mógł wtedy dopiero wykonywać, gdy obierzesz sobie jakiś użyteczny zawód i staniesz się członkiem jego organizacji!

Ale, uwzględniając wątpliwości tych, którzy obawiają się natychmiastowego przeprowadzenia tak radykalnej reformy, można zgodzić się na pewne etapy w tym kierunku, a na razie na taką reformę obu ciał ustawodawczych, aby teorja walki klasowej była w nich, jeżeli nie całkowicie wyrugowana, to przynajmniej osłabiona na rzecz jakichś objektywniejszych, racjonalniejszych poglądów. Nie ulega bowiem kwestji, że nowy ustrój ustawodawczo-reprezentacyjny, jeżeli ma przynieść istotnie pewien zdecydowany moment poprawy stosunków, musi być 1) rozumny i szczery, wolny od dotychczasowych demagogicznych paradoksów i oszukańczego, sztucznego fabrykowania „woli społeczeństwa“ z jego własną szkodą, 2) sprężysty, aby szedł na czele ustrojowego i ustawodawczego postępu, a nie był jego hamulcem i narzędziem jałowej, zasadniczej opozycji, czerpiącej swe źródło najczęściej w ambicjach i antypatjach

personalnych, 3) wyrazem słusznej i realnej zasady, że państwo i naród są w nowoczesnych warunkach organizmem, w którym byt i praca jednostki zależne są w wysokim stopniu od całości, ale w którym należy równocześnie zapewnić odpowiednią swobodę indywidualną jednostce celem wzmożenia jej twórczości i jej walorów moralnych, chroniąc ją przed mechanizacją społeczną i wszechwładzą klik i doktryn partyjnych. Na tem ostatniem polega też w znacznej mierze to, co rozumiemy pod ,,wychowaniem państwowem" obywateli.

W myśl tych zasad, opartych na zdrowej logice i objektywiźmie, który stanowić powinien najcenniejszą zdobycz i chlubę postępu cywilizacyjnego XX-go wieku, zatrzymać należy dwuizbowość w aparacie ustawodawczym, ale zrównać sejm i senat pod względem uprawnień ustawodawczych, a natomiast zróżniczkować je całkowicie pod względem składu i systemu wyboru.

Co do sejmu, to ograniczając przedewszystkiem ilość posłów, bo zbyt wielka ich liczba bynajmniej nie podnosi jego poziomu, ani wydajności pracy, zachować wypada na razie powszechne i bezpośrednie głosowanie, jednak przy wydatnem podniesieniu wieku zarówno dla czynnego, jak i dla biernego prawa wyboru, a nadto ustaleniu dla tego ostatniego pewnych wymogów kwalifikacyjnych. Zerwać należy stanowczo z demagogiczną, paradoksalną zasadą, że mandat poselski nie wymaga żadnych kwalifikacji, gdyż nierozumna ta doktryna obniża rolę i stanowisko posła poniżej poziomu pierwszego lepszego czeladnika w rzemiośle, od którego przecież wymaga się pewnych kwalifikacji fachowych. Nie trzeba się obawiać kategorycznego wysunięcia tego żądania, zgodnego ze zdrowym rozsądkiem i żywotnym interesem państwa.

Powtóre, zmienić trzeba dotychczasową absurdalną zasadę konstytucyjną, że poseł reprezentuje w sejmie cały

kraj i całe społeczeństwo. Wyłania się bowiem z takiej zasady prosta konsekwencja, że np. komunista, wybrany gdzieś na kresach za sowieckie pieniądze, jest reprezentantem całego państwa polskiego, całej ideologji, dążeń i postulatów nawet rdzennie polskiego społeczeństwa. Oczywisty absurd, ale ten absurd istnieje, zagwarantowany wyraźnie konstytucją.

Rozumnie więc i realnie rzecz biorąc, może być poseł reprezentantem tylko tych głosów, które w danym okręgu wyborczym na niego padły. To jest jedyna prawda, wszystko inne jest fikcją. A stąd też wypływa, że poseł, który otrzymał mandat z rąk wyborców danego okręgu, musi być przed nimi odpowiedzialny za swe czynności w sejmie. Musi zdawać wyborcom co pewien czas sprawę z tych czynności na „sejmiku relacyjnym“ i votum nieufności, uchwalone mu przez taki sejmik, powinno pociągnąć za sobą zrzeczenie się mandatu przez posła. Taka odpowiedzialność zmniejszy bez żadnej wątpliwości demagogję sejmową, uprawianą bez skrupułu w demokratycznych parlamentach przez posłów, nieodpowiedzialnych przed nikim i uważających się prawnie za przedstawicieli jakiegoś abstrakcyjnego, prawdziwie metafizycznego „dobra kraju“.

Za zachowanie się zaś poza sejmem powinien być poseł (i senator) odpowiedzialny na równi z każdym innym obywatelem, bez stosowania jakichkolwiek formalności, utrudniających ingerencję władz sądowych i władz bezpieczeństwa. Trzeba tu bowiem, jak już wyżej wspomniano, stanąć na stanowisku, że reprezentacja narodowa musi być elitą, niepodobna więc trwać przy fałszywej, demagogicznej zasadzie, że jeżeli od ogółu obywateli wymaga się przyzwoitej konduity i manier cywilizowanych, to mandat poselski zwalnia od tego wybrańców narodu i sejm może być areną najdzikszych awantur, a zachowanie się prywatne posła stać może również ponad wszelkiem prawem. Byłoby to wskrzeszeniem starożytnej zasady „princeps legi-

bus solutus", której nie wytrzymuje postęp cywilizacyjny XX-go wieku pod żadnym względem.

Skład senatu opierać się musi na całkiem odmiennych zasadach wyborczych. Senat musi być awangardą wyżej nakreślonego ustroju i parlamentaryzmu zawodowego. Pewna więc część senatu powinna wychodzić z wyboru przez organizacje zawodowe, przyczem oczywiście wiek i kwalifikacje fachowe kandydata na senatora muszą być znacznie podwyższone, aby skład senatu mógł być wyrazem odpowiedniej wiedzy i dostojeństwa. Druga część senatu winna wychodzić z nominacji przez Prezydenta Rzeczypospolitej, przyczem każda nominacja musiałaby być uzasadniona odpowiedniemi zasługami dla kraju, położonemi już przez nominata. Wreszcie pożądanem jest stworzenie pewnej liczby miejsc wirylnych w senacie dla biskupów, rektorów wyższych uczelni i t. p. Stosunku liczbowego wszystkich tych trzech rodzajów mandatów nie przesądzamy, gdyż jest to kwestją stosunkowo drugorzędną. Sądzimy tylko, że ilość senatorów z wyboru powinna wynosić conajmniej połowę wszystkich mandatów.

W każdym więc razie wybory do ciał ustawodawczych, jeżeli nie mają być — jak dotąd — loterją i fikcją woli narodu i stałą okazją do nadużyć i oszukaństwa wszelkiego rodzaju, muszą oprzeć się na zasadzie indywidualistycznej, a więc nie na głosowaniu na numerowane listy, lecz na obdarzaniu danej osoby mandatem, za który osoba ta odpowiedzialna jest oczywiście wobec tych, którzy jej ten mandat powierzyli. Zasada ta rozumie się bez kwestji sama przez się we wszelkich organizacjach prywatnych i państwowych, dlaczego więc nie ma obowiązywać w systemie tworzenia tak ważnej instytucji, jaką są ciała ustawodawcze? Jeżeli po dziś dzień jeszcze oczywisty absurd ślepego, mechanicznego głosowania na listy utrzymuje się w „państwie demokratycznem" jakąś dziwną siłą bezmyślności, to należy sobie uprzytomnić, że dzieje się to pod wpływem szkodliwej narkozy doktryn demagogicznych

i wymaga zdecydowanej reformy z każdego punktu widzenia.

Jasnem jest bowiem, że — nawet z punktu widzenia szczerej a uczciwej demokracji — nie mechaniczna, bezkrytyczna, ślepa liczba może być prawdziwym wyrazem woli i realnych interesów cywilizowanego społeczeństwa, ale oczywiście odpowiedni stopień wykształcenia i talentu jego mandatarjuszy. Nie jest przecież wcale pewnem, że np. interesy najniższego proletarjatu mogą być w sejmie lepiej reprezentowane i bronione przez niepiśmiennego wyrobnika, niż przez człowieka z wykształceniem i doświadczeniem, zdającego sobie sprawę z istoty problemu i realnych możliwości podniesienia tych warstw najniższych w państwie!

Są to wszystko pojęcia względnie nowe i przełomowe w dotychczasowym ultrademokratycznym parlamentaryźmie, przed których przyjęciem wzdragać się może nieraz nawet i konserwatysta, zdający sobie wprawdzie dobrze sprawę z całego absurdu i szkodliwości dotychczasowych pojęć i urządzeń parlamentarnych, ale wdrożony w ich machinę od szeregu lat dziesiątków. Ale prawdziwie skuteczna, uzdrawiająca reforma państwowego ustroju powinna polegać właśnie w pierwszym rzędzie na stanowczem wyłamaniu się z pod tych przestarzałych, a wielce szkodliwych praw „nabytych“, a raczej narzuconych nam przez demagogję.

Powyższe warunki rzetelnej naprawy ustroju, dotyczące roli Głowy państwa oraz ciał ustawodawczych, wyczerpują właściwie główny problem tymczasowej reformy konstytucji. Wyczerpują dlatego, że trzy równorzędne czynniki ustawodawcze -- Prezydent, senat i sejm — wyposażone w wyżej wymienione atrybucje i charakter, mogą z biegiem czasu wprowadzić do ustroju państwa daleko odpowiedniejsze dalsze reformy, niż bylibyśmy to w stanie uczynić dzisiaj, impulsywnie, za jednym zamachem. Wystarczy więc na razie, jeżeli łamiąc zakostniałe doktryny

i przesądy demagogiczne, podniesiemy, wzmocnimy i racjonalnie uporządkujemy rolę tych trzech głównych czynników *). Ale istnieją w naszym ustroju inne jeszcze normy i problemy, które nie dadzą się może odrazu należycie sprecyzować, nie powinny jednak być pominięte — czy to już w nowem brzmieniu konstytucji, czy w najbliższej po jej uchwaleniu pracy ustawodawczej — jeżeli zreformowane ustawodawstwo nie ma pozostać suchą ramą, wypełnioną starym duchem i praktykami demagogji i wywrotu, mogącemi w dalszym ciągu osłabiać państwo materjalnie i moralnie, bez względu na formalnie dokonane poprawki ustroju.

Chodzi więc przedewszystkiem o wzmocnienie — źle mówię, bo właściwie: o stworzenie — prawdziwego autorytetu władzy, a tem samem i autorytetu państwa. Wszak obywatele państwa polskiego przyzwyczaili się, od pierwszej chwili zmartwychwstania Polski, państwo swe i władzę urzędową lekceważyć. Narzekanie na władzę i państwo i ośmieszanie ich w oczach współrodaków, a często nawet i wobec zagranicy, weszło u nas w codzienny zwyczaj — jedyny może w swym rodzaju na świecie. Można się na to oburzać, ale nie wolno zapominać, że każde skutki mają pewną przyczynę. A przyczyną tego smutnego stanu jest niewątpliwie z jednej strony zbyt daleko posunięta „demokratyzacja“ naszych władz, proletaryzacja ich moralna i materjalna, która nie jest w stanie, mimo wszelkich wzniosłych frazesów patrjotycznych, urobić w społeczeństwie pożądanego poważania dla władzy, a z drugiej

---

*) Pewne zasadnicze wytyczne, bardzo zbliżone do nakreślonej powyżej roli „rządzącego Prezydenta“, rzucił już marsz. Piłsudski w swym ostatnim wywiadzie. Tem bardziej więc sprawa ta nabiera realizmu i aktualizmu. Natomiast sprawa reformy ciał ustawodawczych nie była dotąd niestety w oficjalnych enuncjacjach konkretnie poruszona. A przecież bez gruntownej, celowej reformy parlamentaryzmu, wyposażenie Głowy państwa nawet dużym zakresem władzy będzie zawsze tylko dziełem mniej niż połowicznem i nie uleczy podstawowych wad ustroju państwa!

strony okoliczność, że etatyzujące lub wprost socjalizujące doktryny o państwie przeciwstawiły abstrakcyjny interes państwa od pierwszej chwili najżywotniejszym interesom obywateli. Dlatego patrjotyzm jest u nas na razie dość pustym frazesem (za wyjątkiem może tylko orężnej obrony kraju), a natomiast przeszła w krew i kość społeczeństwa idea walki z państwem i władzą rządową, jako faktycznymi wrogami dobrobytu jednostki, idea, odziedziczona z okresu zaborów, a nie zwalczana realnie przez nowopowstałą, swoistą polską biurokrację i jej istotnie wrogi interesom prywatnym etatyzm.

Reforma tego stanu rzeczy podnieść musi przedewszystkiem poziom i uposażenie materjalne funkcjonarjuszy władzy państwowej, redukując ich liczbę wraz z ilością przedsiębiorstw państwowych, robiących niebezpieczną a mało produktywną konkurencję przedsiębiorczości prywatnej. Musi dalej wyzwolić władze państwowe z pod wpływu jakichkolwiek partji politycznych i dążyć do wytworzenia z kadrów urzędniczych pewnej specjalnej sfery, o ile możności ponadpartyjnej, owianej prawdziwym duchem państwowym, jak to bywa w państwach o wyrobionej zdawna administracji. Ustrój państwa może być demokratyczny, ale nastrój władz państwowych nie może być nazbyt zdemokratyzowany, nie może zniżać się do poziomu przeciętnego „ludu“, bo w tym wypadku mowy być nie może o autorytecie władzy. Nadto nie może wzbudzić w społeczeństwie poszanowania dla swego urzędu funkcjonarjusz, zmieniany co chwila jak rękawiczka, za lada podmuchem kaprysu panującego chwilowo systemu, czy stronnictwa. Niezbędną jest stabilizacja urzędników, niezależna — ogółem biorąc — od zmiany prądów politycznych czy konjunktur w państwie. Z chwilą, gdy społeczeństwo nabierze przekonania, że polityczne zmiany składu sejmu, czy gabinetu ministrów, nie wpływają zasadniczo na korpus administracyjny w państwie, powaga władzy i urzędu będzie już eo ipso w znacznym stopniu

utrwalona. Przytem praca i zasługa funkcjonarjusza państwowego, jego zdolność i fachowość, muszą być uznawane i odpowiednio wynagradzane, gdyż inaczej państwo nie wyrobi sobie nigdy prawdziwie mu oddanych i pewnych funkcjonarjuszy i każda fluktuacja systemu rządów u szczytu powodować będzie groźne wstrząśnienia, osłabiające państwo i wprowadzające niebezpieczną płynność stosunków.

Państwo, którego aparat administracyjny nie odpowiada tym kardynalnym warunkom, będzie zawsze zagrożone anarchją, nie osiągnie nigdy stanowiska mocarstwowego, ale pozostanie zawsze w szeregu państw drugorzędnych.

Dodam drobny pozornie szczegół, dla podniesienia autorytetu władzy praktycznie jednak wielce pomocny: odpowiednie umundurowanie przedstawicieli władzy w czasie służby. Nie potrzeba tłomaczyć, że starosta lub wojewoda, występujący w pięknym mundurze, inaczej reprezentować może autorytet władzy i państwa, niż jakiś „cywil", ubrany w marynarkę, często wyświechtaną, której widok działa bądź co bądź „proletaryzująco".

Powtóre, władze państwowe — w społeczeństwie oświeconem XX-go wieku — winny przejąć się zasadą, że aczkolwiek obywatele kraju rezygnować muszą w znacznej części ze swego indywidualizmu na rzecz całości, to jednak państwo istnieje dla obywateli, a nie obywatele dla państwa, jako jakiegoś transcendentalnego pojęcia. Bo jeżeli naród organizuje się w państwo dla wspólnej obrony, to organizm ten nie może być żadną miarą tego rodzaju, aby obywatele zmuszeni byli bronić się także przeciw niemu. Państwo więc, które przeciąża obywateli nadmiernym przymusem i nadmiernemi świadczeniami, niszczącemi już nietylko dochód, ale nawet samą substancję majątkową i warsztaty pracy — jak to się dzieje w odrodzonej Polsce od pierwszej chwili jej powstania — sprzeciwia się swej własnej racji bytu i wywołuje stałą wojnę wewnętrzną,

która i państwo osłabia i demoralizuje obywateli. A wobec tego wszelkie hasła naprawy, sanacji, mocarstwowości, samowystarczalności i oszczędności stają się pustym, jałowym frazesem. Starodawne przysłowie „ubi bene, ibi patria“, potępiane dotąd jako zbyt materjalistyczne, zawiera w sobie jednak wielką prawdę, gdyż niepodobna dzisiaj wymagać od obywatela przywiązania do ojczyzny, która żąda od niego stale niszczących a nieproduktywnych ofiar.

Stąd wynika w konsekwencji konieczność gruntownej reformy wszelakich świadczeń publicznych i innych ograniczeń, nałożonych dotąd przez państwo na obywatela. Stąd wynika także reforma pojęcia i zakresu t. zw. konieczności państwowych. Pojęcie potrzeb i konieczności państwowych — za jedynym wyjątkiem wojny — nie może przekroczyć granic pewnej sprawiedliwej daniny od rzeczywistego, czystego dochodu obywatela i nie może krępować zasadniczo jego inicjatywy twórczej. Ustawy, które tym oczywistym zasadom się sprzeciwiają, są złe i trzeba zmienić je jak najrychlej — w imię dobrze zrozumianego cywilizacyjnego postępu i pod groźbą zachwiania egzystencji państwa. Jasnem jest bowiem, że państwo, w którem obywatele, wskutek nadmiaru świadczeń i nadmiernego skrępowania etatyzmem, nietylko żadnego nie mają zarobku, ale pracować muszą stale z deficytem, a nawet likwidować swe majątki i warsztaty, które notabene w danych warunkach nie mogą nawet znaleźć nowonabywców — takie państwo musi w końcu zbankrutować i jego byt stanie prędzej czy później pod znakiem zapytania.

Jestto sprawa równorzędnie ważna z naprawą ustroju, który bez tego, jak już wspomnieliśmy, pozostanie pustą formą.

W ścisłym związku z naprawą konstytucji i podniesieniem autorytetu władzy pozostaje, chyba bezspornie, problem odrodzenia autorytetu Prawa. Nie chodzi nam tu o takie lub inne formułowanie ustaw, które, jak każde dzieło ludzkie, mogą i muszą być niedoskonałe, ale o zasadni-

cze sformułowanie, zarówno w konstytucji, jak i w innych ustawach, uzupełniających ją w każdym kierunku, tego, co — według pojęć danego społeczeństwa — jest godziwem lub niegodziwem. Poszczególne ustawy i urządzenia mogą i muszą podlegać odpowiednim modyfikacjom w miarę ewolucji stosunków, ale jednak pewne, podstawowe zasady bytu i rozwoju musi sobie cywilizowane państwo ustalić. Bez tego niepodobna myśleć o „normalizacji stosunków", o oparciu się różnym zakusom wywrotowym z wewnątrz lub z zewnątrz państwa, a tem mniej o jakiejkolwiek racjonalnej gospodarce i „mocarstwowości".

Otóż dotychczasowy nasz ustrój jest najdziwaczniejszą, najeżoną sprzecznościami mieszaniną pojęć prawnych, zaczerpniętych bezkrytycznie, na łeb na szyję, z wszelakich wzorów wschodu i zachodu. Jest niby prawo własności, ale właściwie go niema, niema ani w rolnictwie, ani w innym majątku realnym, ani w skarbowości, ani w całym długim szeregu ustaw etatyzujących. Jest niby walka z doktryną Marxa, ale właściwie jej niema, bo — mimo szumnych oświadczeń i zapowiedzi — cały niemal nasz ustrój i nastrój umysłów w państwie, nie wykluczając nieraz sfer najwyższej inteligencji, ułatwia w ostatecznym, praktycznym rezultacie ekspansję zasad socjalizujących, a w politycznej konsekwencji także i bolszewizmu, chociaż z tym ostatnim toczymy niby zaciętą walkę przy pomocy policji, sądów etc.

Walka ta tak długo będzie jałową i bezpłodną, dopóki Prawo polskie nie odetnie się w sposób stanowczy i niedwuznaczny nietylko od wszystkiego, co trąci kolektywizmem, wraz z jego logicznemi następstwami, ale także od wszystkiego, co pośrednio, mimowoli, może wpływ doktryn kolektywizmu w Polsce ułatwić. Prawo polskie nie może być w tym względzie żadnym produktem kompromisu z t. zw. postulatami ducha czasu i postępu (oczywiście w ironicznem tego zwrotu znaczeniu), ale musi jasno, wyraźnie i lapidarnie sformułować podstawy tego, co ma być

w Polsce odtąd prawem, a co bezprawiem. W szczególności zaś musi takie sformułowanie zawierać konstytucja, określając dokładnie i niedwuznacznie wzajemne prawa i obowiązki państwa i obywateli i to tak, aby żadna dalsza ustawa nie mogła tego stosunku fałszywie interpretować przez wykręcanie lub naciąganie poszczególnych paragrafów konstytucji.

Jeżeli np. konstytucja gwarantuje obywatelowi pewne prawa materjalne, a inna ustawa czyni zasadniczy, generalny wyłom w tych prawach, przy zastosowaniu takich czy innych kruczków i wykrętów, to jest to rzecz bezwarunkowo niedopuszczalna, poniżająca autorytet i wartość Prawa i bez żadnej wątpliwości zbliżająca nas do stosunków sowieckich, które — pomijając już sam ustrój kolektywistyczny — polegają właśnie na sprzeczności między teoretyczną konstytucją państwa a bolszewicką rzeczywistością.

Prawo w państwie cywilizowanem powinno hamować wybujałości i wybryki egoizmu jednostki, nie powinno jednak być stale skierowane wprost przeciw żywotnym interesom najbardziej produktywnych i najbardziej cywilizowanych sfer społeczeństwa w imię jakichś radykalnych haseł demagogicznych. Prawo nie powinno nigdy hamować lub niszczyć uczciwego zarobku i wogóle interesu prywatnego. Ustawa nie może niszczyć — w imię martwej litery — produktywnych warsztatów i owoców uczciwej pracy. Ustawa taka byłaby w rezultacie swym skierowana przeciw żywotnym interesom państwa i wspomagałaby ekspansję doktryn wywrotowych.

Nie mogą też istnieć dwie miary uczciwości: odmienna dla państwa, a odmienna dla obywatela. Jeżeli państwo żąda od obywatela poszanowania praw, to musi przedewszystkiem jego prawa uszanować i to nietylko formalnie, ale i w pełniejszem tego pojęcia znaczeniu. Państwo, wykorzystujące np. kryzys gospodarczy dla zniszczenia uczciwie pracującej jednostki, w imię litery suchej, nieży-

ciowej ustawy czy rozporządzenia, nie postępuje uczciwie i nie może wymagać poszanowania dla siebie i swych ustaw. Autorytetu czy szacunku niepodobna sztucznie narzucić, ale trzeba nań zasłużyć. Dobre, jasne i sprawiedliwe prawa, wykonywane przez władze, stojące na odpowiednio wysokim poziomie, zdobędą sobie szacunek bez żadnych sztucznych zabiegów. Niesprawiedliwe lub chwiejne ustawy będą ze strony obywateli zawsze przedmiotem walki i pogardy — i nic na to nie pomoże!

Mówiąc więc o „naprawie ustroju" zmienić trzeba błędne jego nastawienie. Dotychczas bowiem obowiązywały w Polsce — w praktyce — kolejno zasady, że prawo jest dla korzyści partji, potem, że jest dla korzyści „nadrzędnego" państwa. Stąd wyrosły kolejno fikcyjne pojęcia „woli ludu", następnie abstrakcyjnego „interesu państwowego". W obu wypadkach stało prawo w Polsce tylko przymusem, a nie również i przekonaniem obywateli. Obecnie, zmieniając nastawienie, trzeba stanąć na stanowisku, że prawo jest dla obywateli — dla sprawiedliwego określenia ich uprawnień i obowiązków. Bo przecież nie co innego, jak właśnie obywatele, tworzą organizm państwowy. Gdy raz wyjdziemy z tego założenia, odpowiedniego godności cywilizowanego społeczeństwa i dobrze zrozumianemu interesowi państwa, to konieczność gruntownej zmiany ustawodawstwa gospodarczego i socjalnego w duchu zdrowego rozsądku i objektywizmu stanie przed nami w całej pełni.

Na straży zgodności wszelkich ustaw z konstytucją, oraz interpretacji konstytucji, nietylko w sensie suchoprawniczym, ale i w duchu głębszym, w duchu wspomnianych właśnie zasad „zdrowego rozsądku" państwowego, stać powinien oczywiście Trybunał Konstytucyjny.

Dwie jeszcze ważne kwestje uwzględnić powinna szczera naprawa ustroju.

Pierwsza z nich dotyczy unormowania stosunku Kościoła, a raczej duchowieństwa, do polityki. Weszły w nią bowiem szerokie sfery naszego duchowieństwa w imię obrony religji i potrzeb Kościoła na arenie parlamentarnej i w rezultacie — autorytet Kościoła wystawiony został na ciężką próbę. W życiu politycznem, zorganizowanem w partjach, nie dało się uniknąć wciągnięcia księży, niekiedy — jak pamiętamy — nawet niektórych biskupów, do różnych partji politycznych i to przeważnie partji masowych, z czego musiały wyniknąć dla duchowieństwa konsekwencje, w każdym razie niepomyślne dla autorytetu tego czynnika, który na mocy swej wielkiej idei i zasady powszechności powinien stać bezwarunkowo ponad walką stronnictw.

Kościół musi być tym prawdziwie bezspornym arbitrem w sprawach moralności i sumienia, odnoszącym się jednakowo do wszystkich wiernych, bez względu na różnice ich zapatrywań na sprawy świeckie. Kapłan, biorący udział w walce partyjnej, temu wzniosłemu zadaniu żadną miarą nie jest w stanie sprostać. Wynika stąd w naturalnej konsekwencji nadużywanie autorytetu Kościoła do zwykłej konkurencji o mandaty poselskie i do zaciekłych, często nieetycznych walk partyjnych. Wynika też upadek zaufania wielu katolików do swych pasterzy, skoro staje się wiadomą przynależność danego kapłana do danej partji, albo przynajmniej widoczne z nią sympatyzowanie, które wyklucza oczywiście bezstronność. Wynika wreszcie monopolizowanie katolicyzmu w rękach pewnych partji, nie zawsze nawet wiernych zasadom Kościoła, które jednak doznają faktycznego poparcia ze strony duchowieństwa, przy odmawianiu katolickości ludziom, należącym do innego stronnictwa.

Otóż dużo możnaby rozprawiać na ten temat, ale praktyczne doświadczenie wykazało jedną rzecz bezsporną, że w takich warunkach autorytet Kościoła i religji bezwarunkowo się obniża. Sprawa domaga się gruntownej re-

formy. Duchowni, uprzywilejowani z natury swego stanu pod niejednym względem (zwolnienie od służby wojskowej i t. d.), nie powinni brać udziału w polityce, nie powinni głosować ani kandydować do ciał ustawodawczych. Wyjątek można zrobić tylko dla biskupów-wirylistów w senacie, oczywiście za zgodą Stolicy Apostolskiej. Jeżeli nam ktoś powie, że sejm na tem straci, skoro zabraknie w nim duchownych obrońców Kościoła, to możemy odpowiedzieć z całą stanowczością, że zyska zato całe społeczeństwo katolickie i nadrzędny autorytet religji i władzy duchownej. Zresztą nie zabraknie w sejmie zdecydowanych świeckich obrońców religji i Kościoła, a ich głos — zwłaszcza po dokonaniu jakiejś rozumnej reformy składu sejmu — będzie miał tam bodajże większe znaczenie, niż księdza-partyjnika. Zresztą w sprawach istotnej wagi dla Kościoła, wiary i moralności, głos władz kościelnych daleko większy będzie mieć posłuch i autorytet, gdy odezwie się ponadpartyjnie z poza areny politycznej, niż gdyby wyszedł z ust duchowieństwa, zaangażowanego w jakimś klubie sejmowym.

A druga sprawa, to kwestja konieczności samoobrony państwowej przed demagogicznym postulatem nieograniczonej wolności przekonań i słowa oraz przed akcją anty-państwową. Już nietylko uczucie patrjotyczne, ale nawet prosty zmysł państwowo-zachowawczy wzdryga się wobec faktu istnienia w składzie sejmu polskiego żywiołów jawnie bolszewickich, a więc przedstawicieli nietylko społecznego wywrotu, ale i planowego zaboru Polski przez Rosję. Bo na to przecież wychodzi u nas w praktyce propaganda komunistyczna!

Czy państwo może zezwolić na tolerancję „przekonań", aż tak daleko posuniętą? Czy ma tolerować inne jeszcze organizacje, sekty i propagandy, wymierzone wyraźnie przeciw egzystencji państwa i moralności społeczeństwa? Czy ma dozwolić na wyraźne, nieraz wprost bezczelne szkalowanie i osłabianie uczuć narodowych i religij-

nych, na perfidną, antypaństwową robotę, prowadzoną najczęściej za pieniądze niemieckie lub rosyjskie — i to wszystko w imię nietykalnego dogmatu „demokratycznego“ o nieograniczonej wolności słowa i sumienia?

Oczywiście, że nie! Obywatelstwo państwa nakłada w logicznej konsekwencji wierność, a przynajmniej lojalność dla państwa. Obywatelstwo antypaństwowe, przez państwo tolerowane, jest jedną z tych dziwnych sprzeczności przerostu demokracji, w które obfitują dzisiejsze skomplikowane stosunki. Z absurdem tym, godzącym w najżywotniejsze interesy egzystencji państwowej, trzeba raz skończyć i stworzyć odpowiednie, bezkompromisowe sankcje legalne przeciw wszelkim doktrynom i wichrzeniom, wyraźnie antypaństwowym oraz niosącym zgorszenie publiczne. Ustrój demokratyczny nie może zawierać w sobie urządzeń, wrogich lub niebezpiecznych dla demokratycznego państwa. Dlatego postulat wolności słowa i sumienia musi nawet państwo demokratyczne rozumnie ograniczyć, jeżeli chce uniknąć następstw jak najgorszych. Zwłaszcza zaś komunizm powinien być surowo ścigany w każdej swej postaci i pod żadnym warunkiem nie powinien mieć przedstawicieli w ciałach ustawodawczych. Wszelkie w tym zakresie subtelne sofizmaty, tolerancje i kompromisy są wobec wymierzonej w Polskę planowej akcji rosyjskiego kolosu krótkowzroczne i śmieszne.

A wszystkie te, wyżej kolejno wyszczególnione reformy konstytucji i prawodawstwa wogóle, mają na celu osiągnięcie jeszcze jednego, specjalnego rezultatu: zwalczenie zapomocą sprężystego ustroju naszej wrodzonej słowiańskiej słabości i zahartowanie społeczeństwa polskiego do sprostania wielkim i ciężkim zadaniom, czekającym nas może już w niedalekiej przyszłości. Istotnie bowiem, obserwując bacznie to wszystko, co się dzisiaj w różnych państwach dzieje, widzimy, że te z pośród nich, które naprawdę są żywotne, załatwiają się stosunkowo szybko z różnemi przeszkodami ustrojowemi i innemi, które mogą im roz-

wój utrudniać. Mimo różnych niekiedy pozorów liberalizmu, dyskusji, tolerancji i ustępliwości wobec rozmaitych zjawisk szkodliwych, w gruncie rzeczy rządy tych państw i opinja tych społeczeństw prędko, nieraz twardo załatwiają się z takimi przejawami. U nas zaś wszystko, co nam szkodzi, co nas osłabia, traktuje się z jakąś dziwną miękkością, chwiejnością, rzec można: pryncypialnością. Zdradza to tylko nasze pokrewieństwo ze wschodem i to jeszcze w specyficznie miękkiem, kompromisowem, polskiem wydaniu.

Z tem trzeba zerwać. Państwo nowoczesne, jeżeli chce istnieć, musi być twarde i zdecydowane w swym ustroju i w swej polityce. Twardy i zdecydowany musi być także nastrój i system pracy żywotnego społeczeństwa. Nie filozofowanie, przesubtelnianie i kompromisy, ale stanowcze cięcia i męska decyzja. Są ludzie na świecie, którzy zawsze mają rację, ale w praktyce zawsze wszystko przegrają. Są także takie narody. Nie o djalektyczną rację chodzić nam więc powinno, ale o zdrowe, praktyczne, zmysłem państwowym dyktowane uregulowanie naszych stosunków i ustawowe opancerzenie się przeciw wszystkiemu, co nas może osłabić.

A duch ten i system w ustroju prawnym i w pracy całego społeczeństwa niezbędne są zwłaszcza dla Polski, jako najbardziej w swej egzystencji zagrożonego państwa na świecie. Oby zechcieli pamiętać o tem ci, w których ręce złożono obecnie zadanie naprawy konstytucji! Niech, przystępując do tego dzieła, zechcą rozstrzygnąć sobie przedewszystkiem zasadnicze pytanie: Czy drobne stosunkowo poprawki, jako produkt tysiącznych, subtelnych względów i kompromisów — czy też gruntowna naprawa ustroju, choćby w postaci pierwszego, ale zdecydowanego etapu?

Czekamy!!

Jan Bobrzyński.

CHRZEŚCIJAŃSCY ROLNICY.

Czy i jaka jest właściwie zasadnicza racja bytu Chrześcijańskich Rolników w Polsce?

Pytanie to postawił mi Szanowny Redaktor „Naszej Przyszłości“, który lubi odważnie podchodzić do każdego interesującego go problematu, który chce nietylko sam zrozumieć, ale również, aby inni myślący obywatele państwa polskiego, do których przedewszystkiem zalicza czytelników i przyjaciół „Naszej Przyszłości“, zrozumieli te przejawy organizacji naszego życia państwowego, które w organizacji tej chcą i mają prawo zająć odpowiednie twórcze stanowisko.

By zadośćuczynić życzeniu pana Dr. Bobrzyńskiego, chcę rzucić na papier te główne wytyczne, które są rezultatem długich moich na ten temat rozmyślań i które sprawiły, że wierzę w Chrześcijańskich Rolników, że uważam ich w Polsce za organizację, w interesie rozwoju państwa naszego konieczną i że w miarę mych sił i możności staram się zapewnić im racjonalny i normalny rozwój.

Każde państwo w strukturze swego całokształtu musi się oprzeć na różnych organizacjach, mających poszczególne, specjalne swe podstawy i zadania, swe specjalne racje bytu. Aby jednak, opierając się na tych poszczególnych organizacjach, mających specjalne cele i zadania, państwo nie opierało się na „glinianych nogach“, trzeba, by i organizacje te miały zdrowe podstawy, tak moralne, jak i materjalne. Otóż, zdaniem naszem, fundamentem każdej społecznej organizacji, zasadniczą komórką, na której opiera się zdrowa organizacja państwa, jest rodzina. By komórka ta była trwałą, by mogła celowo się rozwijać, by nie była tylko jaczejką hodowlaną, lecz miała głębsze podsta-

wy i cele, musi opierać się na zasadach jakiejś moralności, mieć przed sobą jakieś wyższe, nie wyłącznie materjalne tylko cele.

Moralność chrześcijańska, jako stojąca na najwyższym poziomie, jako wskazująca najwyższe, gdyż Boskie cele, jest tą podstawą, na której, zdaniem naszem, oprzeć winniśmy polską rodzinę. Dlatego to Chrześcijańscy Rolnicy, przywiązujący do rodziny tak wielkie znaczenie, w nazwie swej ten charakter chrześcijański uwypuklili.

Nie znaczy to bynajmniej, by organizacja nasza miała być organizacją wyznaniową; oznacza to tylko, że za podstawę naszej działalności bierzemy naukę Chrystusa, że opieramy się na moralności chrześcijańskiej.

Z drugiej strony jedną z głównych przyczyn przeżywanego obecnie przez parlamentaryzm całego świata kryzysu jest wykolejenie go na linję walk czysto politycznych, walk stronnictw, ich leaderów, a więc osób, z usunięciem na plan drugi prawie zupełnie w cień interesów gospodarczych, a więc właściwie materjalnych podstaw bytu każdego państwa.

Dziś jednak bardzo wyraźnie zaczyna zarysowywać się już na świecie całym tendencja przywrócenia interesom gospodarczym państwa ich właściwego znaczenia, zabezpieczenia im wpływu na bieg spraw przez wyraźny, pod własną flagą, udział w życiu ustawodawczem, przez możność wywierania należytego wpływu na zarząd krajem, na jego kierunek polityczny.

Gdy więc interesy gospodarcze mają mieć zapewnioną własną reprezentację i wpływ na kierunek nawy państwowej, to by módz zadanie to spełnić, muszą wysiłki swe koordynować, muszą się zrzeszać, czy to drogą przymusu (Włochy), czy też drogą normalnej ewolucji (Niemcy).

W tych warunkach kraj, którego prawie 70% ludności pracuje na warsztacie rolnym, nie może nie pójść po linji zrzeszania się rolników, nie może, poza organizacjami czysto zawodowemi, nie tworzyć organizacji także zawodowo-

politycznej dla obrony swych interesów zawodowych na arenie politycznej. Jest to logiczna konsekwencja nowej, rodzącej się z trudem koncepcji ustrojowej, nowego światopoglądu na życie i organizację nowoczesnego państwa.

Jeżeli zgodzimy się na to, że w nowoczesnem państwie, jakiem chce i winna być Polska, polityczna reprezentacja i obrona interesów rolnictwa jest koniecznością, to winniśmy już tylko zastanowić się nad tem, jaką ma być jej ostateczna krystalizacja: czy całkiem jednolitą, czy też zróżniczkowaną, to jest reprezentacją większej i mniejszej własności?

Zdaniem naszem, organizacja ta winna być jednolitą, to jest wszechstanową, tak w zrozumieniu społecznem, jak i ekonomicznem, a więc ziemian z włościanami, wielkich warsztatów z małymi. Do konkluzji tej doprowadzają nas następujące przesłanki.

Przedewszystkiem zarysowujące się coraz bardziej bankructwo idei socjalistycznej, a więc i hasła walki klas. Podział zaś na większą i małą własność mógłby bardzo łatwo być skierowany na tory wzajemnego przeciwstawiania się interesów, na drogę walki. Powtóre, do tego podziału interesów większej i mniejszej własności w Polsce niema materjalnych podstaw. Większa własność u nas rzadko jest bardzo wielką, a w tych wypadkach jest przeważnie zawsze leśną. Ziemianie w Polsce są spadkobiercami stanu szlacheckiego, ten zaś był w kraju naszym bardzo liczny. Była to swego rodzaju demokracja, za wyjątkiem niebardzo licznych u nas fortun magnackich, ze sferą włościańską często obcująca, bezpośrednimi interesami z nią związana.

Czasy obcych zaborów, czasy wspólnej niewoli i wspólnej walki o duszę narodu, węzeł ten między szlachtą a włościaństwem silnie zacieśniły. Ziemiaństwo nasze, mając w państwach zaborczych, prócz Austrji, zamknięte wszelkie inne karjery, poświęcało się rolnictwu z całym zapałem, własnemi rękoma, własną energją doprowadzało

swe, niewielkie zresztą warsztaty do wysokiego poziomu kultury i za pośrednictwem towarzystw rolniczych, kółek i kooperatyw rolnych promieniowało wokoło, tworząc tę rzeczywistą elitą świata rolniczego, która patrzała na swój fach nietylko z punktu widzenia własnych zarobków, ale i z punktu widzenia wypełnienia obowiązku wobec własnego kraju, dania przykładu, wychowania i pociągnięcia za sobą na tej drodze kultury swych młodszych braci, za jakich zawsze uważaliśmy w Polsce włościan. Niema u nas ani podstaw ekonomicznych, ani tradycji, ani wzajemnej chęci do tworzenia czy to „ritterbundów", czy „bauernbundów". Są zato silne tradycje wspólnej i owocnej pracy. Jak tradycje te są silne, najlepszy dowód w tem, że ani polityka austryjacka rzezi galicyjskich, ani serwituty, ani komisarze włościańscy zaboru rosyjskiego, ani rodzime ustawodawstwo przymusowej reformy rolnej, progresji i degresji, ani tak długo protegowana u nas przez wszelkie władze socjalistyczna demagogja, nie potrafiły ziemiaństwa naszego od pracy i misji swej odstraszyć, ani nie potrafiły na dłużej we włościaństwo polskie rzucić zarzewia nienawiści i nieufności. Tak dziś, jak dawniej, gdzie stoi staropolski dwór, który poczuwa się do obowiązku kulturalnego promieniowania, tam koło niego skupiają się rzesze włościańskie, na złość naszym rodzimym bolszewikom, na pohybel agentom ze wschodu czy zachodu!

Warunki bytu państwa naszego są ciężkie, pozycja geograficzna fatalna, wspomnienia rozdarcia i niewoli zbyt bliskie, byśmy mogli sobie pozwolić na rozstrzelenia, byśmy nie poszli ręka w rękę, ramię przy ramieniu, w twórczej pracy budować na tym polskim zagonie naszej przyszłości i bronić naszej teraźniejszości.

Jesteśmy narodem zdrowym, z tradycji na rodzinie opartym, silnie rozrodczym, mamy dobry warsztat rolniczy, stosunkowo bardzo małe różnice socjalne, żadnej właściwie tradycyjnej kastowości (do szlacheckiego stanu przystęp był łatwy — pole bitwy, przyjęcia do herbu), silne,

szczególnie z czasów rozbioru, tradycje wspólnej, solidarnej pracy.

Jest to niezmiernie podatny, jakby przez naturę i historję stworzony grunt dla pracy Chrześcijańskich Rolników. Ich racja bytu rzuca się więc sama w oczy, pole pracy przed nimi obszerne, zadania niezmiernie wielkie. Życzyć im więc tylko trzeba, by zadaniom tym sprostali, by misję swą dziejową spełnili.

Józef Wielowieyski.

Powyższe uwagi p. Senatora Wielowieyskiego, prezesa Chrześcijańskiego Stronnictwa Rolniczego, pozwala sobie Redakcja uzupełnić następującym komentarzem.

Szanowny Autor określił bardzo trafnie i wszechstronnie rolę i zadania Chrześcijańskich Rolników i dlatego niema potrzeby czegokolwiek nowego dodawać. Chcemy tylko podkreślić wyraźniej dwie kwestje, przez Autora szkicowo poruszone.

„Dziś bardzo wyraźnie zaczyna zarysowywać się na świecie całym tendencja przywrócenia interesom gospodarczym państwa ich właściwego znaczenia, zabezpieczenia im wpływu na bieg spraw przez wyraźny, pod własną flagą, udział w życiu ustawodawczem, przez możność wywierania należytego wpływu na zarząd krajem, na jego kierunek polityczny".

Czyli: nowe, wymowne i w sferach naszego rolnictwa wielce autorytatywne stwierdzenie rozwoju ideologji objektywizmu gospodarczo-politycznego oraz faktu krzepnięcia w społeczeństwie „frontu zawodowego", co sygnalizuje pewna grupa w obozie zachowawczym już od trzech lat zgórą, a co „Nasza Przyszłość" przedstawiła już czytelni-

kom w kilku artykułach, zamieszczonych w poprzednich tomach. Przecież — pomijając powody, a stwierdzając tylko fakta — powstanie i rozwój Chrześcijańskiego Stronnictwa Rolniczego, stojącego „od magnata do chłopa“ pod sztandarem zawodowo-rolniczym, jest jednym z wybitnych przykładów owego samorzutnego przegrupowywania się społeczeństwa w pewien „front zawodowy“, na którym oprze się w przyszłości także przewidywany przez nas ogólny ustrój państwa i parlamentaryzmu, nietylko w Polsce, ale i gdzieindziej, wypierając stopniowo z życia politycznego zarówno bezkrytyczny radykalizm, jak i doktrynę Marxa.

A powtóre, zwróćmy uwagę na inny ustęp, wielkiej wagi:

„Ziemianie w Polsce są spadkobiercami stanu szlacheckiego, ten zaś był w kraju naszym bardzo liczny. Była to swego rodzaju demokracja... ze sferą włościańską często obcująca, bezpośrednimi interesami z nią związana. Czasy obcych zaborów, czasy wspólnej niewoli i wspólnej walki o duszę narodu, węzeł ten między szlachtą a włościaństwem silnie zacieśniały. Ziemiaństwo nasze... własnemi rękoma, własną energją doprowadzało swe, niewielkie zresztą warsztaty do wysokiego poziomu kultury i za pośrednictwem towarzystw rolniczych, kółek i kooperatyw rolnych promieniowało wokoło, tworząc tę rzeczywistą elitę świata rolniczego, która patrzała na swój fach nietylko z punktu widzenia własnych zarobków, ale i z punktu widzenia wypełniania obowiązków wobec własnego kraju, dania przykładu, wychowania i pociągnięcia za sobą na tej drodze kultury swych młodszych braci, za jakich zawsze uważaliśmy w Polsce włościan. Niema u nas ani podstaw ekonomicznych, ani tradycji, ani wzajemnej chęci do tworzenia „ritterbundów“ czy „bauernbundów“. Są zato silne tradycje wspólnej i owocnej pracy. Jak tradycje te są silne, najlepszy dowód w tem, że ani polityka austrjacka rzezi

galicyjskich, ani serwituty, ani komisarze włościańscy zaboru rosyjskiego, ani rodzime ustawodawstwo przymusowej reformy rolnej, progresji i degresji, ani tak długo protegowana u nas przez wszelkie władze socjalistyczna demagogja, nie potrafiły ziemiaństwa naszego od pracy i misji swej odstraszyć, ani nie potrafiły na dłużej we włościaństwo polskie rzucić zarzewia nienawiści i nieufności. Tak dziś, jak dawniej, gdzie stoi staropolski dwór, który poczuwa się do obowiązku kulturalnego promieniowania, tam koło niego skupiają się rzesze włościańskie, na złość naszym rodzimym bolszewikom, na pohybel agentom ze wschodu czy zachodu!".

Powtarzamy in extenso ten ustęp, bo każde jego słowo wbić sobie powinni w pamięć nietylko ci wszyscy, których hasłem jest zniszczenie ziemiaństwa w Polsce, ale i... sami ziemianie! Zwłaszcza oni. Bo wielu, wielu z nich, czy to z przesadnego strachu o własną skórę, czy z wyciągania całkiem fałszywej analogji między sobą a szczupłą i obcą szerszemu społeczeństwu garstką magnatów i potomków raubritterów szlacheckich w innych państwach, ulega narzuconej im przez partje demagogiczne ideologji, traktującej ziemiaństwo polskie za „przeżytek na wymarciu".

— Za kilkanaście lat — powiadają z rezygnacją — już ani śladu z nas nie będzie!

Zapominają, podobnie, jak ich przeciwnicy, że między warstewką feudalnej szlachty w obcych krajach, a bardzo liczną, rzec można: wszechstanową, warstwą szlacheckiej demokracji w Polsce była od niepamiętnych czasów ogromna, zasadnicza różnica. Wszak żaden poważnie a uczciwie myślący demokrata współczesny nie może zaprzeczyć, że owe wielotysięczne herbowe rzesze, zamieszkujące nietylko pałace i dwory, ale i zaścianki i chaty, zajmujące się uprawą maleńkiego nieraz kawałka ziemi, później nawet szukające nieraz innego zarobku (handel i t. d.), nie były niczem innem, jak demokracją i to, jak na ówczesne sto-

sunki, bardzo szeroko pojmowaną. Wszak sejmy i różne urzędy w Polsce były bez porównania bardziej demokratyczne, niż gdziekolwiek indziej w owych czasach, nawet w t. zw. republikach! Były nawet aż zanadto demokratyczne, skoro na sejmach i sejmikach wymaganą była jednomyślność! A wybór monarchy odbywał się nawet plebiscytem.

Ale demokratyczne te rzesze, których egzystencja nie różniła się często prawie niczem od egzystencji średniozamożnych chłopów, miały jednak jedną znaczną wyższość nad innymi stanami: kulturę i poczucie odpowiedzialności obywatelskiej. Ta ich kultura, a nie jakakolwiek inna, promieniowała na dalekie kresy i asymilowała dla polskości — bez siły i gwałtu — obcoplemienne żywioły.

Dzisiaj szeroki ten stan demokracji herbowej pozostał w znacznej części na roli, ale w bardzo znacznej przeniósł się do miast, zajmując tam rozliczne obywatelskie, naukowe, urzędowe i gospodarcze stanowiska i wnosząc ze sobą tę samą właśnie kulturę obywatelską i poczucie państwowości, aby wprost nie rzec: poczucie narodowe — które odziedziczył w tradycji.

I taki to potężny stan, z ziemią bezpośrednio lub przez koligacje związany, stanowiący dziś jeszcze rdzeń odwiecznej idei narodowej, chcą w demagogicznym porywie zniszczyć kliki nowoczesnych arywistów politycznych, małpujących wszelkie rewolucyjne zachcianki zagranicy! I ten stan miałby się dać zniszczyć przez te kliki arywistów! Gdyby to się stać miało, to byłoby to, w danych warunkach wielkiej siły, jaką na wsi i w mieście stan ziemiański zawsze jeszcze posiada, chyba tylko dowodem istotnej jego degeneracji!!

Nie wierzymy w to. I dlatego w idei Chrześcijańskich Rolników, o ile okaże się wytrzymałą na zmiany konjunktur politycznych, dopatrujemy się czegoś więcej, jak tylko organizacji zawo-

dowo-rolniczej: dopatrujemy się — ogółem biorąc — regeneracji i aktywizacji politycznej w niepodległej ojczyźnie tego potężnego stanu „demokracji szlacheckiej", która, nawiązując z żywiołową siłą do dawnych tradycji, poprawiając, co w nich było ujemne i modernizując się odpowiednio do cywilizacyjnego postępu, wzmocni znowu fundamenta naszej polskiej kultury i myśli państwowej (idei narodowej), osłabione czy wypaczone długoletnią niewolą zaborczą i dezorganizującą gospodarką partji radykalnych.

POLSKOŚĆ NA EMIGRACJI.

Do sprawy emigracji podchodzono u nas z różnych stron: od strony kultury, łączności z macierzą, rezerwy sił dla państwa, strat ekonomicznych przez wywóz najlepszych sił i t. d. Chciałbym tu poruszyć sprawę emigracji z punktu widzenia wydawcy książek polskich.

Polski rynek emigracyjny nie odgrywa do tej pory poważniejszej roli jako konsument książki polskiej, wyprodukowanej w Polsce. A jednak około siedem miljonów Polaków, żyjących poza obrębem granic naszego państwa, powinnoby zużywać conajmniej trzecią część tej ilości książek, jaką zużywają Polacy, zamieszkali w Polsce. Niestety, tak nie jest. Te siedem miljonów ma znikome potrzeby w zakresie polskiego czytelnictwa i dla wydawców polskich nie przedstawia dotąd prawie żadnej wartości. Polskie Towarzystwo Wydawców Książek czyni wprawdzie próby wykorzystania tego rynku; wyłoniło sekcję emigracyjną, zbiera adresy instytucji i szkół polskich na obczyźnie, zwołuje ankiety dla spraw czytelnictwa i bibljotek. Wszystkie jednak prace w tym kierunku są paraliżowane przez brak jednolitego programu emigracyjnego Polski. Dopóki program taki nie będzie opracowany, wszelkie wysiłki dla rozszerzenia zbytu książek polskich wśród wychodźtwa będą kulały i pochłoną mnóstwo pieniędzy, czasu i pracy, bez widocznych rezultatów.

Dotychczas tak my, jak i nasza emigracja, nie jesteśmy zdecydowani, gdzie i w jakim zakresie ma być kultywowana odrębność narodowa, a nawet państwowa wychodźców polskich. O ile we Francji wprowadzono już w życie pewien program oświatowy i szkolny, a w Niemczech możemy mieć tylko program walki przeciw bezwzględnej ger-

manizacji, o tyle w Stanach Zjednoczonych jest jeszcze zupełnie nieustalone, czego chcemy i do czego dążymy. Pozwolę tu sobie wypowiedzieć parę uwag co do celowości naszych zamierzeń.

A więc trzeba się przedewszystkiem zastanowić nad tem, czego chcemy od naszego emigranta? Jedni chcą, aby i na wychodźtwie pozostał „pełnym Polakiem", mówiącym po polsku, złączonym organicznie z Polską, a nawet poczuwającym się państwowo do obywatelstwa polskiego. Inni — wręcz przeciwnie — uważają, że wychodźca, ze względu na swój interes materjalny, powinien jak najprędzej zatracić wszelką łączność z krajem ojczystym, wynarodowić się i wsiąknąć w obce społeczeństwo.

Otóż z ogólnej ilości Polaków na obczyźnie wydzieliłbym najpierw wielką grupę Polaków w krajach ościennych, której nie można uważać za emigrację, lecz za pozostałość naszego stanu posiadania, oddzieloną przypadkowo granicami od własnej państwowości. Tutaj można się obracać tylko w zakresie istniejących możliwości traktatowych i regulować stosunki na podstawie prawa wzajemności. Leży oczywiście i w interesie ogólnym i w interesie wydawców książek, żeby grupa ta posiadała jak najsilniej rozwiniętą oświatę w języku polskim, używała podręczników szkolnych z Polski i dostarczała poważnego kontyngentu czytelników polskiej książki.

Druga grupa — to emigracja czasowa, zarobkowa, krótkoterminowa, na rok lub dwa do pięciu lat. I tu trzeba starać się o utrzymanie w emigrancie maximum polskości tak, aby on, czy jego rodzina, byli po powrocie bardziej pod względem polskości uświadomionymi i do niej przywiązanymi, niż przed wyjazdem.

Pozostaje grupa najważniejsza — emigracja trwała, a więc, jak obecnie, stara emigracja w Stanach Zjednoczonych, stara i nowa w Brazylji i Kanadzie, oraz nowa we Francji, nie mówiąc na razie o Argentynie, Angoli i Peru. Tam emigrant wyjeżdża albo na zawsze, to znaczy, że i je-

go rodzina tam pozostanie, albo z zamiarem powrotu — po „dorobieniu się“ — co wymaga jednak kilkudziesięciu lat i stawia pod znakiem zapytania sprawę powrotu jego dzieci. Emigracja tej grupy liczy już przeszło 4 miljony, wytworzyła własną inteligencję i jest gospodarczo najsilniejszą. Tutaj trzeba już pogodzić stały pobyt w obcem państwie, wśród obcego społeczeństwa i wynikające stąd konieczności asymilacyjne z naszemi potrzebami, t. j. dążeniami do zachowania w tej grupie jak największej łączności z Polską, takiej łączności, którąby wychodźcy tego typu dawała jakieś korzyści, a nie psuła mu karjery na obcym terenie.

Zdawałoby mi się, że takiem rozwiązaniem byłoby jasne postawienie sprawy: Zgadzamy się, by nasz emigrant, należący do tej właśnie grupy wychodźtwa trwałego, stał się państwowo cząstką społeczeństwa, w którem osiadł. Zgadzamy się, aby on lub jego dzieci uważały się za przynależne do tego kraju, w którym pracują. Żądamy zaś jedynie, by nie zatracili poczucia swego pochodzenia i przynależności kulturalnej do Polski, a to przez Kościół i przez język. W praktyce sprowadzi się to do takiego stanu rzeczy, w jakim jest np. emigracja francuska w Stanach Zjednoczonych, która, wsiąknąwszy zupełnie w społeczeństwo amerykańskie, czyli — jak to mówią — zamerykanizowawszy się, jest jednak niezmiernie dumna ze swego francuskiego pochodzenia, szczyci się swą francuską kulturą i jest wielkim odbiorcą francuskiej książki.

Wydaje mi się więc, że dla emigracji trwałej program łączności kulturalnej z macierzą powinien oprzeć się na żądaniu nabożeństwa polskiego i obowiązkowego nauczania w szkołach języka polskiego oraz historji i geografji polskiej. Wówczas zniknie rozdźwięk między rodzicami a dziećmi na wychodźtwie, gdzie rodzice uważają się jeszcze za Polaków, rzuconych tylko z przymusu na obczyznę, ale dzieci starają się już często zapomnieć o swem pochodzeniu, zmieniają nazwiska, a nieraz nawet nie przyznają

się do polskości. Taki stan rzeczy wywołany jest często właśnie dążeniem do zachowania wychodźcom polskości w pełnej formie. Utrudnia to już ich dzieciom współżycie z towarzyszami, uniemożliwia młodzieży obcowanie z miejscową młodzieżą z lepszych sfer, a ludziom dorosłym często zamyka karjerę.

Polskość natomiast jako tradycja, jako więź kulturalna, przy zewnętrznem zasymilowaniu się w odpowiednim stopniu z obcem społeczeństwem, podnosi stanowisko emigranta i ułatwia mu życie. Wychodźtwo w Stanach Zjednoczonych wchodzi już samorzutnie na tę drogę i coraz mocniej broni się przed robieniem z niego „prowincji starego kraju". Ciągle jednak panują tam jeszcze tarcia i zgrzyty, tak wśród wychodźtwa, jak i między żywiołem polskim a amerykańskim; tarcia te są bardzo często podsycane z kraju przez źle ujętą opiekę nad emigracją i niewłaściwie pojmowaną troskę o jej polskość. Gdzieindziej zdarzają się również takie tarcia i nieraz uniemożliwiają wykorzystanie terenów emigracyjnych, skądinąd korzystnych dla nas, gdyż obce państwa boją się wprowadzać do siebie polskiego żywiołu, nie wiedząc, jak dalece będą go mogły zasymilować.

Polska jeszcze przez wiele lat musi szukać dla swoich dzieci wyżywienia na obczyźnie, należy więc dołożyć wszelkich starań, aby dzieci te miały możność urządzenia się tam jak najlepiej. A więc i sprawę ich polskości trzeba tak postawić, żeby, nie zatracając nic z wartości kulturalnych, dała im jednak maximum korzyści.

Z punktu widzenia książki polskiej takie generalne uregulowanie sprawy jest niezmiernie pożądanem. Jeżeli państwa, do których emigrujemy, zrozumieją, że idzie nam tylko o zachowanie świadomości pochodzenia i kultury polskiej oraz o związanie emigranta z krajem ojczystym wyłącznie w dziedzinie ducha, to sądzę, że zgodzą się bez zastrzeżeń na wprowadzenie polskich książek do szkół i bibljotek. Trzeba będzie wtedy wytworzyć specjalne ty-

py podręczników dla szkół na emigracji, wykształcić odpowiedni zastęp instruktorów, wprowadzić odpowiednie katalogi bibljotek. To wszystko zrobić możemy. Dziecko, któremu język polski nie będzie przeszkadzał w życiu, chętnie będzie w tym języku czytało. A jeżeli podręczniki o Polsce i jej rzeczach oraz odpowiedni wykład potrafią rozbudzić entuzjazm dla naszej literatury, to będziemy mogli znaleźć na wychodźtwie wielki zbyt dodatkowy na książkę polską.

Słowo drukowane jest — po modlitwie — najsilniejszą spójnią kulturalną, rozpowszechnienie więc polskiej książki wśród wychodźtwa zagwarantuje zachowanie go dla naszej kultury, naszego języka i dla naszej siły duchowej.

Stanisław Arct.

WATYKAN A SOWIETY.

Bezwzględna, podstępna i niszczycielska walka bolszewików z religją w Rosji, przeważnie skierowana przeciwko Cerkwi Prawosławnej, odznacza się jednocześnie szatańską nienawiścią ku Kościołowi Katolickiemu, o której rozmiarze możemy wnioskować choćby z oceny przez bolszewików znaczenia Kościoła, a osobliwie Watykanu, jako jego ośrodka.

Zasadniczą przyczyną przejawu nienawiści bolszewickiej w stosunku do Kościoła, wyrażającej się nietylko w barbarzyńskiem prześladowaniu jego wyznawców, lecz również w szerzeniu propagandy bezbożnej i antykatolickiej, jest uplanowana zgóry tendencja bolszewicka, by podtrzymywać, a nawet pogłębiać wrogi stosunek między Cerkwią Prawosławną a Kościołem, datujący się już od chwili wystąpienia schizmy. Aby więc zapobiedz jakiejkolwiek możliwości zbliżenia się pomiędzy prawosławiem a katolicyzmem i usunąć niebezpieczeństwo, wynikające ze zjednoczenia poróżnionych dotychczas Kościołów, bolszewicy wszelkiemi siłami dążą dzisiaj do szerzenia najrozmaitszych teorji antyunijnych, do kompromitowania w różnej formie jednej i drugiej instytucji.

Do podjęcia i prowadzenia takiej walki potrzeba przedewszystkiem poznać przeciwnika.

Z nielicznej pod tym względem literatury wymienić należy pracę A. Mietielewa p. t. „Watykan", z przedmową M. Pawłowicza *).

Autor przedmowy, jako wyraziciel urzędowej opinji bolszewików, poprzedza pracę Mietielewa stwierdzeniem

---

*) Por. A. Mietielew, Watikan. Priedisłowije M. Pawłowicza. Gosudarsttwiennoje izdatielstwo. Leningrad 1926.

faktu, że największą potęgą religijną na świecie wśród wszystkich wyznań jest tylko Kościół Katolicki *).

Odrzucając pierwiastek nadnaturalny w ocenie Kościoła, jako czynnika o potędze światowej, przedmówca widzi w nim poważne niebezpieczeństwo dla bolszewizmu jedynie w zewnętrznej jego formie organizacyjnej, jako obejmującej świat cały i odgrywającej ogromną rolę w układzie stosunków narodowych, państwowych, politycznych i kulturalno-cywilizacyjnych.

Zwłaszcza niepokoi bolszewików wiekowa potęga Watykanu — strach przed tą siłą, wobec której żadnego prawie znaczenia nie posiadają wszelkie rewolucje lub też na większą skalę wybuchające ruchy antyreligijne, czy antykatolickie. Nie mając możności wykazania dowodami historycznymi słabości lub ustępliwości Kościoła Katolickiego, idą bolszewicy do Kanossy i uznają potęgę Kościoła w fakcie chociażby ostatnim, który miał miejsce we Francji dnia 30 stycznia 1905 roku, kiedy rzekomy proletarjat paryski, przez proklamowanie ustawy rozdziału Kościoła od państwa, łudził siebie iluzją czynu epokowego, który jednak de facto w niczem nie zmienił wpływu Watykanu nietylko na stan religijny, lecz nawet na wewnętrzną politykę Francji.

Okres wojny światowej, zdaniem bolszewików, był największym przejawem potęgi i mocy Watykanu, ponieważ rządy wszystkich państw wojujących gwałtownie dobijały się o wstęp do Papieża, celem uzyskania słów potępienia dla strony przeciwnej.

Analizując trudną i skomplikowaną rolę Watykanu podczas wojny światowej, przyznają bolszewicy, że mimo wszystko potęga i wpływ jego po ukończeniu wojny zwiększyły się zarówno w krajach Ententy, jak i w państwach centralnych. Przyczynę tego zjawiska upatrują

---

*) „...średi wsiech cerkwiej: prawosławnoj, protiestantskoj, jewriejskoj, musulmanskoj i t. d. osobym moguszczestwom otliczajetsia katoliczeskaja cerkow...". Por. dz. cyt. 3.

w pojawieniu się niebezpieczeństwa ze strony komunizmu, który, przyoblekając się w formę ustroju realnego i agresywnego, z natury rzeczy zmusił wszystkie państwa do gruntownej zmiany swoich stosunków z Watykanem, jako z jedynym i wyłącznym czynnikiem, zdolnym do przeciwstawienia się bolszewizmowi, dzięki tym potężnym i niezawodnym środkom i narzędziom, jakiemi rozporządza do walki nietylko z wszelkiego rodzaju przewrotnością, lecz przedewszystkiem z każdą ideologją rewolucyjną.

Nic też dziwnego — pisze w swej przedmowie Pawłowicz — że jeszcze wczoraj wolnomyślna i antyklerykalna burżuazja staje się dzisiaj, w obawie przed bolszewizmem, religijną, a w błogosławieństwie papieskiem szuka dla siebie obrony.

„Internacjonalizm“ Kościoła Katolickiego, ujawniający się w jego działalności misyjnej, jako zmierzającej do opanowania kontynentu żółtego i czarnego, nasuwa poważną przeszkodę dla komunistycznej międzynarodówki w jej akcji wywrotowej.

Stąd wynika potrzeba zapoznania się z rozmiarami akcji misyjnej, a zwłaszcza z jej źródłem, czyli z organizacją Kościoła i działalnością całego aparatu watykańskiego.

Przypatrując się bliżej dziejom Watykanu w perspektywie jego działalności tysiącletniej, jako instytucji, znanej wszystkim narodom, podkreśla Mietielew, że na tak długiej drodze dziejowej Watykan widział i zdziałał bardzo wiele, zwłaszcza, skoro rządził mnóstwem krajów i narodów, zdobywając sobie przeróżne wpływy w stosunkach międzynarodowych, które nie uległy żadnej zmianie, nawet w chwili obecnej, za rządów Piusa XI, jakkolwiek bardzo skrępowanego w swem włodarstwie politycznem w stosunku do swoich poprzedników.

Alokucja papieska Piusa XI w grudniu 1924 roku z okazji otwarcia roku świętego, omawiając różne ważniejsze wydarzenia i dotykając spraw Rosji sowieckiej, była dla bolszewików przedmiotem wielkiego zainteresowania,

jako odzwierciadlająca ideę Kościoła powszechnego (mirowej cerkwi).

Tu bolszewicy podkreślają szczerość papieża, który z całą bezwzględnością potępia zło, spowodowane upadkiem wiary. Zarzut ten, skierowany pod ich adresem, starają się bolszewicy usprawiedliwić wobec swojej opinji społecznej argumentem dziwacznym i wykrętnym, mianowicie, że to zło wynika nie z ich dążeń socjalnych i politycznych, lecz z wiary, która zdaniem ich jest narzędziem do eksploatowania ludzi.

Większą wszakże uwagę zwrócili bolszewicy na tę część mowy, gdzie papież porusza wyniki działalności misji papieskiej w Rosji dla niesienia doraźnej pomocy dotkniętej klęską głodową ludności rosyjskiej, który cel misja osiągnęła całkowicie. Zdanie papieża w tej sprawie interesowało bolszewików dlatego, że uwydatniało ono zamiar Stolicy Apostolskiej ratowania nieszczęśliwej ludności, nie zaś popierania rządu sowieckiego.

Zaniepokoiły ich również słowa papieża, w których uwydatnił swe prawa ojcowskie, nadane mu przez Boga nad całym Kościołem powszechnym, wraz z obowiązkiem upominania, zwłaszcza osób stojących u steru władzy, aby przestrzegali pokoju, ładu i porządku oraz szanowali świętość ogniska rodzinnego i godność ludzką. Największą zaś ich uwagę zwraca zdanie przemówienia, gdzie Ojciec św. wzywa wszystkich do wysiłku nad odwróceniem grożącego ludzkości niebezpieczeństwa i klęski ze strony socjalizmu i komunizmu.

W tych właśnie słowach papieża widzą bolszewicy największe dla siebie niebezpieczeństwo, rozumiejąc, że są one potężnym orężem duchowym i moralnym świata religijnego, przy pomocy którego w niedługim czasie rozegra się walka dwóch światów — prawdy i zła, światłości i ciemności. Słowa te zrozumieli bolszewicy jako ostrzeżenie ze strony papieża, czyli owej moralnej i duchowej potęgi, która, nie znajdując sił sobie równych, będzie dą-

żyła do bezwzględnego usunięcia niebezpieczeństwa w imię praw Bożych i dobra ludzkości. Stąd też bolszewicy widzą w tych zdaniach Ojca św. najwyraźniej nie zwykłą mowę, lecz wprost odezwę do rządów całego świata w sprawie walki z komunizmem *).

Myśli papieża, wygłoszone w cytowanej alokucji, nie są wypowiedziane napróżno, tak, że obrona ludzkości przed nieszczęściem komunizmu prędzej czy później przyoblecze się w szaty pewnej akcji. To też Mietielew już zawczasu planuje szykować się do przyszłej walki, a pierwszym krokiem w tych poczynaniach jest dokładny i szczegółowy wywiad w celu poznania swego groźnego przeciwnika, t. j. całej organizacji watykańskiej, zwłaszcza jej organów poszczególnych. Ponieważ atak bezpośredni na całość Watykanu, bez uprzedniego wywiadu i planu, byłby, zdaniem Mietielewa, całkiem chybiony, przeto wypowiada się on za opracowaniem planu strategicznego względem Watykanu, a więc i całego Kościoła Katolickiego.

Dla Mietielewa Watykan jest państwem, na czele którego stoi papież z nieograniczoną władzą nietylko nad światem katolickim, lecz wogóle nad „całym światem", którą jednak wykonuje przy pomocy kolegjum kardynalskiego, zwłaszcza przez tych z jego grona, którzy stoją na czele poszczególnych Kongregacji. Kongregacjami główniejszemi kieruje sam papież osobiście.

Struktura rządu kościelnego, w zrozumieniu bolszewickiem, jest podobna do struktury rządu zwykłego państwa „burżuazyjnego", z tą tylko różnicą, że papież swoje ministerstwa nazywa — Kongregacjami, a ministrów — kardynałami.

W roku 1908 Pius X, stosując się do wymagań ducha

---

*) „Centralnym zwienom w rieczi papy jawlajutsia tie słowa, gdie on goworit ob spasmostiach, kotoryje niesiot za soboj komunizm. Zdieś w zamaskirowanuczu widie papa prigłaszajet wieś mir i osobienno prawitielstwa burżuarnych stran borotsia protiw komunizma — siriecz protiw Sowietskoj własti w Rossii". Por. tamże 9, nast.

czasu, zreformował do pewnego stopnia cały aparat watykański przez skasowanie pewnych funkcji w niektórych kongregacjach i usunięcie równorzędności wśród innych.

Zawdzięczając tej formie, system rządu kościelnego zdobył wielką giętkość i ruchliwość, bez porównania większą, niż panująca dotąd od czasów Sykstusa V.

Do najgłówniejszych Kongregacji zalicza Mietielew św. Officium, przezywając je tendencyjnie „świętą inkwizycją" w znaczeniu średniowiecznej inkwizycji hiszpańskiej, dookoła której, zwłaszcza w Rosji, pokutuje tendencyjne oświetlenie historyczne, podtrzymywane przez bolszewików w literaturze antyreligijnej aż do granic fantastycznych, celem przedstawienia w kolorach najczarniejszych roli Kościoła w historji.

Według Kanonu 247. § I Kodeksu Prawa Kanonicznego, celem i zadaniem Kongregacji św. Officium, której przewodniczy sam papież, jest piecza nad czystością nauki wiary i moralności. Według zaś komentarza bolszewickiego, ta Kongregacja tysiącami swych oczu ma pilnie śledzić po całej ziemi za nienaruszalnością tego właśnie absolutyzmu religijnego, którego bolszewicy nienawidzą i sprowadzają u siebie drogą prawodawstwa do form „demokratycznych", czyli do rozbicia i zniszczenia życia religijnego, czego z powodzeniem już dokonali w stosunku do organizacji Cerkwi Prawosławnej *).

Absolutyzm religijny w Kościele Katolickim, uniemożliwia nawet najmniejszą, według Mietielewa, zmianę w nauce i zasadach kościelnych. Olbrzymi personel urzędników kościelnych stale rozpatruje nadsyłane sprawozdania biskupów ze wszystkich stron świata, a treść ich referuje kardynałowi lub całej Kongregacji.

Najbardziej niepodoba im się „specjalny trybunał" tej

---

*) Por.: Antoni Starodworski. Patrjarcha Tichon i załamanie się prawosławia w Rosji. Nasza Przyszłość, t. III, 1930, str. 107; i tegoż: Powtórne załamanie się i perspektywy Prawosławia w Rosji sowieckiej. Tamże, t. IV, 1930; str. 15.

kongregacji (widocznie chodzi tu o t. zw. „Trybunał św. Roty Rzymskiej“), który wszelkich odstępców srogo karze, aż włącznie do kar „anatemy“, wyrzucając ich za progi kościelne. Nazywając ten trybunał „świętą inkwizycją“, Mietielew jednocześnie wskazuje na jego absolutną bezwzględność i surowość postępowania z każdym, kto czyni zamach na podstawy religji lub na despotyzm władzy kościelnej.

W kwestji nieustępliwości Watykanu i bezwzględnej walki z wszelką tendencją antyreligijną, Mietielew sądzi, że główną podstawą tej zasady kościelnej jest „Konstytucja Papieska“, w myśl której nikt, oprócz namiestnika Chrystusowego na ziemi — papieża, nie ma prawa naukowego badania religji, ponieważ „konserwatyzm kościelny, jako prawo, jest jednocześnie podstawą i gwarancją siły Kościoła“ (!!). To też uważa, że rozwój t. zw. „nauki“ może jedynie spowodować rozluźnienie podstaw religijnych, a tem samem i upadek wiary.

Mimo, że bolszewicy w całej pełni zastosowali u siebie metody walki „naukowej“ z religją, jednakże, gdy chodzi o Kościół Katolicki, to przyznają otwarcie, że biada temu, kto trafi w ręce „świętej inkwizycji“, czego dowodem jest chociażby historja walk Watykanu z nacjonalistyczno-państwowemi tendencjami podporządkowania sobie Kościoła we Francji, Portugalji, w Niemczech i t. d., z których Watykan zawsze wychodzi zwycięsko *).

Ta sprawa boli jednak bolszewików dlatego, że dla ich akcji wywrotowej na terenie Zachodnim stwarza przeszkodę, mogą bowiem dać sobie radę jedynie z kościołami narodowymi, jako czynnikami rozkładowymi jedności kościelnej. Stąd też pochodzi tendencja bolszewicka nietylko

---

*) „Nie raz i nie bezuspieszno Watikan objawlał bor‘bu francuskoj cerkwi — protiw jeja nacionalnych ukłonow, portugalskoj, priznawszej razryw konkordata (dogowora), prowozgłaszonnawo wo wriemiena portugalskoj respubliki, niemieckoj cerkwi i drugiw cerkwam. „Swiataja inkwizicija“ sgibajet w baranij rog wsiech, kto, prowiniwsziś, popadajet w jejio swiaszczennyje łapy“. Por. dz. cyt. 15.

stwarzania kościelnych organizacji narodowych, lecz i rozbijania każdej na części autonomiczne, zdolne tylko do wymierania.

W bojaźni przed potęgą Watykanu Mietielew tworzy nawet specjalną kongregację „Indeksu ksiąg zakazanych“, która faktycznie przedstawia jedną z funkcji Kongregacji św. Officium w myśl § 4-go Kanonu 247. Wypada nadmienić, że na tle użytego w tekście § 4-go wyrazu „inquirere“, wyjaśniającego obowiązek Kongregacji nietylko badania, lecz i poszukiwania wydawnictw publicznych, które ze względu na swoją szkodliwość winny być potępione i zakazane, wprowadza autor nazwę „inkwizycji“ z przymiotnikiem „świętej“, aby ośmieszyć ustrój Kościoła.

Kwestja „Indeksu ksiąg zakazanych“, jako celowej i niezbędnej akcji Kościoła dla dobra duchowego wiernych, zwróciła na siebie specjalną uwagę autora.

Patrząc, jak „lettori“ (tak autor nazywa cenzorów) pilnie badają pojawiające się gdziekolwiek nowe wydawnictwo, chociażby ono miało pośredni i uboczny tylko stosunek z religją, autor podziwia tę skrupulatność, z jaką dzieła nieodpowiednie lub szkodliwe dostają się na łamy „Indeksu“ i rozmaitemi drogami, tak oficjalnemi, jak i ubocznemi, tego rodzaju literatura zostaje wycofywana z obiegu, co uniemożliwia jej ponowne wydania.

Watykan prowadzi walkę ze słowem drukowanem przez swoich przedstawicieli we wszystkich częściach świata, zwłaszcza w krajach katolickich. Mietielew zwraca uwagę na pewne szczegóły tej walki, mianowicie na regularne informowanie swoich przedstawicieli o liście dzieł zakazanych, wraz z nadsyłaniem odpowiednich instrukcji.

Mówiąc o tem, autor wyraża swój podziw dla tego rodzaju pracy Watykanu, który w przeciągu stuleci zebrał i ułożył u siebie jedyną w świecie bibljotekę, wydając na to kolosalne sumy pieniężne. Zdaniem Mietielewa nawet specjaliści nie potrafią wyliczyć ksiąg zakazanych, których spis obejmuje tomy.

Do indeksu jest wciągnięta także literatura socjalistyczna i wolnomyślicielska, nad czem ubolewa autor, nie zważając na to, że w Rosji sowieckiej ta sama literatura jest tępiona z całą bezwzględnością.

Oprócz tego stwierdza Mietielew fakt, że praca Watykanu w dziedzinie segregacji literatury, prowadzona systematycznie od wieków, aż do chwili obecnej, stanowi jeden z najważniejszych frontów walki.

Opisany wyżej charakter zainteresowania bolszewickiego działalnością Watykanu w dziedzinie literatury szkodliwej, bynajmniej nie jest zwyczajną tylko ciekawością oryginalności urządzeń obcych. Akcję Watykanu w formie sparodjowanej zastosowali bowiem bolszewicy u siebie już od początku rewolucji, zawieszając wszelkie wydawnictwa, stojące w opozycji przeciwko ich doktrynie i celom.

Co do wydawnictw religijnych, to już dekret o rozłączeniu Kościoła od Państwa, wydany 13 stycznia 1918 roku, zakazuje drukowania nowej literatury religijnej, zaś literaturę, już istniejącą, skonfiskowano i zniszczono w bibljotekach publicznych i prywatnych.

Sowiecki „Indeks dzieł zakazanych“ objął wszystkie chrześcijańskie dzieła, które z obawy podważenia ideologji komunistycznej zostały skonfiskowane czyli „znacjonalizowane“ w olbrzymich składnicach, aby nie trafiły nietylko do rąk sowieckich obywateli, lecz nawet i zagranicznych.

Jak dalece pod tym względem była posunięta obawa bolszewicka, może o tem świadczyć zajście, jakie miałem osobiście z szefem „Indeksu sowieckiego“, znanym w sferach bolszewickich komunistą Szpicbergiem — żydem, ale już ochrzczonym — (którego ojcem chrzestnym był Sabler, b. ober-prokurator św. Synodu Cerkwi Prawosławnej) później naczelnym komisarzem ateizmu państwowego.

Gdy wstąpiłem do księgarni „Bezbożnika“ w Moskwie przy placu „Wolności“ celem zorjentowania się w bolszewickich wydawnictwach antyreligijnych, Szpicberg, widząc, że jestem obcokrajowcem, zwrócił się do mnie z pytaniem,

czy mógłbym mu wskazać na taki kraj w Europie, gdzie panuje wolność religijna na wzór sowieckiej?! Owszem — mówię — wszędzie, za wyjątkiem tylko sowietów, religja cieszy się większą lub mniejszą wolnością. Na to Szpicberg odpowiada, że właśnie chodzi mu o to, czy jest taki kraj w Europie, gdzie każdy mógłby widzieć na sklepie szyld z napisem „Religja — opjum dla narodu", tak, jak zawieszony nad naszą księgarnią. Odpowiedziałem mu, że w tym wypadku niema po co iść do Europy, ponieważ wystarczy pomówić „swobodnie" z panem, czego nikt z waszych obywateli zrobić nie może, a sprawa będzie jasna; u was wolność sumienia, religji i słowa jest tylko na papierze, bo gdyby taka wolność istniała faktycznie, to zobaczyłbym napewno, jeżeli już nie obok księgarni waszej, to przynajmniej gdzieindziej, księgarnię drugą z szyldem: „Komunizm — to idjotyzm lub bandytyzm", a wtedy istotnie powiedziałbym, że Rosja sowiecka jest krajem, jeżeli nie wolnym, to przynajmniej najbardziej liberalnym. Tymczasem dzieje się u was co innego. Swoich przeciwników ideologicznych rozpędziliście kijem na cztery wiatry, literaturę ich zniszczyliście, a do nas, obywateli zagranicznych, zwracacie się o potwierdzenie nadzwyczajnej wolności, waszego postępu i bohaterstwa. Ja zaś osobiście mogę stwierdzić, że sowiety obawiają się najmniejszej książeczki o ideologji chrześcijańskiej, wobec której nie potrafi sobie inaczej poradzić ani armja czerwona, ani nawet Międzynarodówka komunistyczna, jak tylko ogniem na stosie.

Kiedy chodziło mi o zdobycie kilku podstawowych dzieł z zakresu teologji i historji cerkwi prawosławnej, których wskutek „znacjonalizowania" nie mogłem nigdzie dostać, tenże Szpicberg, po wielkich dyskusjach, odstąpił je, lecz nalegał, abym mu z zagranicy wydostał szereg dzieł autorów, umieszczonych na indeksie „Indices librorum prohibitorum", których nawet zagraniczne placówki sowieckie nie mogły dostać, Szpicbergowi zaś były one potrzebne do przetłómaczenia na język rosyjski, gdyż, jak mi oświadczył,

pisarze bolszewiccy zbyt banalnie traktują sprawę religji i już się wyczerpują zasoby ich wiedzy. Zdobycie zaś większej ilości literatury zachodniej, zakazanej przez Kościół i przetłomaczenie jej na język rosyjski, jeśli nie przysporzy wiedzy, to, zdaniem Szpicberga, przynajmniej podtrzyma ruch antyreligijny. Wydawanie zaś paszkwilowego czasopisma „Bezbożnik", umiejącego tylko wyśmiewać i karykaturować chrystjanizm w formie najordynarniejszej, dowodzi jedynie kruchości podstaw walki „ideologicznej" komunizmu z chrześcijaństwem i nie może wypełnić luki, łącznie z setkami najrozmaitszych broszur i książek antyreligijnych, zbytecznych osobliwie dla młodszego pokolenia obywateli sowieckich, zresztą w lwiej części już i tak zdemoralizowanych i wydziedziczonych ze wszelkich podstaw religijnych i moralnych.

Mimo jednak wewnętrznego „postępu ideologicznego" sowietów, Watykan, a osobliwie Kongregacja św. Officium, będzie zawsze dla bolszewików tym mieczem Demoklesa, który zmusza ich ciągle do oglądania się na grożące im niebezpieczeństwo, lecz i do szukania coraz radykalniejszych sposobów jego usunięcia, co w planach bolszewickich zapewne jest przewidziane. Jest to więc poniekąd sylwetka pierwszego frontu walki z Watykanem i wogóle z Kościołem Katolickim, która w miarę rozwoju wypadków nabiera cech walki otwartej.

Drugim organem Watykanu, na który bolszewicy zwracają wielką uwagę, jest Kongregacja dla spraw zakonnych.

Działalność tej Kongregacji, zdaniem autora, polega na kierowaniu akcją zakonów, celem zdobycia dla katolicyzmu „panowania" nad światem cywilizowanym. Autor oblicza, że Kongregacja ma do dyspozycji sto męskich i sto trzydzieści pięć żeńskich zakonów, które w Rzymie posiadają swoich generałów i tworzą potężny sztab, dysponujący olbrzymimi środkami, wpływami i zastępami wiecznie zmobilizowanych zakonników.

Autor podaje następującą charakterystykę poszczególnych zakonów.

Zakon OO. Dominikanów, to zakon kaznodziejstwa czyli „agitacji". To też jego członkowie mają się odznaczać wielką aktywnością, kulturalnością, darem słowa, znajomością języków, które są potrzebne w krajach o różnej narodowości.

Zakon OO. Jezuitów walczy jedynie o wszechświatową władzę papieża, wskutek czego odznacza się wielką kulturalnością i... okrucieństwem oraz reakcyjnością, nie przebierającą w środkach. Rozwija swoją działalność przeważnie w stolicach państw, na dworach, celem stopniowego wpływania na wewnętrzną i zewnętrzną politykę państw i na działaczy państwowych w kierunku, pożądanym dla Watykanu.

Zakon OO. Kapucynów jest instytucją, która zbiera do swego grona ludzi z najrozmaitszych sfer społecznych i jest znany jako najbardziej wydyscyplinowany zakon, którego członkowie odznaczają się wytrzymałością i umiejętnością przystosowania się do wszelkiego rodzaju warunków bytu materjalnego. OO. Kapucyni, zdaniem autora, są werbowani wyłącznie do „agitacji" w krajach dzikich i do kolonji najbardziej upośledzonych ludów. W myśl swego powołania (które autor nazywa „pracą"), Kapucyni muszą dobrze znać byt biednej i „eksploatowanej" ludności, wiedzieć, jak się zbliżyć do tych ludzi i nawiązać z nimi łączność, na wzór bolszewickiej między robotnikami a włościanami (?!), oczywiście w kierunku, wytkniętym przez Watykan.

Ponieważ te, oraz wogóle wszystkie zakony są ściśle związane z Kongregacją de Propaganda Fide (krzewienia wiary), przeto autor uważa tę Kongregację za najpotężniejszy czynnik Watykanu, o zakresie światowym i jej poświęca więcej uwagi, niż innym.

Według spostrzeżeń autora, Kongregacja de Propaganda Fide dzieli świat na trzy części: do pierwszej należą kraje, zawojowane przez katolicyzm, jak Włochy, Hiszpa-

nia, Portugalja, Francja, Austrja, Niemcy i t. d., druga obejmuje kraje, podlegające zdobyciu: chrześcijańskie, muzułmańskie i inne, a wreszcie trzecią część stanowią tereny, na których sprawy religijne stoją bardzo nisko *).

Do wszystkich części świata ta Kongregacja skierowuje swoich misjonarzy i ona dokonuje podziału środków, wpływających do Rzymu od różnych zakonów, rozrzuconych w Australji, Chinach, Afryce, Małej Azji i t. d., pomiędzy te miejscowości, które wymagają subwencji.

Obok tych zadań, Kongregacja de Propaganda Fide rozwija, zdaniem autora, propagandę imperjalistyczną, kontrrewolucyjną, nacjonalistyczną i t. d., przeciwstawną bolszewickiej działalności agitacyjnej i wywrotowej.

Przyczyny tak złośliwego i pogardliwego traktowania działalności Kongregacji de Propaganda Fide należy szukać w tej okoliczności, że w dobie obecnej akcja ta przypada na okres rozwijającej się propagandy bolszewickiej w krajach wschodnich, dzięki czemu wywrotowa akcja bolszewicka zetknęła się oko w oko z misyjną działalnością Kościoła, poważnie rujnującego wysiłki swego przeciwnika.

Nie ukrywają tego bolszewicy, mówiąc o antyangielskim ruchu kolonjalnym w krajach wschodnich, podniecanym przez agitację komunistyczną i przypominając mowę papieża Piusa XI o konieczności obrony ludzkości przed niebezpieczeństwem komunizmu, autor utrzymuje, że papież był wykładnikiem myśli Chamberlain'a, z którym przed wygłoszeniem tej allokucji odbył konferencję.

Imperjalizm bowiem angielski wyłącznie na przemocy opierać się nie może, przeto Anglja zmuszona była prosić o pomoc Watykanu, aby ten dopomógł burżuazji angielskiej w opanowaniu ludów wschodnich.

To samo mówi autor o misji Watykanu w Indochinach, rządzonych przez imperjalistów francuskich, gdzie, mimo

---

*) „...gdie dieła religioznyje obstojat sowsiem płocho (ponimaj SSSR)". Por. dz. cyt. 19.

strasznej niesprawiedliwości rządu francuskiego, misjonarze katoliccy pokrywają wszystko „słowem bożem".

Oczerniając Watykan z powodu jego działalności misyjnej na wschodzie i zarzucając prasie całego świata uprawianie kłamstwa w przedstawianiu działalności Międzynarodówki komunistycznej jako wywrotowej, zapytuje autor, dlaczego ta sama prasa nic nie mówi o Watykanie, czyli o tej sile, która dąży do szerzenia wszelkiego rodzaju reakcji?

Z niepokoju, jaki tu zdradza autor, widać, że największe trudności nasuwa propagandzie komunistycznej właśnie akcja misjonarzy i zakonników, to też wyraźnie zaznacza, że żadna agentura nie potrafi tyle przeszkodzić ruchowi wywrotowemu, jak misjonarze i zakonnicy, wysłani przez Watykan *).

Dalszym przedmiotem zainteresowania autora jest Kongregacja studjów, jako źródło przygotowywania tysięcy „agentów i urzędników do rozmaitych celów". Wyliczając główniejsze instytucje naukowe, autor utrzymuje na modłę militarystyczną, że uczniowie tych instytucji, skoncentrowani w konwiktach, zawsze są w stanie „ostrego pogotowia". Kościelne zakłady naukowe w Rzymie obejmują liczne zastępy studentów różnych narodowości i niema takiego państwa, któreby nie posiadało swoich uczniów w tych zakładach.

Personel profesorski składa się, zdaniem autora, przeważnie z niemców i wogóle zalicza on profesorów do kategorji sił o największych kwalifikacjach. Zwłaszcza uwagę zwraca autor na Collegium Urbanum, jako na instytucję, bezpośrednio związaną ze straszną dla nich Kongregacją Krzewienia Wiary, które jest rozsadnikiem przyszłych propagandystów watykańskich, gdyż po ukończeniu studjów

---

*) „...Nikakaja agentura nie może stolko mieszat diełu oswobożdienija narodow (t. j. akcji wywrotowej, przyp. aut.), skolko etomu mieszajut agenty Watikana imienujuszczijesia misionerami i monachami". Por. dz. cyt. 22.

składają przysięgę wiecznej służby Watykanowi, bez względu nawet na możliwe męki i tortury. Autor podziwia bogatą i cenną bibljotekę Kollegjum, a osobliwie rzadką w świecie drukarnię jego wielojęzyczną.

Po bliższem zapoznaniu się z wiekowemi instytucjami kościelnemi, autor przyznaje, że poziom wiedzy we wszystkich akademjach, seminarjach i kolegjach rzymskich jest wysoki, ciało profesorskie posiada kwalifikacje najwyższe, a wyposażenie w środki i pomoce naukowe jest bogate, to też dlatego, zdaniem autora, Kościół mocno się trzyma wśród ludzkości i ogrywa wśród niej poważną rolę i siłę *).

Innym przedmiotem wielkiego zainteresowania autora jest stosunek Watykanu do prasy. Dzięki jej bezwzględności i nietolerancyjności polityka watykańska zawsze osiąga swój skutek. Z innej znowuż strony głośnym czynnikiem żywotności prasy kościelnej jest duchowieństwo katolickie, jako ten element o wielkiej kulturze, który nietylko wpływa na podtrzymywanie swej prasy, lecz również pilnie śledzi za akcją prasy wrogich mu ugrupowań politycznych.

Dla zaokrąglenia sprawozdania o działalności Watykanu poświęca autor kilka uwag Sekretarjatowi Stanu, który kieruje olbrzymiem ciałem dyplomatycznem, rozrzuconem po całym świecie i akredytowanem przy rządach i dworach. Olbrzymie wpływy polityczne, potęgowane wpływem na posłów różnych państw, znajdujących się przy Watykanie, przyczyniają się w wielkiej mierze do urzeczywistniania „reakcyjnych“ planów Watykanu.

Tak się przedstawia w ujęciu bolszewickiem „regula-

---

*) „Nużno otdat‘ sprawiedliwost‘, czto wo wsiech etich akademijach, seminarijach, koledżach i t. p., uczebnoje dieło postawleno oczeń wysoko, eti uczreżdienija raspołagajut wysokokwalificirowannym priepodawatielskim sostawom, bolszimi sredstwami i bogatymi uczebnymi posobijami. Niedarom Katoliczeskaja Cerkow‘ tak kriepko jeszczo dierzitsia... i igrajet rol sierjoznoj siły, Narodam niekotorych stran pridiotsia jeszczo nie odin diesiatok let wiesti bor‘bu s etoj reakcionniejszej siłoj, jesli tolko posledniaja nie budiet rańsze słomlena socialnoj rewolucijej“. Por. tamże 25.

tor“ całego aparatu papieskiego, przeznaczony do przeprowadzania polityki watykańskiej w stosunku do... ZSSR, w myśl mowy Piusa XI, wygłoszonej z powodu otwarcia roku świętego. A i wzmianka w tejże mowie o konieczności akcji katolickiej na wszystkich odcinkach życia, dotyczy również, zdaniem autora, wzmocnienia frontu antysowieckiego. To też, z braku bliższych wiadomości o skutkach mowy papieża i działalności jego przedstawicieli, rozsianych po całym świecie, autor przypuszcza, że Stolica Apostolska tym razem podejmie akcję twardą i bezwzględną przeciwko sowietom, drogą wydania odpowiednich instrukcji swoim posłom, misjonarzom i duchowieństwu we wszystkich krajach.

Charakterystycznem jest jednak zapewnienie bolszewików, coprawda przekonywujących wyłącznie tylko siebie, że zabiegi papieża będą bezowocne, „gdyż jest rzeczą jasną, że jego zamiary do niczego nie doprowadzą, masy bowiem wszystkich krajów, nie wyłączając wschodnich, wiedzą, co to jest komunizm i czem jest władza sowiecka“.

Przedstawiając zasadniczy przedmiot zainteresowania bolszewickiego co do struktury i działalności „aparatu“ watykańskiego, nie możemy pominąć milczeniem zainteresowania bolszewików innemi jeszcze kwestjami podrzędnemi.

Przedewszystkiem niepokoi bolszewików ochrona Watykanu, którą wyolbrzymiają aż do rozmiarów potężnej armji, silniejszej w opisie bodaj od armji czerwonej, tak pod względem liczebności, jak i doskonałości uzbrojenia! W przesadnem traktowaniu tej sprawy zależy bolszewikom na tem, aby na podstawie tych kłamliwych przesłanek szerzyć brednie, że Watykan opiera się nie na Bogu, lecz tylko na sile militarnej, niezbędnej mu dla obrony zebranych bogactw. Nie jest też wykluczonem, że ochrona dostępu do Watykanu wielkie sprawia zakłopotanie bolszewikom z powodu uniemoliwienia im przedostania się i poczynienia

w nim spustoszenia, jako w ośrodku siły świata katolickiego — jedynej i najgroźniejszej dla nich.

W każdymbądź razie samodzielne i niezależne życie Watykanu jest solą w oku bolszewików, czego nie ukrywają przy ocenie stosunków Watykanu z szeregiem państw, zwłaszcza demokratycznych, których walka, podjęta z Watykanem, kończyła się zawsze dla nich porażką.

Parząc zaś na stosunki, wytworzone po wojnie, bolszewicy notują znaczne ich polepszenie pomiędzy państwawi zachodu i Watykanem, zwłaszcza z powodu ruchów wywrotowych. Mimo wszystko Watykan, przy pomocy swego aparatu, nie tylko wpływa na przebieg polityki we wszystkich krajach, lecz nawet kieruje życiem niektórych państw, przy pomocy partji katolickich, które, mając swoich przedstawicieli w parlamentach, niekiedy ostro występują przeciwko Z. S. S. R., jak to miało miejsce np. w parlamencie austrjackim, gdzie z taką mową ,druzgocącą bolszewizm, wystąpił minister spraw zagranicznych, Mataja. Prócz tego, wielką siłę tworzą najrozmaitsze organizacje społeczne, zawodowe, związki chrześcijańskie, kooperatywy, patronaty i t. d., które stanowią nieprzebyte tamy i przeszkody dla wszelkich tendencji wywrotowych i rewolucyjnych, będąc jednocześnie czynnikami wprowadzania nowych form bytu ekonomicznego — radykalnie sprzecznych z ruchem komunistycznym, form, sprowadzających bieg życia do absolutnie innego i odmiennego łożyska.

Olbrzymia praca Watykanu, wymaga też olbrzymich sum na cele katolickie.

Perspektywa beznadziejnej walki z takiemi zasobami Watykanu powoduje wylew różnych oszczerstw i kłamstw oraz demagogicznych zarzutów, że Watykan zmierza do wzniecania wojen wśród narodów celem utrzymania swego wpływu na całym świecie, że łudzi Europę swoimi zabiegami pacyfistycznymi, że unika potępienia jawnych winowajców wojny, t. j. Francji i Anglji.

Mówiąc o politycznej potędze Watykanu, bolszewicy nie przemilczają także groźnego im niebezpieczeństwa ze strony Stolicy Apostolskiej, okazującej obronę innym religjom, zwłaszcza prześladowanym.

To też reasusmując działalność Watykanu, bolszewicy nazywają go międzynarodowym sztabem religijnym, którego oczy widzą wszystko i wszędzie, cokolwiek się dzieje na kuli ziemskiej i który czuwa nad spokojem, stając pierwszy do walki ze wszelkim ruchem wywrotowym.

Po tych wywodach przyznają się bolszewicy przynajmniej szczerze do tego, że walka z tym sztabem w przeciągu bardzo długiego czasu będzie wielce trudną i ciężką oraz wymagającą od rewolucjonistów wiele poświęcenia i ofiar *).

Jedynem więc narzędziem rozbicia twierdzy watykańskiej może być, zdaniem autora, tylko rewolucja powszechna, niszcząca fanatyzm religijny i wprowadzająca ustrój komunistyczny w życiu narodów.

Z przedstawienia tej arcyciekawej książki poznajemy strategiczny plan sowietów, wyszczególniający różne pozycje swego przeciwnika, by módz konsekwentnie rozpocząć walkę. Plan ten nie jest bynajmniej wyrazem przyszłej, względnie obecnej strategji sowieckiej w stosunku do Watykanu. Stanowi on raczej bilans tych politycznych posunięć strategicznych, które już bodaj od początku rewolucji były stosowane względem Kościoła katolickiego i jego ośrodka — Watykanu.

Potwierdza to przypadkowo wykryta poufna instrukcja szyfrowa z r. 1922, przeznaczona prawdopodobnie dla

---

*) „Watikan priedstawlajet soboju w swojom rodie internacionalnyj sztab, rukowodiaszczij i slediaszczij za religioznymi dielami. Na wsiom ziemnom szarie, jewo wzory pronikajut wsiudu... Borba s etim czorno — internacionalnym sztabom w katoliczeskich stranach budiet jeszczo dołgo priedstawlat‘ bolszuju trudnost‘; trudiaszczijesia massy (czyli komuniści) na ałtar‘ etoj bor‘by dołżny budut priniesti jeszczo mnogo swoich usilij... Tolko proletarskaja rewolucija w swojom ognie rasprawit twierdyni Watikana“. Por. tamże, 43.

bawiącego w Genewie dyplomaty sowieckiego — Worowskiego, w której z całą jaskrawością odzwierciadlają się istotne zamiary bolszewickie w stosunku do Kościoła katolickiego i Watykanu.

Powołując się we wstępie na szereg tajnych instrukcji i wskazując na przepisy W. C. C. U. (prawdopodobnie Wyższego Centralnego Zarządu Cerkiewnego), wymagające dezorganizowania Kościoła katolickiego, instrukcja upoważnia jej powierników do czynienia różnych obietnic i ustępstw dla Watykanu w sprawie Kościoła katolickiego w państwie sowieckiem, pod warunkiem, iż żądania, wysunięte przez Watykan, nie będą w sprzeczności z innemi tajnemi instrukcjami.

Charakterystyczną jest rzeczą, iż, mówiąc o „szerokich obietnicach i ustępstwach“ dla Watykanu, rząd sowiecki wiąże je z położeniem Cerkwi prawosławnej w Polsce, gdyż to daje mu sposobność dosyć łatwą do unieważnienia w każdej chwili tych obietnic. W kwestji zaś prześladowania religji w Rosji instrukcja poleca dyplomacji sowieckiej przedstawić Stolicy Apostolskiej szereg dokumentów, sporządzonych oczywiście ad hoc przez czerwone organizacje religijne, jako dowodów, stwierdzających, że represja jest stosowana nie przeciwko wolności sumienia, lecz jedynie do reakcyjnego stanowiska duchowieństwa i wiernych cerkwi prawosławnej. Koncepcja ta stała się później ulubionem hasłem we wszelkich wystąpieniach rządu sowieckiego i w jego prasie, celem wikłania prawdy o faktycznym stanie rzeczy w Rosji.

Obok oszustwa, rząd sowiecki w instrukcji żąda od swoich przedstawicieli założenia w Rzymie t. zw. „Domu łączności“ na wzór paryskiego, na co też asygnuje 100.000 lirów. Dom ten, o ile wiemy, nie został dotąd jeszcze założony. Ewentualne kierownictwo „Domu“ miało spocząć w rękach kilku konfidentów i mieliby do niego wstęp wybitni dygnitarze kościelni i wogóle osoby, mające bliską styczność z Kurją Rzymską. Instrukcja domaga się kon-

troli działalności t. zw: reljaczejek (jaczejek religijnych), zależnych od sekcji włoskiej. Agitatorowie, przeznaczeni do katolickich zakładów duchownych, mają pochodzić ze środowiska działaczy społecznych, nie zaś narodowych.

W stosunku do Zakonu OO. Jezuitów, instrukcja żąda, by OO. Jezuitów nie dopuścić do wpływu na kształtowanie się stosunków religijnych w Rosji, nakazując jednocześnie użycia wszelkich w tym celu środków, a osobliwie wpływów korpusu dyplomatycznego i pieniędzy. W związku z tymi zabiegami instrukcja domaga się jaknajrychlejszego wysunięcia na bardziej odpowiedzialne stanowisko informacyjne dwóch pewnych osób duchownych, chociażby ze szkodą dla ich pozycji hierarchicznej.

Wreszcie dowiadujemy się, iż w Berlinie zostaje założone W. C. C. U., widocznie jako organizacja, mająca bezpośrednio czuwać nad Watykanem i nad działalnością katolików niemieckich, którzy, zdaniem Mietielewa, dostarczają Watykanowi najpoważniejszych sił naukowych i organizacyjnych.

Celem większego uwypuklenia tej, tak charakterystycznej sprawy, przytaczamy w transkrypcji oryginalny tekst odszyfrowanej tajnej instrukcji, jako dokumentu, rzucającego wielkie światło na charakter zamierzeń bolszewickich, z pominieęciem komentarza do miejsc szyfrowych, jako nie należących do tematu niniejszego szkicu.

Tekst instruckji jest następujący:

„Po priedłożeniju W. C. C. U. Pridierżiwajaś po otnoszeniju k Rimskomu Prestołu instrukcii NN 1/b i 3/b, imiet' wsiehda w widu osnowu predpisanija W. C. C. U., stawiaszczawo razstrojstwo organizacii Katoliczeskoj Cerkwi, kak odnu iz gławniejszych zadacz oswoboditielnawo dwiżenija i wieliczajszuju pobiedu miriwoj rewolucii. W słu-

czaje trebowanija Rimskim Prestołom lgot i ustupok dla
katoliczeskoj cerkwi w priediełach R. S. F. S. R., jesli eti
triebowanija nie budut protiworieczit' pp. e i d instrukcii
N 1/b, to takowyja mogut byt' obieszczany, daże w sziro-
kom smysle, tak, kak nynieszniej położenije prawosław-
noj Cerkwi w Polskoj respublikie, może wsiehda dat' po-
wod k analirowaniju etich obieszczanij. Priłagajemyja pri
siom C—D mogut byt' predjawleny Rimskomu Prestołu,
kak dokazatielstwa, czto primieniajemyja w cerkownom
uprawlenii repressiwnyja miery w prediełach R. S. F. S. R.
naprawleny nie protiw swobody sowiesti, a iskluczitielno
protiw reakcionnych wystuplenij prawos'awnawo ducho-
ienstwa i kontrrewolucionno nastrojennych mirian. Nie-
miedlenno pristupitie k uczrieżdieniju w Rimie Doma Swia-
zi po obrazcu pariżskakgo, na oborudowanije kojewo otpu-
skajetsia iz sredstw R. U. sto tysiacz ital. lir. Zawiedywa-
nije domom może byt' po waszemu usmotrieniju pierieła-
no B. 16 — 124/4, ili D/4 — 62/4, ustraniaja wsie ele-
mienty i wsio to, czto może priepiatstwowat' wchożdieniju
tam widnych prełatow i drugich lic, prikosnowiennych
k rimskoj Kurii. Poruczajetsia wam liczno prowierit' die-
jatielnost' reljaczejek ital. sek., a także T 16 — 3/8. Pri
naborie agitatorow w duchownyja katoliczeskija zawiedie-
nija izbirat' preimuszczestwienno diejstwujuszczich iz za
socialnych, a nie nacionalnych pobużdienij. Poslednich pri-
nimat' w krajniem słuczaje pri otsutstwii pierwych. Upo-
triebitie wsie usilija, nie prieniebriegaja usługami inostran-
nawo dipłomaticzeskawo korpusa, dla wospriepiatstwowa-
nija uczastija iezuitskawo ordiena w rieszenii dieł R. U.,
nie żaleja izdierżek, daby wydwinut' skorieje tt. A — 4 —
8/12 i A — 5 — 10/4 na boleje informacionnyje posty,
chotiaby s uszczerbom dla nynieszniawo ich duchownawo
położenija. S połuczenijem telegrafnawo soobszczenija
o pierejezdie w Berlin W. C. C. U., wsie dieła P. C. U.
imiejuszczija świaź s diełami W. C. U., otprawlat' niepo-
sredstwienno w Centralnoje.

Z polecenia W. C. C. U.

Trzymając się instrukcji NN 1/b i 3/b w stosunku do Stolicy Apostolskiej, mieć zawsze na względzie zasadę, podaną przez W. C. C. U., która za najgłówniejszy warunek powodzenia ruchu wyzwoleńczego i zwycięstwa rewolucji światowej stawia zasadę zrujnowania organizacji Kościoła katolickiego. W razie wymagania przez Stolicę Apostolską ulg i ustępstw dla Kościoła katolickiego w granicach R. S. F. S. R., jeśli te żądania nie będą się sprzeciwiały pp. e i d instrukcji N 1/b, mogą być obiecane nawet w sensie szerszym, gdyż obecny stan cerkwi prawosławnej w Rzeczypospolitej Polskiej zawsze może dać powód do anulowania tych obietnic. Załączone do niniejszego C. D., mogą być przedstawione Stolicy Apostolskiej jako dowody, że stosowane do zarządu cerkiewnego środki represyjne w granicach R. S. F. S. R. są skierowywane nie przeciwko wolności sumienia, lecz wyłącznie przeciwko reakcyjnym wystąpieniom duchowieństwa prawosławnego i kontrrewolucyjnie usposobionych wiernych. Niezwłocznie musicie przystąpić do założenia w Rzymie Domu Łączności na wzór paryskiego, na urządzenie którego asygnuje się z sum R. U. sto tysięcy lirów włoskich. Kierownictwo domu według uznania pańskiego może być powierzone N. 16 — 124/4 albo D 4 — 62/4, po uprzedniem usunięciu wszelkich elementów i wogóle wszystkiego, co mogłoby przeszkadzać należeniu do niego wybitnych prałatów i osób innych, mających styczność z Kurją Rzymską. Poleca się panu skontrolować osobiście działalność reljaczejek sekcji włoskiej, a także T 16 — 3/8. Przy werbowaniu agitatorów do katolickich zakładów duchownych wybierać przeważnie osoby, działające z pobudek socjalnych, a nie narodowych. Ostatnie przyjmować tylko w razie konieczności i z braku pierwszych.

Użyć wszelkich wysiłków, nie gardząc pomocą obcokrajowego korpusu dyplomatycznego, celem zapobieżenia udziału jezuitów w decydowaniu spraw R. U., nie szczę-

dząc środków, aby tt. A — 4 — 8/12 i A — 5 — 10/4 możliwie najprędzej wysunąć na bardziej informacyjne pozycje, chociażby nawet ze szkodą dla obecnego ich stanowiska duchownego. Po otrzymaniu wiadomości telegraficznej o przyjeździe W. C. C. U. do Berlina, wszelkie sprawy P. C. U. mające związek ze sprawami W. C. U., skierowywać bezpośrednio do Centrali.

Antoni Starodworski.

ROZMYŚLANIA O DEMOKRACJI.

Djogenes był sceptykiem. Wolno nam przypuszczać, że chociaż polski system naukowy stara się wszelkimi środkami „nie przeciążać“ umysłowości młodzieży „zbędnemi“ wiadomościami, fakt ten jest jednak jeszcze dość znanym. Może również znaną jest szerszym kołom ekspedycja Djogenesa do Aten, gdy w biały dzień, z zapaloną latarnią w ręku, wyruszył na poszukiwanie wśród tłumów ulic i placów — człowieka? Poszukiwania te łączą się ze sceptycyzmem Djogenesa, są poniekąd jego miarą, wskazują na bardzo daleko posunięty ostracyzm względem swych współobywateli.

Fakt ten znany nam jest z historji, cytowany był dziesiątki tysięcy razy, ale przyczyna sceptycyzmu Djogenesa mało jest znana. Jakim sposobem, dla jakich powodów, ten wielki filozof doszedł do tak daleko posuniętej pogardy względem swych współczesnych? Czem się tłumaczy jego dobrowolne osamotnienie?

Zastanowiwszy się na chwilę, widzimy, że rzecz ta tłomaczy się dość prosto: Djogenes żył i pracował w typowo demokratycznie usposobionem społeczeństwie, żył w europejskiej ojczyźnie demokracji, wśród sporów, intryg i waśni starożytnej Grecji. Sam ten fakt wystarcza, by wszystko zrozumieć. Wielki ten umysł, pozbawiony łaski nadprzyrodzonej miłości bliźniego, musiał w takiem otoczeniu przepełnić się goryczą i pogardą dla ludzkości! Możnaby się jeszcze spierać, odpowiadając, iż Djogenes był poprostu uczonym dziwakiem i że dziwactwa takie spotykamy we wszelkich społeczeństwach lub, że pragnął zrobić sobie reklamę przez oryginalność metod. Lecz mamy wrażenie, że byłoby to tylko obejście, ominięcie rzeczowej dyskusji nad dość niemiłą sprawą. Należy bowiem pamię-

tać, że filozof ten był wówczas już tak znakomitym mężem, tak wysoce poważaną jednostką, iż nawet ówczesny „dyktator“, jakim niewątpliwie był Aleksander Wielki, zazdrościł mu tej sławy i mawiał, że gdyby nie był Aleksandrem, toby pragnął być Djogenesem! Nie mogło więc to być poszukiwanie rozgłosu. Pozatem, zanim ów wielki filozof zamieszkał w swej beczce zdala od ludzi, żył między nimi, przestrzegał, tłomaczył, starał się wszelkimi sposobami uzdrowić swój naród. Nic jednak zdziałać nie mógł i wreszcie doszedł do wniosku, iż żadne dysputy tu nie pomogą i że na ten rodzaj ludzi działają tylko albo bardzo drastyczne słowa, albo bardzo mocne czyny!

Jeszcze bowiem raz powtórzmy: Djogenes żył w typowo demokratycznie myślącem społeczeństwie.

Jednakże historja Djogenesa, poszukującego z latarką człowieka, inne jeszcze rzuca na tę sprawę światło: Djogenes bowiem, jakoteż i przeważna część ówczesnych wielkich ludzi, był przedewszystkiem politykiem i uważał się za stuprocentowego... demokratę! Nie przeciętnego więc, zwykłego człowieka szukał on wśród tłumów, ale p r a w d z i w e g o d e m o k r a t y. Sądzimy, że gdyby wraz ze swą latarką zbliżył się on do lustra, nie znalazłby również tego, czego szukał, bo demokrata, w czystem tego słowa znaczeniu, jest istotą niezmiernie rzadką i we współczesnej Djogenesowi Grecji należącą już dawno do paleontologicznych wykopalisk.

Niedorzecznością zdać się może takie twierdzenie, bo przecież Grecja była „szczerze“ demokratyczną, była zlepkiem demokratycznie rządzących się kraików, ojczyzną idei demokratycznej na europejskim kontynencie! Paradoksalność jednak w tym wypadku polega li tylko na niewłaściwem zastosowaniu słów, bowiem nazw: demokrata i demokracja nadużywa się tak powszechnie i powiemy nawet — bezmyślnie, tak się niemi szafuje na prawo i na lewo, że zatraciły one całkowicie swe pierwotne znaczenie, prze-

kształciły się na mile dźwięczące, lecz całkiem treści pozbawione słowa!

Co to jest właściwie demokracja? Co to jest, co za zasady wyznaje — demokrata?

By móc sobie na te pytania odpowiedzieć, musimy zastanowić się raz jeszcze nad świetnem określeniem demokracji przez Chestertona: „Demokracja, pisze on, jest o tyle tylko demokratyczną, o ile jest bezpośrednią; jest zaś ona bezpośrednią tylko wtedy, gdy jest małą“.

Demokracja bowiem, czyli dosłownie: ludowładztwo, możliwem jest tylko wtedy, gdy cały „lud“, czyli całe bez wyjątku społeczeństwo bierze bezpośredni udział we władzy rządowej, gdy równość wszystkich, tak co do praw, jak i obowiązków, jest zupełną, przyczem musimy uznać i równość poziomu intelektualnego, zdolności, zdrowia, majątku. Taka bezpośrednia demokracja jest jedynie prawdziwą i nie potrzebuje przedstawienia. Każda sprawa decydowaną jest przez ogół, rozstrzyga większość, więc musimy przypuszczać, że ta większość jest i mędrsza i lepsza od mniejszości. Przedstawicieli, kierowników czy posłów taka demokracja mieć nie powinna, bo temsamem wyłamują się oni z pod prawidła równości i, jak powiada dalej Chesterton: gdy może sobie pozwolić na przedstawicieli, to może też mieć i despotów, a ci ostatni lepiej ją będą przedstawiać.

Wszystko to, co wychodzi poza granice tego określenia, nie będzie już demokracją i wszyscy ci, co poza temi ramkami pragną wierzyć w swój demokratyzm, demokratami nie są. Prawdziwa więc demokracja możliwą jest tylko w zastosowaniu do bardzo nielicznych grup ludzkich i w bardzo prymitywnych warunkach życia.

Pojęcie zasadniczej dla demokracji równości musi wypływać z aksjomatu, że wszyscy ludzie są sobie absolutnie równi, że różnice moralne, fizyczne, czy duchowe są tylko sztucznemi naleciałościami, a raczej przesądami i że wszyscy ludzie, zajmując kolejno dane stanowisko, wykonywu-

jąc dane funkcje, o ile będą się starać, wykonają je równie dobrze i pożytecznie dla dobra ogółu. Mówimy, że jest to aksjomatem, bo wobec jawnej absurdalności tego twierdzenia, nie możemy dyskutować, a musimy przyjąć je takiem, jakiem jest. Na tym przecież aksjomacie opierają się również zasadnicze prawa wszelkich naszych pseudodemokracji, a przedewszystkiem cały system parlamentarny, system supremacji liczby nad jakością. Otóż podstawowa zasada równości demokratycznej, punkt wyjścia tej całej koncepcji, jest też i przyczyną bezwarunkowej „bezpośredniości“ ustroju demokratycznego, gdyż z chwilą, gdy już nie wszyscy członkowie społeczeństwa, wspólnie, czy też kolejno, ale jakieś jednostki z „wyboru“ (a więc „wyborowe“) obleczone zostaną w prawa rządzenia czy radzenia, z chwilą tą znika zasada równości, usuwa się jedyny fundament demokratyzmu.

W prawdziwie demokratycznych krajach rządzi bezpośrednio „lud“, a nie „wybrańcy ludu“!

Z powyższego wynika jasno, iż demokracji w realnem tego słowa znaczeniu dzisiaj wśród narodów i społeczeństw świata znaleźć nie można; owych „idealnie“ urządzonych, czy rządzonych krajów lub plemion szukać więc należy w przeszłości i cofając się powoli, widzimy, iż dojść musimy niemal do prahistorji! Tam gdzieś, w mrokach wieków, możemy się czegoś podobnego dopatrzeć — więc np. z urywków napisów hieroglificznych — i domyśleć się, że coś, co bardzo przypomina „ludowładztwo“, istniało przejściowo po wojnach domowych starożytnego Egiptu; wiadomo też, iż w Chinach, mniejwięcej około epoki Konfucjusza, przeprowadzoną została „próba“ ludowładztwa i skończyła się wymarciem z głodu 90% ludności!

Bliższą nam i dokładniej znaną jest również epoka formowania się pierwotnych plemion słowiańskich. Tam rządziły „wiecze“ — vel wiece, zbiegowiska zupełnie demokratyczne, nie uznające żadnej zwierzchniej władzy.

Wspomnienie to jest może jeszcze bardziej kompromitujące dla demokracji, niźli tragiczna tradycja Chin, bo szczepy te żyły, a raczej wegetowały wśród bezustannych zamieszek, zatargów i chaosu, aż wreszcie, doprowadzone do rozpaczy, posłów wysłali do Normandów i ci posłowie tak rzekli: „Chodźcie do nas i panujcie nad nami, bo chociaż ziemia nasza bogatą jest i szeroką, lecz ładu w niej brak!“ Tak to, w cichem samobójstwie, zgasła w kwiecie wieku jedyna, jako tako znana demokracja — i nie szkoda, bo nie była piękną, chociaż była młoda!...

Próżnem byłoby szukanie śladów prawdziwie demokratycznych ustrojów w starożytnej Grecji; tam były to bądź oligarchje, bądź wybitnie arystokratyczne republiki, bądź wreszcie przez energicznych ludzi, zwanych „tyranami“, kierowane pseudodemokratyczne społeczności. Wszędzie tam widzimy podział na klasy społeczne i wszędzie też rozwijającą się bujnie nieodrodną córę wszelkiego demokratyzmu — demagogję.

Ciekawą cechą tych demokratycznych ustrojów jest fakt, iż od samego swego początku zaczęły się one męczyć nad zbudowaniem czegoś logicznego z nielogicznych przesłanek, rządu z bezrządu, potęgi ze słabości, ładu z chaosu, mądrości z głupoty — od początku usilnie pracować one zaczęły nad stworzeniem parlamentaryzmu!

Kraiki te miały swe światła i cienie, miały dnie pogody i burze dziejowe, miały pola chwały i klęski, ale nie posiadały nigdy zasadniczej demokratycznej cnoty: nie znały równości! Najniesłuszniej więc w świecie noszą miano ustrojów demokratycznych, a co gorzej, służą często jako wzór dla dzisiejszych idealistów. Ostatecznie wszystkie one samoczynnie się wewnętrznie rozłożyły i bez trudu pochłonięte zostały przez sąsiednią, silną macedońską monarchję.

Szukając tak po kartach historji, zatrzymać się musimy jeszcze na jednym, dość wybitnie „demokratycznym“

ustroju, a mianowicie na tym stanie państwa żydowskiego, w jakim ono istniało za czasów Sędziów *).

Mojżesz nadał żydom prawo, ściśle mówiąc: kodeks cywilny i karny, opierający się na prawie naturalnem i niezwykle ciekawy z punktu widzenia rozmaitych najnowszych kierunków, nie dał im jednak żadnych wskazówek co do ustroju państwa, pozostawiając dawny patrjarchalny porządek rzeczy. Naród jednak już dawno wyszedł z ram patrjarchalnego plemienia i tylko czynnik nadprzyrodzony wspólności religijnej łączył całość narodu. Był to okres rządów, jakich nie spotykamy w żadnem innem państwie, rządów, które też niezmiernie trudno określić zrozumiałem mianem. Rodzaj republiki, pozbawionej władzy centralnej, a nawet władzy wogóle, ale rządzącej się tradycją i prawem, zależnie od okoliczności. Każde pokolenie czyli szczep, każda osada czy miasto, każda nawet rodzina były zupełnie niezależne, *rządziły się same przez ogół obywateli, częstokroć łącznie z kobietami, a więc zupełnie demokratycznie*. Zresztą spraw publicznych, ogólnych, nie było niemal wcale lub też były one zgóry rozstrzygnięte przez zakon. Tylko w najważniejszych sprawach sądowych i w razie wojny zewnętrznej zachodziła potrzeba władzy centralnej — to też ustanowieni przez Mojżesza Sędziowie stawali się ewentualnie wodzami i kierownikami ludu. Ciągłości następstwa pośród Sędziów nie można odnaleźć, musiały być liczne luki, stanowiące też nigdzie zresztą niespotykany obraz *spokojnej i systematycznej anarchji*.

Ale ustrój ten nie musiał być miłym, ani polecenia godnym, bo Pismo Święte wyraźnie powiada: „A gdy Pan wzbudzał sędziów, za czasów ich wzruszał się miłosierdziem i słuchał wzdychania utrapionych i wybawił ich

---

*) Zastrzegamy się, iż zupełnie tu nie dotykamy religijnego podłoża historji żydów, nie przeprowadzamy krytyki Pisma Świętego.

z morderstwa pustoszących. A potem, gdy umarł sędzia — wracali się i jeszcze gorsze rzeczy czynili!“ (Ks. Sędz. R. 2, w. 18—19). Bliżej się przyglądając tej demokracji, wczytując się w księgi Sędziów, widzimy jasno, iż tam ów „demos“ lud recte „naród“ panował bezpośrednio, rządził i panoszył się w dzikim wprost nacjonaliźmie, tępiąc bezwzględnie wszelkie „mniejszości“, choćby najbardziej „tuziemne“. Ów demos zresztą mordował równie chętnie Chanaanejczyków, Hetejczyków, Amorejczyków czy innych Jeburejczyków, jak i własnych sędziów i proroków; demos ten, prawdziwie „demokratyczny“ i będący pierwowzorem nacjonalizmu, nie znosił też wyższości jednostek najbardziej zasłużonych. Żydzi w okresie Sędziów stanowili prototyp narodowej demokracji, czy nacjonal-demokratów wszystkich następnych wieków. Zresztą ultranacjonalistyczne zabarwienie demokracji żydowskiej bynajmniej nie wpłynęło na utrwalenie tego systemu, bo znużeni nieustannym nieładem, z ulgą przeszli oni do systemu monarchicznego, osiągając niemal natychmiast pełny rozkwit mocarstwowej potęgi.

Poza tymi paroma przykładami, próżno jest szukać demokracji wśród starożytnego świata, gdzie dość często spotykamy ustroje republikańskie, ale nie mają one żadnych demokratycznych cech, są zresztą krótkotrwałe i niechybnie dochodzą do cezaryzmu, do bezwzględnej i despotycznej władzy jednostki.

Tak to przedstawia się nam wiek dziecięcy idei demokratycznej. W okresie męskiej dojrzałości, w okresie pełni sił życiowych i umysłowych, społeczeństwa, noszące miano „demokratycznych“, były niemi tylko z nazwy, dla tradycji lub pustodźwięczności frazesów. Demokracja w czasach tych zatracała wszelkie cechy swej teorji i nazwa ta stosowaną była do republik, a nawet i monarchji, w których przejawiał się system wyborów i gdzie pewna tylko sfera, czy klasa społeczna brała udział w rządach.

Najznakomitsze z tych „demokracji“ były to państwa

ściśle arystokratyczne, o silnej hierarchji i częstokroć z prawami dziedzictwa władzy! Więc Wenecja, subtelnie arystokratyczna, mocarna królowa Adrjatyku, oraz jej oligarchiczna (a temsamem słabsza) współzawodniczka, bogata i warcholska Genua. W czasach tych, jako jeden z „demokratycznych“ wzorów, mamy i naszą „nieładem stojącą“ Najjaśniejszą Rzeczpospolitę, z dynastycznymi czy elekcyjnymi królami i w której równościowa zasada demokracji zamykała się całkowicie w cudownie przejrzystem, a tak tromtadracko-szlacheckiem zdaniu:

„Szlachcic na zagrodzie — równy wojewodzie!“.

Przyznać trzeba, że aż do końca XVIII-go wieku nic o „demokracji“ w Polsce nie mówiono; republikanizm, a raczej gardłowanie o „Respublicae“, było powszechnem, ale, poza gardłowaniem i nieładem, żadnych innych cech demokratycznych w dawnej Polsce nie znajdujemy. Zresztą wystarczy spojrzeć na stosunki ludnościowe: poza kilku krociami „panów braci“, były tam miljony chłopów, zależnych lub wolnych kmieci, byli mieszczanie i żydzi, ormianie i tatarzy. O „równości“ między nimi mowy być nie mogło. Dalej, prócz obezwładnionego przez pacta czy konstytucję króla, byli magnaci, króliki potężne znaczeniem i władzą, a ta sama szaraczkowo-karmazynowa demokracja szlachecka

„wrzeszczała na arystokratów,
a trzymała się klamki magnatów“...

Polska była może dość specyficzną republiką, była bezwzględnie typową „sejmokracją“, ale demokracją nie była nigdy!

Nikt nie będzie szukać demokracji w przeszłości Anglji. Tam powstał, rozwinął się i właśnie tylko dzięki arystokracji przetrwał kilka wieków wzorowy parlamentaryzm, ale demokracji, czyli ludowładztwa nie było nigdy!

Szukając dalej jakiegokolwiek demokratycznego państwa w czasach „dojrzałego wieku“ idei demokratycznej, często wskazują nam przykład Szwajcarji. Tak, niezaprzeczenie — ale o tyle tylko, o ile zna się historję według podręcznika naszych szkół czy uczelni. Radzimy więc przeczytać (a taka lektura ogromnie przydać się może każdemu) wspaniałą pracę historyka i patrjoty szwajcarskiego, znakomitego profesora uniwersytetu Berneńskiego, wielkiego przyjaciela Polski, hr. Gonzague de Reynold‘a, pod tytułem „La démocratie et la Suisse“. Przeczytawszy tę pracę przekonamy się, że ta „dzisiejsza“ demokracja opanowała Szwajcarję ledwie od kilkudziesięciu lat i nic świetnego ze sobą nie wniosła! Dawniej był to ustrój konfederacji republikańskiej, wybitnie patrycjuszowskiej, więc arystokratycznej, a nic z demokracją nie mającej wspólnego; dopiero wojny napoleońskie, a właściwie rewolucja 1848 roku, wprowadziły bojowy, radykalny demokratyzm francuskiego typu i od tej chwili, jak to świetnie hr. Reynold wykazuje, rozpoczyna się epoka upadku, zaczynająca obecnie zagrażać istnieniu kraju!

Wiek dojrzały doktryny demokratycznej tak był dalekim od pierwiastkowej jej idei, od teoretycznego założenia, jak dalekim jest dojrzały umysł mężczyzny od rozumowań malutkiego dziecka, jak dalekiemi były społeczeństwa Europy z czasów średniowiecza i nowożytnych od mroków prahistorji tychże narodów. Ten rodzaj demokracji, jeśli tę nazwę dalej utrzymywać mamy dla określenia republikańskich ustrojów, wykazywał tężyznę i moc wielką, silne imperjalistyczne tendencje, zrozumienie realnych zasad prawa i państwa, wykazywał rozum, jedność pojęć i zdolność do czynu!

Ale równie, jak starzeją się ludzie, starzeją się i ustroje społeczne i całe narody. Kiedyś jeszcze w „Zielonym Baloniku“ u Michalika w Krakowie śpiewał drwiąco i pogardliwie młody wówczas Boy-Żeleński:

„...Gdy się człowiek robi starszy
I już całkiem parszy-
wieje,
Ceni sobie spokój miły
I czeka, aż całkiem wyły-
sieje...“.

Śpiewał jak młody i mylił się też jak niedoświadczony, bo niezawsze człowiek starszy spokój ceni!

Jestto przecież wiek niebezpiecznej „powrotnej“ młodości, wiek, w którym nieraz nawet bardzo poważni ludzie zaczynają robić fatalne głupstwa; rozpoczyna się to zazwyczaj od wadliwego rozumowania i sofizmatów, kończy zaś na upadku moralnym, warjackich czynach, błazeństwie. Powiadamy o takich ludziach, że „dziecinnieją“!

Tak się też i stało z demokracją; znagła niemal nadeszła epoka doktrynerów i sofistów, zwanych filozofami, a skutki jej objawiły się w obłędnym chaosie rewolucji francuskiej z jej „zdobyczami“, określonemi również nieodpowiednią nazwą „praw człowieka“. I jak skutkiem „drugiej młodości“ u ludzi starszych jest kretynizm, zdziecinnienie i wreszcie paraliż postępowy, tak skutkiem „zdobyczy rewolucji“ stał się okres parlamentaryzmu, dziecinniejącego w miarę rozszerzenia się powszechności, równości, bezpośredniości i innych... dolegliwości systemów wyborczych.

Demokracja nowożytna pragnęła koniecznie nawrócić do swoich pieluszkowych, prahistorycznych wzorów, a eksperyment ten robić poczęła już nie na mikroskopijnych grupkach plemiennych, lecz na dojrzałych zupełnie narodach. Parlamentaryzm odpowiada tu paraliżowi postępowemu starców i dotychczas medycyna nie znalazła nań skutecznych środków.

Każda jednak rzecz ma swój koniec na tym naszym marnym świecie:

„...śmierć matula, powiada Baka, jak cebula
łzy wyciska, gdy ściska, a równie przytula
i dziecko, co lula i zucha, co hula!...“.

Ciężka niemoc złożyła po wielkiej wojnie demokrację na łożu śmierci; napróżno medycy wszelkich stronnictw czy partji, obozów czy konwentów stosują coraz to bardziej demagogiczne zastrzyki! Ani gorączki bolszewizmu, ani zimnych potów faszyzmu, ani drgawek „przesileń“ usunąć nie mogą — demokracja dziś kona...

Czy jednak ta wiekowa matrona, gdy ją wreszcie synowie medycy złożą do grobu, osieroci kogokolwiek? Bo gdzież szukać demokratów?... Myślimy, że dziś Djogenes mógłby śmiało, zamiast swej latarki ze świeczką, wziąć najpotężniejszy bojowy reflektor i z jego pomocą również napróżno szukałby swego ideału!

Mamy więc przedewszystkiem fakt niesłychanej różnorodności rozmaitych systemów politycznych, noszących, niewiadomo właściwie dlaczego, przymiotnik „demokratyczny“. Posiadamy demokracje chrześcijańskie, narodowe, socjalne, radykalne, postępowe (zupełnie jak ów paraliż!) i najzabawniejsze ze wszystkich — konserwatywne! Każda z nich i wszystkie razem uważają się za jedynie prawdziwe, jedynie demokratyczne, zapominając, iż sama różnorodność tych systemów przeczy zasadniczo podstawowej zasadzie demokracji, a mianowicie owej równości społecznej i umysłowej! Sam fakt istnienia tych wprost sobie przeczących systemów, sprowadzających się do jednego mianownika, potwierdza niezbicie absurdalność istnienia samej demokracji.

Przyglądając się bliżej tym systemom widzimy, iż najmniej oddaloną od pierwowzoru (przynajmniej teoretycznie) jest t. zw. socjal-demokracja. Tam ostatecznie dąży się (zawsze tylko w teorji) do zniwelowania wszystkiego do poziomu „towarzysza“, tam owo „równanie ku dołowi“ idzie otwarcie na ulicę, zbliża nas do rozkoszy stosunków prymitywnej ludzkości. Ale też tam właśnie ów stan zdziecinnienia starczego jest już najdalej posuniętym i tuż u progu staje śmierć idei demokratycznej — czerwony bolszewizm i czarny faszyzm. Zresztą, mimo, iż socjalna de-

mokracja najbliżej stoi ideału prawdziwej demokracji, nie jest ona jednak wcale demokratyczną! Brak w niej absolutnie innej, również zasadniczej cechy demokracji: wolności. Przymus zjawia się tu zaraz na wstępie i to w najjaskrawiej autokratycznej formie, bo przymus osobisty, poddający jednostkę pod najróżnorodniejsze „dobrodziejstwa“ ustroju proletarjackiego. Równolegle z zaprzeczeniem wolności idzie w tym systemie i zaprzeczenie prawa własności, a obie te cechy wystarczają zupełnie do odjęcia przymiotnika „demokratyczny“ od rzeczownika „socjalizm“.

Jak już wyżej wspomnieliśmy, systemy t. zw. narodowych demokracji zbliżają się znów najbardziej do ustroju (czy raczej rozstroju) państwa żydowskiego w epoce Sędziów *). Jest to może powodem, dlaczego tak liczni „mechesi“ czują specjalny pociąg do tego właśnie systemu; jest to atawizm krwi. W każdym jednak razie z prawdziwą demokracją nie ma ten system wiele wspólnego, poza odrazą do wszelkiego autorytetu i nienawiścią do indywidualnej, naturalnej wyższości. Jest też typowo szlacheckim i to w ujemnem, staropolskiem tego słowa znaczeniu, więc używanie tu przymiotnika „demokratyczny“ stosuje się chyba do oznaczenia ujemnych stron doktryny, dla do-

---

*) Wogóle nacjonalizm żydowski miał i ma po dziś dzień wiele wspólnego z ideologją narodowego szowinizmu dzisiejszych nacjonalistów w różnych państwach. Wszak Mesjasz, według przekonania żydów, ma być nietylko odkupicielem dusz, lecz także — i to przedewszystkiem — odnowicielem ziemskiej potęgi Izraela. Ma dać mu panowanie nad światem. A więc podporządkowanie Boga politycznym ambicjom narodu. Tak samo podporządkowuje i nasza narodowa demokracja religję swym dążeniom do zdobycia władzy w państwie, a nawet każdej przygodnej rozgrywce o mandaty poselskie.

Trzeba więc przyznać, że „teokratyczny“ nacjonalizm żydowski, zwłaszcza starożydowski, albo niemiecki, wyżej stoją ideowo od wyborczego nacjonalizmu endecji. Mesjasz bowiem, czy „Bóg niemiecki“ mają dać żydom resp. Niemcom przynajmniej państwo światowe, podczas gdy nacjonalizm endecki nie sięga poza mandaty wyborcze i „państwo etnograficzne“. (Przyp. Red.).

bitnego stwierdzenia chęci „równania wszystkiego ku dołowi“.

Zupełną natomiast już niedorzecznością jest określenie pewnych stronnictw politycznych jako „chrześcijańsko-demokratycznych“, bo polega na fałszywem zrozumieniu wyrażenia „chrześcijańsko-społeczny“. „Społeczeństwo“ obniżono w tych stronnictwach do pojęcia grupy politycznej, czy partji.

Chrześcijańska demokracja wywodzi się od genjalnej encykliki papieża Leona XIII-go, ale zapomina (pomimo ciągłych przypomnień), że właśnie dlatego nie wolno jej być stronnictwem politycznem! Aż nadto jasno przedstawia to w swem słynnem „Motu proprio“ dalszy twórca i organizator chrześcijańskiej demokracji, a raczej ustroju chrześcijańsko-społecznego, papież Pius X-ty. Oto § XIII tego „Motu proprio“ powiada:

„Chrześcijańska demokracja (vel Chrześcijańsko-społeczni) nie powinna nigdy mieszać się do polityki; nigdy nie powinna służyć żadnym stronnictwom, ani zamysłom politycznym; tam nie jest jej dziedzina, lecz ma ona być akcją dobroczynną dla ludu, opartą na prawie naturalnem i przykazaniach Ewangelji“.

Jest więc wprost niezrozumiałem, dlaczego tak jasną dyrektywę mogą pomijać milczeniem i wyraźnie wbrew niej działać ludzie, uważający się za katolików! Zresztą paragrafy I i III bardzo znów wyraźnie mówią, iż w każdem społeczeństwie ludzkiem muszą istnieć różnice stanów, więc stwierdzają zasadę, wręcz przeciwną egalitaryzmowi demokratów; zaś paragrafy V, VI, XI, XII i XIX jaknajściślej wyjaśniają, iż t. zw. „chrześcijańska demokracja“ jest nie stronnictwem, ale ustrojem i to notabene tak dalece podobnym do niektórych zasad faszyzmu, iż stanowi dlań silną, katolicką konkurencję.

Na mocy jakich przesłanek i jakiej kazuistyki z ruchu społecznego, wszechstanowego i wszechpartyjnego, wytworzyło się ciasno-monopolistyczne polityczne stronnictwo? Dlaczego to, wbrew wyraźnym wskazówkom Rzymu, t. zw. „chrześcijańska demokracja“ zajmuje się polityką? Jest to tajemnicą mentalności jej przywódców i członków, tajemnicą, której napewno żaden chrześcijański demokrata nie wyjaśni, choćby dlatego, że jej nie rozumie!

Chrześcijańska demokracja taka, jaka jest dziś w praktyce, jest poprostu nieporozumieniem! Ale tragiczniejszem jeszcze nieporozumieniem jest nazwa i ideologja konserwatywnych demokratów! Tragiczniejszem mówimy, bo o ile mimika stronnictwa politycznego, podszywającego się pod płaszcz systemu społecznego, zalecanego przez Kościół, może tłumaczyć się przynajmniej dobrym interesem, o tyle idea demo-konserwatyzmu tłomaczyć się może tylko nieuctwem, analfabetyzmem politycznym lub może nawet tchórzostwem cywilnem! Co to jest konserwatywny demokrata?!... Pół psa, pół kozy — niedowiarek Boży! Łącząc ze sobą te dwa określenia, dowodzi się zupełnej nieznajomości znaczenia tak jednego, jak i drugiego, zaś konserwatysta, przypinający sobie przymiotnik demokratyczny, o ile rozumie, co mówi, *robi to tylko z obawy przed niepopularnością!*

Inne stronnictwa, czy systemy polityczne, noszące przymiotnik demokratyczny, jak np. radykali, liberali, postępowcy i t. p., popełniają rozmyślne, a najczęściej bezmyślne pomięszanie pojęć, bo utożsamiają poprostu demokratyzm z republikanizmem. Republikanie ci wstydzą się może trochę tej republiki, która niestety zbyt często nurzała się we krwi i błocie, więc pokrywają swój republikanizm nic nieznaczącą już od wieków nazwą „demokracja“.

Tak to mniejwięcej wygląda demokracja, widziana pod postacią stronnictw politycznych. Możnaby jednak przypuszczać, że chociaż żadne stronnictwo nie jest ściśle

demokratycznem, boć sama zasada demokratyczna jest niemożliwą do zachowania względem jakiegokolwiek liczniejszego społeczeństwa, to jednak muszą istnieć liczne jednostki, przeniknięte do głębi demokratyzmem. Przecież większość spotykanych ludzi zawsze gotową jest śmiało głosić przed światem, że są demokratami. Większość też mówi i działa właśnie w imię swych demokratycznych przekonań. Niema więc może demokracji, ale są demokraci?

Iluzja! Fikcja! Gorzej, bo mimika podświadoma, a nawet często świadoma!

Zatrzymajmy pierwszego lepszego z naszych demokratów i zapytajmy go, co on właściwie rozumie pod temi swemi głębokiemi demokratycznemi „przekonaniami"? Jeżeli zechce nam szczerze odpowiedzieć, to nietylko my, ale i on sam może się zdziwić, będzie bowiem zmuszony do myślenia o tem, o czem mówi. Więc przedewszystkiem 90, a może i więcej procent zapytanych nie potrafi nam wogóle wytłomaczyć, dlaczego zowią się demokratami? Ten najliczniejszy odłam twierdzi, iż jest demokratycznym, bo: „człowiek postępowy i republikanin musi być demokratą". Wszystko tam obraca się dokoła bardzo mglistych pojęć o t. zw. postępie, a wiedzę swą opiera na wiadomościach pisemek brukowych lub haseł wiecowych!

Tak „rozumują" masy, drobny zaś odsetek „uświadomionych" jednostek, jeśli równie uczciwie zechce odpowiedzieć, dziwne nam opowie rzeczy. Natchniony ideolog powie nam, że jego demokratyzm opiera się na „wspaniałych wzorach świetlanej przeszłości", jakimi byli tacy np. Desmoulins lub nasz Kościuszko! Nie wiedzą biedacy, że Desmoulins był poprostu „ofiarą" bezpodstawnego doktrynerstwa t. zw. filozofów; był entuzjastą — dziennikarzem, stał się pamflecistą, zgubił tysiące zacnych ludzi, prowadził zamiast demokracji rewolucję, zamiast ludu — motłoch, który go wreszcie ściął na gilotynie! Systemu żadnego Desmoulins nie miał i żadnego konkretnego ustroju społecz-

nego nie propagował; był, jak i inni Żyrondyści, słabem i bezwiednem narzędziem zwykłego społecznego przewrotu. Co zaś do demokratyzmu Kościuszki, był to tylko frazes dla pobudzenia przyrodzonych naszej szlachcie egalitarnych żądz, warto bowiem wiedzieć, iż Kościuszko wszystkie swoje listy i dokumenty, pisane zagranicę lub w jeszcze bardziej demokratycznej Ameryce, podpisywał tytułem hrabiego *)! Wątpię, by to mogło służyć za patent na prawdziwego demokratę!

Demokrata-idealista posiada zasadniczo mgliste pojęcie o ustroju społecznym, wiele mówi o równości, wolności i braterstwie, zapominając, iż wszystkie te zasady są od dziewiętnastu wieków głoszone i wprowadzone w życie przez chrystjanizm i nie ma najmniejszego pojęcia, jak w praktyce owe postulaty mają wyglądać. Demokrata taki stale żyje w chmurach, tamże cierpi, raduje się, wzdycha i umiera. Są to jednak bardzo już nieliczne wyjątki, bo życie, a zwłaszcza dzisiejsze, siłą ściąga ludzi z chmur na ziemię!

Poza „idealistami", spotkamy jeszcze szczerych demokratów lewicowych, więc socjalistów, oni bowiem faktycznie dążą do „ludowładztwa", do ideału demokratycznego, nie zdając sobie sprawy, że im dalej idą, tem wyżej piętrzą się ruiny i rumowiska społecznego dobrobytu, tem bliżej do anarchji, tem łatwiej do bolszewizmu lub faszyzmu. Natomiast demokraci „umiarkowani" lub „prawicowi" są żywym nonsensem teorji demokratycznej! Widzimy tam bądź zwolenników oligarchji, bądź demokratów „na złość innym".

Jako przyczyna przeważa tu zwykła zawiść do wyższości, często zawiedzione nadzieje, zadraśnięta miłość własna, niechęć uznania jakiegokolwiek autorytetu, a przedewszystkiem hasło większości „ruchów" demokratycz-

---

*) Można to łatwo było stwierdzić na licznych listach i dokumentach, wystawionych swego czasu na wystawie Kościuszkowskiej w pałacu Staszica.

nych: „ôte toi de là, que je m'y mette!". Jest to typowo „burżujska" demokracja: żaden ustrój, żadna doktryna, żadna myśl polityczna, lecz tylko zwykłe sobkostwo, niepohamowana miłość własna, ukryte żądze!

Istnieje dzieło pierwszorzędnej wartości, praca jednego z najgłębszych myślicieli rosyjskich doby obecnej, Mikołaja Bardjajewa. Dzieło to nosi tytuł: „Filozofja nierówności" i wszechstronnie rozważa sprawę demokracji. Może właśnie dlatego nie jest tłomaczonem, spoczywa w cieniu składów niepotrzebnych druków. Coprawda, praca ta jest bardzo poważna, księga gruba, trzeba myśleć, gdy się ją czyta; wszystko to musi dziś przemawiać za jej niepopularnością. Lecz jeśli kto umie po rosyjsku, a pragnie coś głębszego i poważniejszego o demokracji przeczytać, niech nie traci odwagi! Pozatem lektura ta bardzo będzie wskazaną dla amatorów na posłów, a nawet i senatorów.

Kończąc te „rozmyślania", musimy powiedzieć, że gdy ktoś dzisiaj bardzo głośno woła: „Ja jestem demokratą!" — to warto sprawdzić, co mu właściwie dolega, a przekonamy się prawie zawsze, że są to drobiazgi i śmiesznostki życia: niemożność obracania się w pewnych sferach, czasem brak „savoir vivru", czasem brak gotówki, to znów impertynencje, doznane ze strony jakiegoś żółtodzióba czy snoba, zawiedzione nadzieje na awans lub na jakąś rączkę „szlacheckiej" panny, a wreszcie brak tego dziadka czy pradziadka, o którym — źle czy dobrze — ale bądź co bądź „stojało" w historji!...

Trudność zostania arystokratą — tworzy demokratów!

Józef Tyszkiewicz.

KRYZYS I HANDEL.

Niemałem w istocie niedomaganiem organizmu gospodarczego Polski jest brak należycie rozwiniętego i zorganizowanego handlu. Niedomaga zarówno handel hurtowny, jak i detaliczny — zaś handel zamorski prawie nie istnieje.

Złożyło się na ten stan handlu polskiego wiele przyczyn, niektóre z nich sięgają do zamierzchłych czasów historji, inne, to rezultaty wojny światowej, a jeszcze inne są rezultatem specjalnych warunków w odrodzonej Polsce.

Rewolucja ekonomiczna, którą przeszła Polska w XVI wieku, przekształcając się w organizm gospodarczy, nastawiony prawie wyłącznie na ekstensywną gospodarkę rolną, podważyła równowagę ekonomiczną kraju, spowodowała upadek rzemiosł i sparaliżowała stopniowo dawne drogi świetnego rozwoju handlu polskiego. Do niedawna jeszcze zamożny, ba, nawet bogaty kupiec polski stopniowo znika, gdyż kraj, którego jedynym wysiłkiem i celem gospodarczym staje się rolnictwo — i to przeważnie prymitywne — nie sprzyja rozwojowi handlu. W tej fazie ewolucji gospodarczej kupiec staje się w Polsce niejako zbędnym; nie potrzebuje go przeważnie samowystarczalny rolnik, a błędna polityka morska nie daje kupcowi dostatecznej możności konkurowania w handlu zamorskim z obcą, daleko lepiej i potężniej zorganizowaną żeglugą. Rolnik dostarcza sam nadmiaru swych produktów do portów, skąd zagraniczny kupiec produkta te dalej wywozi.

Poza drobnym kupcem, okrężnym, wędrującym po jarmarkach, niema w Polsce aż do ostatniej ćwierci XVIII wieku handlu w poważniejszem tego słowa znaczeniu. Czego rolnikowi nie daje własne gospodarstwo, to nabywa

wprost u rzemieślnika. Przez cały wiek XVII-ty i większą część XVIII-go, kiedy gdzieindziej wyrabia się i organizuje handel oraz tradycja kupiecka, u nas niema kupców. Jakaś niewytłumaczona obawa przed pośrednictwem wywołuje nawet prawodawstwo, dla handlu wprost zabójcze, a skoncentrowanie w tych warunkach handlu w rękach mizernych kupców żydowskich, handlujących wszystkiem bez wyboru i pełniących jednocześnie rolę drobnego bankiera-lichwiarza, rodzi pogardę ogólną dla handlu i stanu kupieckiego. Idą w zapomnienie świetne czasy wielkich kupców krakowskich, tradycje Wierzynków zamierają, a na to miejsce wciska się przekonanie, że zawód kupiecki mieści w sobie coś upadlającego, niegodnego szlachcica — a więc, w ówczesnych pojęciach, człowieka kulturalnego. Dopiero przed samym upadkiem Rzeczypospolitej budzi się zainteresowanie do nowożytnych metod pracy gospodarczej i pod wpływem ogólnych prądów tego okresu oświecenia zaczyna kiełkować myśl o nieodzowności handlu w całokształcie gospodarki krajowej.

Prawdziwy jednak okres zapoczątkowania nowożytnego handlu w Polsce, to już czasy porozbiorowe. Handel ten jednak, od pierwszych swych początków, nie był nigdy prawdziwie polskim, bez względu na to, jakiej narodowości był kupiec. Żadna bowiem z dziedzin życia gospodarczego nie jest tak zależną od warunków politycznych i ekonomicznych państwa, w którem się rozwija, jak właśnie handel. To też w okresie niewoli widzimy wprawdzie pewien rozwój handlu na ziemiach polskich, ale był to handel, organicznie związany z gospodarką danego państwa zaborczego, w którego granicach kupiec polski znalazł się po rozbiorach. Rzecz przytem znamienna, że w tym okresie prawie nie było wymiany towaru między poszczególnymi zaborami. Należy to tłomaczyć, poza innemi przyczynami, wspomnianym już brakiem handlu w Polsce w długim okresie bezpośrednio przed rozbiorami. Łódzkie perkaliki przenikały na daleki wschód, do Chin i Persji, ale nie

trafiały np. do Małopolski. Naftę otrzymywała Warszawa z Kaukazu, produktów żywnościowych dostarczała Kongresówce Rosja, a Wielkopolska wywoziła swoje do Berlina. Jedynym artykułem ogólno-polskim była może tylko książka, towar niestety stosunkowo małego spożycia!

Handlu więc polskiego — w całem tego słowa znaczeniu — nie było, a co najwięcej był to w tym okresie handel prowincjonalny, daleki od dróg zamorskich i — poza nielicznymi wyjątkami — bez wpływów i stosunków międzynarodowych.

Oprócz tych zewnętrznych warunków, uniemożliwiających rozwój kupiectwa polskiego, działały jeszcze i stare przesądy szlacheckie, usposabiające wrogo opinję publiczną dla handlu. Aż do czasów „Pracy organicznej", a nawet i potem, zawód kupiecki uchodził w Polsce za „coś gorszego", odstraszał energiczniejsze i kulturalniejsze jednostki. Kto nie mógł gospodarować na roli, ten wolał być adwokatem, lekarzem, inżynierem, przemysłowcem, a w najgorszym razie urzędnikiem w cudzem państwie. Do handlu zaś przenikały w XIX w. ze sfer inteligentnych zaledwie jednostki. Wpływało to fatalnie na stan kulturalny i moralny zawodu kupieckiego. Jeżeli już ktoś zdecydował się, pod wpływem złych warunków materjalnych, na zawód kupiecki, to uważał, że wszystko, co może mu pomódz do wzbogacenia się, jest godziwem i starał się jak najprędzej zebrać odpowiedni majątek, aby na starość nabyć dobra ziemskie i osiąść na roli.

W tych warunkach nie mogło oczywiście powstać w Polsce kupiectwo, zasobne w środki materjalne i kulturę handlową, świadome tego, że „honesty is the best policy" i że celem kupca powinno być przedewszystkiem danie swemu nowemu przesiębiorstwu jak najmocniejszych i najsolidniejszych podstaw materjalnych i moralnych. Handlem trudnili się ludzie przypadkowo, dorywczo, aby coś niecoś złapać, a potem uciekać od tego pogardzanego i „niegodnego" zajęcia.

Nie trzeba naturalnie dodawać, że były liczne w tym stanie rzeczy wyjątki. Nie chodzi tu o rzucanie na kogokolwiek kamieniem, lecz o objektywne przedstawienie atmosfery, w której handel w Polsce przetrwał niemal cały wiek XIX-ty.

Koniec XIX wieku oraz początek bieżącego stulecia dorzuciły do tego smutnego stanu rzeczy rozkładające rezultaty propagandy socjalistycznej, coraz szersze roztaczającej kręgi. Cała niemal młodzież wychowywała się w ostatnich dziesięcioleciach pod wpływem haseł socjalistycznych. Do dawnych, szlacheckich przesądów antyhandlowych dołączyły się nowe, socjalistyczne poglądy o konieczności bezpośredniego stosunku producenta z konsumentem, o tem, że handel nie jest pracą twórczą, że kupiec jest pasorzytem na organiźmie społecznym i gospodarczym. Hasła te, trafiając na podatny grunt w Polsce, ogromnie się przyczyniały do dalszego odstraszania ludzi od zawodu kupieckiego. Wysiłki zaś jednostek, które w tym właśnie czasie (zwłaszcza w ciągu zeszłego wieku) rozpoczęły bardzo intensywną pracę w kierunku wytworzenia w Polsce kupiectwa, świadomego swych zadań i zasad etyki, nikłe tylko — wobec ogólnego nastroju społeczeństwa — mogły dać rezultaty. Tembardziej jednak należy podkreślić zasługę ideowej pracy tych ludzi, którzy zakładali i prowadzili szkoły zawodowe, muzea i bibljoteki, a przedewszystkiem, własnym świecąc przykładem i na przekór hamującej polityce zaborców, w ciężkim trudzie pracowali nad wyrobieniem kupca polskiego.

Odzyskanie niepodległości państwowej zastało handel w stanie zupełnego rozkładu. Siedem lat wojny na terenie Polski zrujnowało materjalnie kupiectwo, zniknął kredyt, przedwojenne stosunki handlowe zostały poprzerywane. Wojna, rozpoczynając od moratorjum kredytowego, rekwizycji różnych towarów, narzucania cen maksymalnych, a kończąc na rabunkach i pożarach, uniemożliwiła pracę rzetelnemu kupcowi. Stworzyła natomiast wielce sprzyja-

jące warunki rozwoju wszelkim ciemnym machinacjom i spekulacjom, przechowywaniu towaru w celu odsprzedaży w momencie głodu towarowego — a więc t. zw. paskarstwu i t. p. W tym czasie uczciwy kupiec, pędząc mizerny żywot i utrzymując się z trudem z dnia na dzień, patrzał na wzrastające z magiczną szybkością fortuny różnych doraźnych spekulantów oraz niefachowych i nieodpowiedzialnych, ale za to odpowiednio „ustosunkowanych" pośredników. Ogólny upadek moralności musiał odbić się również i na kupiectwie, któremu przykład paskarstwa i lichwiarstwa ciągle stał przed oczyma. Zagrożony w swej egzystencji niejeden kupiec, przejął się też tą mentalnością wojenną, stawał się „paskarzem" i do straty swego kapitału materjalnego dodawał stratę podstaw etycznych swej normalnej egzystencji.

A kogo nie zniszczyła wojna, tego dobiły pierwsze czasy niepodległości, czasy inflacji i fikcyjnych zysków. Kupiec w Polsce niepodległej znalazł się jakgdyby w nieznanym dla siebie pod względem ekonomicznym kraju, złożonym z różnych dzielnic o najrozmaitszych przepisach prawnych, zwyczajach handlowych i potrzebach ludności. Dawne źródła zakupu czy zbytu zostały odcięte, nowe niełatwo było znaleźć, a ciągła zmiana wartości pieniądza uniemożliwiała wszelką kalkulację.

W tym stanie rzeczy stanęły przed kupcem, zrujnowanym materjalnie, z zachwianą podstawą moralną, odrazu zadania nowe, do których nie był przygotowany — zadania, związane z międzynarodową wymianą towarów, z finansowaniem fabryk, przez wojnę również zniszczonych i pozbawionych środków obrotowych, z brakiem banków i kredytu. Jednocześnie zaś zaczęto powszechnie walić w handel całym radykalnym systemem prawodawstwa socjalistycznego lub conajmniej socjalizującego, powodzią etatystycznych przepisów, ograniczających swobodę handlu, nakładając nań niewspółmiernie ciężkie podatki i świadczenia wszelkiego rodzaju. Ustrój socjalizują-

cy wraz z rujnującą stopą kapitalistycznego opodatkowania, które obciążały całe gospodarstwo narodowe w Polsce przez szereg lat, nie mogły oczywiście stworzyć podstaw do zbudowania zdrowego handlu, a przeciwnie, musiały doprowadzić go do bardzo daleko posuniętego upadku. Odżyły zarazem także stare przesądy społeczne, handlowi przeciwne, a nowe — socjalistyczne — święcić zaczęły prawdziwe tryumfy. Uznano za niegodne uczciwego człowieka wszelkie sposoby zarobkowania, nie wynikające z tytułu pracy urzędniczej; uczciwy człowiek mógł więc tylko żyć z pensji, a wszelkie inne dochody uznano za „paskarstwo“, „lichwę“, ba, nawet za kradzież. Każdy winien był pracować li tylko dla państwa w formie bezpośredniej, jako urzędnik, no i każdy musiał i mógł żyć tylko z pensji, otrzymywanej od państwa. Zakwitł etatyzm.

Życie jednak zdusić się nie dało. Zrujnowane fabryki i banki zaczęły się dźwigać, kredyt przemysłowy odradzał się powoli, a z nim i produkcja, którą trzeba było jakoś, zapomocą jakiejś organizacji, konsumentowi sprzedać. Okazało się też wówczas, jak zawsze, że świat gospodarczy nie może istnieć bez ogniwa, łączącego wytwórcę z odbiorcą. I tu właśnie nastąpił ostatni akt tej „komedji nieporozumień“. Przemysłowiec, nie znajdując pod ręką kupca bogatego i finansowo odpowiedzialnego, a przesiąknięty ogólną tendencją etatystyczną, nie pomyślał o konieczności podtrzymania, a nawet — w miarę potrzeby — „stworzenia“ kupca, lecz zaczął organizować sam sobie sprzedaż. Etatyzm przeniósł się w ten sposób z areny państwowej na prywatną. Powstawać zaczęły biurokratyczne organizacje handlowe z ramienia przemysłu, z pominięciem kupca, a w przekonaniu o konieczności bezpośredniego przenikania do konsumenta, pod niemałym wpływem przesłanek, mimowolnie zaczerpniętych z atmosfery socjalizującej.

Nawiasowo pragnę zaznaczyć, że etatyzm, na który tak narzekamy, nie został nam przez nikogo obcego na-

rzucony, ale powstał z nas samych, jako wyraz nastroju całego niemal społeczeństwa, które samo doń pchało, nakładając na państwo coraz to nowe obowiązki. Na tle tych dwuch etatyzmów, państwowego i prywatnego, rozwija się następnie i mnoży do niebezpiecznych rozmiarów pokątne pośrednictwo, zbędne, nieodpowiedzialne i niesumienne, obciążając obrót towarowy absurdalnemi prowizjami, uniemożliwiającemi częstokroć dojście do skutku najpoważniejszych tranzakcji. I w tem właśnie leży początek i główna przyczyna t. zw. nożyc cen, nadmiernie rozwartych między ceną produktu u źródła (producenta) a w handlu, zwłaszcza detalicznym. Znakomita zaś większość obrotu towarowego dostaje się do konsumenta drogą manipulacji biurowej urzędnika prywatnego, którego byt nie jest bezpośrednio zależnym od obrotu. Woli on raczej zmniejszać te obroty, niż narazić swe przedsiębiorstwo na ryzyko przy forsowaniu sprzedaży, nieprzewidziane budżetami przedsiębiorstw o charakterze „etatystycznym". Doprowadza to w rezultacie do kurczenia się i tak już bardzo ciasnego wewnętrznego rynku zbytu, handel zaś eksportowy przechodzi w ręce kupca zagranicznego.

W takich warunkach kryzys gospodarczy, który przeżywamy, może i powinien mieć w rezultacie zbawienne tkutki. Kryzys ten, który lubimy nazywać „ogólno-światowym", a więc powstałym nie z naszej winy, odczuwa Polska specjalnie dotkliwie, gdyż poza ogólno-światowemi przyczynami, ma on może najważniejsze swe źródło w niedomaganiach własnych polskiego organizmu gospodarczego.

Żaden ustrój gospodarczy nie może à la longue prosperować w stanie przerostu jednych jego organów, a zaniku innych. Handel jest, był i będzie nieodzownym aparatem, zapomocą którego towar dostaje się od fabrykanta do konsumenta. Od czasów fenickich, aby nie sięgać jeszcze dalej, aż po dzień dzisiejszy, nie znaleziono jeszcze lepszego środka dla wymiany bogactw. Sądzę, że nie stać

Polskę na to, aby mogła eksperymentować w tym kierunku. Nikt chyba nie twierdzi, że transfert, choć sam nic nie wytwarza, jest czynnością pasorzytniczą, bez której obyć się można. Tak samo handel, nic nie wytwarzając, jest nieodzowną funkcją, bez której żaden organizm gospodarczy normalnie pracować nie może — funkcją, równie ważną, jak produkcja. Handel bowiem zapładnia produkcję swą ruchliwością, otwierając przed nią nowe perspektywy i nowe rynki zbytu. Ta prawda o nieodzowności handlu zbyt często jest u nas niedoceniana i nie można jej dość często powtarzać, chociaż brzmi na pozór jak komunał.

Drugi taki komunał, który pod wpływem etatyzmu również bywa negliżowany, to fakt, że kupca nie można zastąpić organizacją biurokratyczną, stwarzaną ad hoc przez przedsiębiorstwa przemysłowe. Samodzielność bowiem, sprężystość i dążenie do zwiększenia obrotu są podstawą handlu, a nie może tych zalet wykazać urzędnik, pracujący określoną ilość godzin dziennie za stałem wynagrodzeniem. Kupiec dąży do zwiększenia swych zysków drogą możliwego zwiększenia obrotu, urzędnik zaś dba przedewszystkiem o ciągłość i stałość swej pracy, nietyle dążąc do zrobienia majątku, ile przedewszystkiem do zapewnienia sobie emerytury.

Wreszcie zważyć należy, że jedną z głównych podwalin zdrowego rozwoju ekonomicznego i dobrobytu w państwie jest racjonalny podział pracy i ciężarów w jego organiźmie gospodarczym. Analizując więc przyczyny obecnego kryzysu, nie możemy pominąć milczeniem tego braku równowagi w naszej organizacji ekonomicznej, bez którego usunięcia niepodobna myśleć na serjo o naprawie stosunków. Okres naprawy stosunków wogóle, który przeżywamy, a który zdaje się przesuwać wpływy na bieg spraw w kraju z rąk lewicowo-radykalnych w ręce czynników umiarkowanych, idących po linji „zdrowego rozsądku“ i objektywizmu gospodarczego, powinien stanowić także epokę odbudowy handlu polskiego. Sprawa to nie-

łatwa, bo sięgająca niemal do fundamentów naszego ustroju i wymagająca skoordynowanego wysiłku wszystkich czynników miarodajnych i wogóle zainteresowanych w tym względzie.

W pierwszym rzędzie same sfery handlowe muszą przyłożyć energicznie rękę do tej sprawy. Muszą otrząsnąć się kategorycznie z naleciałości wojennych i psychozy inflacyjnej, do czego zresztą kryzys gospodarczy przyczynia się już sam przez się w dużym stopniu. Kupiectwo musi przejąć się przekonaniem, że tylko przy małych zyskach poszczególnych, a możliwie dużym obrocie, przy wysoko pojętej solidarności i słowności, można dojść do trwałych rezultatów; musi więc pozbyć się przedewszystkiem różnych naleciałości „wschodnich" w swych metodach pracy i szukać stanowczo przykładu w metodach zachodnich. Ludzie, którzy chcą poświęcić się zawodowi kupieckiemu, winni zrozumieć, że cudów niema na świecie, że handel, to nie droga do szybkiego wzbogacenia się per fas et nefas, lecz przedewszystkiem z a w ó d, w którym, jak w każdym, tylko rzetelny stosunek do pracy i znajomość rzeczy doprowadzić mogą, po uciążliwej i nieraz długiej drodze, do celu. A celem tym winno być nie bogactwo, samo w sobie, ale prosperujące i zasobne przedsiębiorstwo. Kupiectwo musi samo przełamać ostatecznie pokutujące w niem stare przesądy i zwalczać wrogie mu doktryny. Aby zaś tego dokonać, nie może kupiec żyć zdala od społeczeństwa, swemi tylko sprawami zajęty, a odseparowany zasadniczo od spraw publicznych. Znękany i zahukany nasz kupiec powinien zrozumieć, że zdobędzie zaufanie i szacunek społeczeństwa tylko wówczas, gdy da się poznać temu społeczeństwu, gdy stanie się aktywnym obywatelem nowożytnego państwa i weźmie czynny udział w jego życiu politycznem.

Odbudowa handlu przez samo kupiectwo trwać musi z natury rzeczy długo. Aby ją przyśpieszyć, powinien przyjść na pomoc przemysł, jako najbardziej zainteresowa-

ny w egzystencji sprawnego aparatu handlowego. A w tym celu winien zaniechać swej biurokratycznej polityki i posługiwać się pracą kupca dla zdobywania rynków. Tam, gdzie brak odpowiednio zasobnego kupiectwa, winien przemysł wynaleźć sobie pewnych dzielnych i uczciwych handlowców i dać im możność normalnego zarobku i rozwoju. Zamiast stwarzać nowe rzesze i nową nędzę urzędników, winien przemysł iść stanowczo po linji popierania handlu, który ogromne przynieść mu może korzyści. We własnym interesie, w interesie intensywnego zdobywania rynków zbytu, jest dla przemysłu wskazanem nie zwalczanie handlu, jak to się obecnie nieraz dzieje, lecz przeciwnie, popieranie go wszelkimi sposobami.

Równie zainteresowanemi w rozwoju handlu są finanse. Krótki kredyt handlowy, to najzdrowsza i najbardziej dochodowa forma operacji bankowych, a kupiec obrotny, choć nawet bez większego majątku, jest dla banku najmniej ryzykownym klijentem. Nie znajdzie dziś bankowość w Polsce licznych kupców bogatych, których majątek przewyższa o wiele ich zapotrzebowanie kredytowe. Niech więc szuka i wspiera kupca mniej zamożnego, ale uczciwego i ruchliwego, tworząc sobie tą drogą porządną klijentelę i przyczyniając się w ten sposób do odbudowy zdrowych stosunków handlowych w kraju. Ale w danych warunkach obecnych wysiłki te prywatnych sfer gospodarczych nie wystarczą jednak do odbudowy handlu bez odpowiednich ułatwień ze strony państwa. Koniecznem jest przedewszystkiem zerwanie z całym dotychczasowym „socjalistycznym“ systemem gospodarczym w kraju oraz gruntowna przebudowa systemu podatkowego. Trzeba powrócić do normalnej swobody w handlu, pozwolić ludziom pracować i zarabiać. Leży to w najżywotniejszym interesie państwa. Należy traktować handel nie jako przeżytek, skazany na zagładę, ale jako nieodzowną gałąź życia gospodarczego i zrównać go w prawach z innymi zawodami. Trzeba uznać także i kupca za godnego opieki państwowej

obywatela. Dla zapoczątkowania celowej refomy podatkowej należy przedewszystkiem skasować rujnujący handel podatek obrotowy, bez czego odbudowa handlu jest nie do pomyślenia.

Wogóle gruntowna reforma stosunku państwa do handlu jest, zdaniem naszem, jednym z naczelnych warunków ekonomicznego odrodzenia kraju. To też obecnie, w okresie hasła naprawy stosunków w państwie, stosunków nietylko politycznych, ale i gospodarczych, winien zgodny wysiłek zainteresowanych sfer prywatnych i rządowych dążyć nietylko do racjonalnej odbudowy, ale i rozszerzenia handlu polskiego. Bez dążenia bowiem do ekspansji niemasz rozwoju, ale zastój. Życie ekonomiczne, podobnie, jak życie w naturze, nie znosi bez szkody przymusowego utrzymywania status quo w pewnych, ściśle ograniczonych ramach, ale wymaga ciągłego rozwojowego wysiłku. Niedość było np. zbudować wielkim kosztem Gdynię i forsować przez nią sztucznie eksport pewnych towarów. Trzeba zarazem stworzyć w kraju dla produkcji i handlu takie warunki, aby eksport mógł się żywiołowo rozwinąć i żywiołowo kierować się do nowego rodzimego portu. Wówczas tylko wysiłek na budowę Gdyni zyska należyte uzazadnienie i rację bytu.

Niemniej jednak główne fundamenty pod odbudowę handlu polskiego, którego brak odczuwa kraj nasz niemal już od wieków średnich, kłaść musi nie kto inny, jak w pierwszym rzędzie kupiec polski w postaci wytężonej pracy, niezłomnego wytrwania wobec fluktuacji konjunktur oraz trzymania się zasad wyższej kupieckiej etyki.

Stanisław Meyer.

PACYFIZM MASONERJI.

I. PACYFIZM KATOLICKI A NACJONALIZM.

„Kodeks społeczny“, uzasadniając katolicki punkt widzenia na życie międzynarodowe i zagadnienia polityczne, stwierdza, że „koncepcja bezwarunkowej suwerenności jednostkowej państwa jest zaprzeczeniem prawa międzynarodowego. Suwerenność zaś państw musi być nietylko ograniczoną przez wzajemne uszanowanie narodowej godności, niezależności, własności bogactw narodowych i wynikającego stąd poszanowania życia, ale obejmuje również pojęcie wzajemnej życzliwości i pomocy, której żąda etyka społeczna“.

Jest to więc bezwzględne potępienie ciasnego nacjonalizmu, negującego istnienie w stosunkach międzynarodowych pojęć sprawiedliwości i krzywdy, a uznającego natomiast jedynie kryterja siły lub słabości. Tak zwaną „etyką narodową“, będącą w swojej istocie zaprzeczeniem etyki chrześcijańskiej, formułuje Roman Dmowski w swoich „Myślach nowoczesnego Polaka“. Z pracy tej wynika zupełnie jasno, że w stosunkach międzynarodowych cel uświęca środki, że gwałt i bezprawie, zabór cudzego mienia i wynaradawianie obcoplemiennych społeczeństw są metodami najzupełniej dozwolonemi, o ile tylko mogą się przyczynić do wzrostu potęgi danego państwa i jego „narodu-gospodarza“ *). Polska zatem winna w stosunku do

---

*) Niechże ten jeden kapitalny przykład, dotyczący podstawowej ideologji narodowej demokracji, posłuży do wykazania przepaści, jaka ją dzieli od zachowawczego światopoglądu! Jakżeż zmienićby się musiała, zanimby mógł nastąpić sojusz narodowej demokracji z konserwatyzmem, co niektórym, nieświadomym istoty tej sprawy, wydaje się tak łatwem i pożądanem!

Niemiec-Prus prowadzić nie politykę słusznych rewindykacji własności narodowej, naruszonej i rozgrabionej przez rozbiory Polski, politykę zatem, zmierzającą do pokojowego współżycia na zasadzie restitutio in integrum, lecz politykę odwetu, politykę brutalnej siły, według zasady: „oko za oko, ząb za ząb". Nic dziwnego, że tryumfujący we współczesnych Niemczech skrajny nacjonalizm wojujący temsamem staje się największem dla pokoju europejskiego niebezpieczeństwem, gdyż stosując konsekwentnie „etykę narodową", w sposób zresztą bardziej udoskonalony, niżby to zdołali uczynić nasi domorośli szermierze nacjonalizmu, mniej zdolni do stłumienia w sobie pewnych nakazów prawodawstwa starohebrajskiego, traktuje poprostu traktaty międzynarodowe jako świstki papieru, mogące w każdej chwili ulec wypowiedzeniu, a pacyfizm uważa za doskonały sposób do bałamucenia świata i wprowadzenia w błąd ludzi „dobrej woli".

Niemcy chętnie powołują się na rzekomy interes b. aljantów, mający leżeć w pozwoleniu Niemcom na stworzenie tańszej armji, jaką jest niewątpliwie armja, oparta na powszechnym obowiązku służby wojskowej, na wcielenie do regularnych szeregów bojówek nacjonalistycznych, co mogłoby zadowolić z jednej strony naturalne potrzeby militarnego instynktu narodu, a z drugiej strony odebrać te elementy organizatorom szowinistycznych awantur. Żądają Niemcy również zgody na wcielenie do szeregów części owych 3½ miljonów bezrobotnych, obciążających budżet Rzeszy. Niepodobna jednak dyskutować na ten temat dopóty, dopóki trwają konszachty przewrotowców w rodzaju Hitlera z Reichswehrą, tak groźnie ujawnione w procesie lipskim, oraz wielokroć gorsze jeszcze więzy, łączące Reichswehrę z armją czerwoną, o czem tyle już ogłoszono niezbitych dokumentów.

Niestety, trudno uwierzyć w szczerość zamiarów pokojowych odpowiedzialnych kierowników Rzeszy. Jakżeż bowiem wyglądają pompatyczne słowa hr. Bernsdorffa

w Genewie, przeciwstawiające rzekomo szczery pacyfizm Niemiec militaryzmowi i „złej woli“ innych państw, w zestawieniu z uznania godną otwartością pułkownika Hierla w „Grundlagen der deutschen Wehrpolitik“? Czytamy tam m. in.: „Są dwa rodzaje pacyfizmu, jeden prawdziwy, pochodzący ze słabego, chorobliwego usposobienia, lecz szczery i uczciwy, drugi zaś nieszczery, udany. Ten ostatni jest środkiem walki politycznej i służy poprostu do przygotowywania wojny. Usypiając wroga frazesami pokojowymi, stara się go spowodować do lekceważenia zbrojeń. Usypiający dym, który okazuje się przeciwnikowi, nadaje się wówczas do zamglenia własnych zbrojeń. Z tego punktu widzenia należy oceniać pakt Kelloga, ubezprawniający wojnę, oraz konferencje rozbrojeniowe Ligi Narodów“.

Nic dziwnego, że wobec tak cynicznych wynurzeń nawet niemiecki organ szwajcarski „Basler Nationalzeitung“ ostro napada na hr. Bernsdorffa za jego taktykę na konferencji rozbrojeniowej, starającą się przeczyć oczywistym faktom olbrzymich subwencji, udzielanych bojówkom, przemysłowi, sposobnemu do fabrykacji wojennej, irredencie „mniejszościowej“ zagranicą i t. d., a wywołującą wprost nieufność państw, zmuszonych do podwojenia czujności dla odwrócenia oczywistego niebezpieczeństwa.

Niema prawie dnia bez prowokujących świat cały występów w rodzaju mowy p. Seldte‘go we Flensburgu, twierdzącej, że tylko wówczas Niemcy będą mocarstwem, kiedy będą „narodem panów“ (Herrenvolk), oraz że cokolwiek kiedykolwiek należało do Niemiec, winno do nich należeć nieodwołalnie.

Nieustraszony pacyfista niemiecki Förster, wydawca „Die Zeit“, szczery przyjaciel Polski, który ostatnio piękny artykuł poświęcił Piłsudskiemu, jako wcieleniu „Poloniae Eternae“, bezustannie karci „Schwindel“ i „faryzeuszostwo“ polityki niemieckiej, udającej pokój, a przygotowującej „odwet rewizyjny“. „Jakżeż to wszystko — pisze on m. in. — ma się skończyć, jeżeli nie szaloną roz-

prawą na śmierć i życie, o której się później znów powie, że była Niemcom „narzucona“, jak „bezprawny Traktat Wersalski“!!

Stosunek Niemiec, względnie Prus, do pacyfizmu wynika niestety logicznie z owego zatrutego pokarmu duchowego, który w postaci nacjonalizmu zastępuje Prusakom patrjotyzm, głosząc przedewszystkiem uświęcanie środków przez cel. Nacjonalizm nie uznaje i nie rozumie solidarności międzynarodowej w imię pokoju. Niestety, jadem tym przysączony jest, jak wiemy, nietylko nacjonalizm niemiecki!

Nadzwyczaj oryginalnym jest „pacyfizm“ nacjonalizmu. W Niemczech nacjonaliści apelują do całego świata, by w imię ocalenia pokoju pomógł do realizacji rewindykacji niemieckich, grożąc w przeciwnym razie „wybuchem rozpaczy“. Nadzwyczaj wygodne i jednostronne to pojmowanie pokojowości znajduje niemniej oryginalne analogon w nacjonaliźmie polskim. Podczas, gdy cały świat cywilizowany widzi największe niebezpieczeństwo dla pokoju w jawnych przygotowaniach wojennych Sowietów, które zdołały uzależnić od siebie w znacznym stopniu Reichswehrę niemiecką (a nie odwrotnie), niebezpieczeństwo tem większe, że Sowiety przy pomocy cynicznej propagandy i bezwstydnych komedji, w rodzaju procesu przeciwko przywódcom „partji przemysłowej“ o przygotowywanie „kontrrewolucji“ przy pomocy mocarstw, starają się wpajać w masy rosyjskie i komunistyczne na całym świecie przekonanie o rzekomo grożącej Rosji „inwazji kapitalistycznej“ i konieczności zbrojnej obrony przed nią — „Gazeta Warszawska“ drukuje artykuł po artykule, broniący „pacyfizmu“ bolszewików przed rzekomym spiskiem wojennym Polski, Francji, Rumunji i t. d. Trudno wprost o większy cynizm w organie, mieniącym się obrońcą katolicyzmu oraz moralności i etyki chrześcijańskiej w życiu publicznem. Czyż dostarczanie propagandzie Czerwonego Antychrysta argumentów do sprowokowania mocarstw za-

chodnich ze sprzymierzoną z nami Francją na czele (który to sojusz nasi nacjonaliści uczynili dla siebie nibyto hasłem sztandarowem) ma być odpowiedzią na wspaniały apel Ojca Świętego o solidarność i krucjatę moralną państw chrześcijańskich w obronie przed najstraszniejszym tegoż chrześcijaństwa wrogiem, broczącym krwią tylu setek tysięcy zamęczonych wyznawców krzyża?

Według katolickiego kodeksu społecznego wojna jest sprawiedliwa tylko wtedy, gdy ma na celu podtrzymanie prawa siłą i jest słuszna, gdy prawo zostało pogwałcone, a wszelkie inne środki, użyte dla jego przywrócenia, zawodzą. Wojna powinna być środkiem skutecznym dla osiągnięcia celu, który ją uprawnia, czyli do przywrócenia porządku. Prowadzoną być powinna z możliwą łagodnością"... „Wszelka legalna organizacja stosunków międzynarodowych ma na celu wspólne dobro międzynarodowe, a temsamem pokój". Podstawowe warunki sprawiedliwego i trwałego pokoju sformułował Papież Benedykt XV w nocie z dnia 1-go sierpnia 1917 roku: „Jednocześnie wspólne zmniejszenie zbrojeń, według dokładnego planu i przy zastosowaniu odpowiednich zabezpieczeń, aż do poziomu, który okazuje się koniecznym dla utrzymania porządku wewnątrz kraju... Utworzenie trybunałów rozjemczych, według prawideł, które pozostają do omówienia i z oznaczeniem sankcji karnych przeciwko każdemu państwu, któreby czy to odmówiło poddania spraw międzynarodowych pod rozważenie tego sądu, czy to nie wykonało jego wyroków".

Podstawową więc zasadą pacyfizmu katolickiego, w przeciwstawieniu właśnie do nacjonalizmu, jest etyka chrześcijańska, oparta o przykazania Boże, tak w stosunkach pomiędzy państwami, jak i w stosunkach pomiędzy ludźmi. Jest to też zasada, obowiązująca nas, zachowawców. W przepojeniu zasadami takiej moralności naszego życia rodzinnego, wychowania i nauczania młodzieży, a więc także całego szkolnictwa, stosunków pomiędzy kla-

sami społecznemi, a w szczególności między kapitałem a pracą, naszego życia politycznego i partyjnego, całego naszego ustawodawstwa, a wreszcie w przepojeniu tą moralnością i stosunków międzynarodowych, gdzie tak długo i tak ohydnie była moralność chrześcijańska gwałconą, widzi Stronnictwo Prawicy Narodowej „najważniejszą gwarancję zgodnego z wolą Opatrzności rozwoju naszego narodu i całej ludzkości". Cała ludzkość cywilizowana tworzy bowiem wspólnotę, której „naród polski umie się poczuć cząstką"... Trudno o bardziej kategoryczne przeciwstawienie zachowawczego poglądu na zagadnienie pacyfizmu nacjonalizmowi, tworzącemu pewnego rodzaju międzynarodówkę, wspólną szowinistom wszystkich krajów.

II. PACYFIZM MASONERJI.

Pogląd ten chrześcijański i zachowawczy musimy jednak niemniej zasadniczo i kategorycznie przeciwstawić pacyfizmowi masonerji, wszechwładnemu obecnie niestety w działalności Ligi Narodów, gdzie zagadnienia katolickie są lekceważone i pomijane milczeniem. Wszyscy wszak pamiętamy, że sprawy prześladowań religijnych w Sowietach i Meksyku nie uważano nawet za wskazane w tym aeropagu rozważać.

Państwem, w którem wpływy masońskie są najsilniejsze, jest niewątpliwie Francja, w której stolicy oba centra masonerji europejskiej, Wielki Wschód i Wielka Loża Francji, mają swoje siedziby. Pod bezpośrednim wpływem masonerji znajduje się olbrzymie stronnictwo radykałów i radykałów socjalistów, będące wprost jej ekspozyturą; pod wpływem jej znajdują się demokratyczno-radykalne ugrupowania środkowe, nie mówiąc już — rzecz jasna — o organizacjach drugiej międzynarodówki. Masonerja nie pozwala radykałom francuskim na rozbrat z socjalistami, ona to kazała im opuścić swego czasu koalicję narodową p Poincaré, ona to obaliła ostatnio rząd p. Tardieu, ona

to kategorycznie domaga się wyrzucenia prawicy poza nawias wszelkich koalicji rządowych, przychylnie usposobionych dla katolicyzmu i sprawy religijnego wychowania młodzieży. Hasłem masonerji francuskiej jest „le cléricalisme — voila l'ennemi!" Rozdział Kościoła od państwa, laicyzacja szkoły i życia rodzinnego, oparcie całego życia publicznego wyłącznie o etykę świecką, oto jej podstawowe zasady. Występuje ona na zewnątrz pod płaszczykiem obrońcy wolności, praw człowieka i obywatela, zdobyczy rewolucji francuskiej *) i t. zw. integralnej demokracji, opartej o tezę pochodzenia wszelkiej władzy od ludu — w przeciwstawieniu do doktryny chrześcijańskiej: „Non est potestats nisi a Deo". Walczy masonerja wszędzie „z tronem i ołtarzem", z wszelkiemi tradycjami ustrojowemi i religijnemi państw i społeczeństw. Walka jednak z Bogiem przedewszystkiem! To też, po dokonaniu się ostatecznego rozłamu w Polsce między obozem marszałka Piłsudskiego a liberałami, radykałami i marksistami wszelkich odcieni. masonerja francuska wypowiedziała nam otwartą walkę pod hasłem: „Pas un sous pour la Pologne de Pilsudski"! A trzeba przyznać, że bojkot ten działa wcale sprawnie i skutecznie — jak dotąd. Demokratyczne zasady nie przeszkadzają równocześnie masonerji bynajmniej do finansowego podtrzymania dyktatury jugosłowiańskiej, w której rządzie zasiada kilku członków „Wielkiego Wschodu", a która prowadzi dość gorszącą walkę z nauczaniem religijnem młodzieży katolickiej, powodując stały zatarg rządu białogrodzkiego z Watykanem.

Fatalnym wskutek tego jest też wpływ masonerji na politykę zagraniczną Francji. Woli ona stanowczo ugodę z Niemcami, chociażby kosztem bolesnych dla dumy narodowej ustępstw, od wszelkiego porozumienia z Włochami. A przecież właśnie ów nieszczęsny spór prestiżowy fran-

---

*) Niechże uświadomią to sobie dobrze zwolennicy t. zw. demokonserwatyzmu, których nie brak niestety w szeregach mniej krytycznie myślących zachowawców! (Przyp. Red.).

cusko-włoski, mimo obopólnej niechęci do wywołania wojny, najbardziej obecnie zagraża pokojowi, powodując dziwolągi dyplomatyczne, w rodzaju okazania przerażonej Europie widma przymierza faszystowsko-komunistycznego, przymierza kolebki cywilizacji, słonecznej, przepięknej Italji, z jej rzymską stolicą — z ponurem, krwią zbroczonem państwem czerwonego antychrysta! Nikt przecież nie uwierzy, by genjalny Mussolini chciał narażać całe dzieło swojego życia na zagładę sprowokowaniem zatargu, skoro nawet ojciec duchowy współczesnego militaryzmu niemieckiego, generał Ludendorff, w swojej ostatniej książce na temat przyszłej wojny, wróży fatalny koniec dla wrogów Francji, conajmniej w postaci zupełnego zniszczenia wszystkich krajów Europy! W dodatku Włochy znajdują się w tak ciężkiej sytuacji gospodarczej (czego dowodem daleko idące obcięcie poborów i zarobków), że wygranie ewentualnego wyścigu zbrojeń z Francją dla uzyskania efektywnego parytetu jest dla nich niemożliwością. W Rzymie czynione są gorączkowe zabiegi o pożyczkę, przyczem pomocy finansowej Francji nikt nie wyklucza. Wobec jednak sytuacji, wytworzonej między Włochami a Francją przez masonerję, rząd włoski zaprosił do Włoch sowiecką misję morską w nadziei uzyskania pomocy dla przemysłu i zagwarantował w 75 proc. weksle sowieckie, zadatkowane za zamówione krążowniki i inny sprzęt wojenny i gospodarczy! Inżynierzy włoscy wyjechali do raju sowieckiego szukać tam zarobku i zatrudnienia dla emigracji włoskiej, będącej jedną z naczelnych trosk polityki tego przeludniającego się groźnie kraju. Wobec zaś wzmagania się ruchu przeciwfaszystowskiego, wykorzystującego nędzę mas, Il Duce bardziej, niż kiedykolwiek, potrzebuje sukcesów dyplomatycznych i nie może pójść na kompromisy w dziedzinie prestiżu mocarstwowego Włoch. Ofiarność przymusowa społeczeństwa musi znaleźć odpowiednie kompensaty w celu utrzymania „dobrego nastroju“ mas, zwłaszcza, że akcja za zniżką cen przemysłowych, w na-

dziei zmniejszenia „nożyc“, nie dała zadowalniających rezultatów. Stąd owe wojownicze enuncjacje Mussoliniego, mające na celu utrzymanie zbiedzonego społeczeństwa w „podnieceniu patrjotycznem“.

„Pomiędzy utrwaleniem dobrych stosunków, z troską o rozwój stosunków gospodarczych, a utworzeniem bloku mocarstw dla określonego celu politycznego, jest różnica“, zauważa słusznie „Le Temps“. Godząc się z tem zdaniem, nie można przeoczyć niebezpieczeństwa dla pokoju w poszukiwaniu „efektów“, chociażby wywołujące je „widma blokowe“ (włosko-niemiecko-rosyjsko-tureckie i t. p.) nie miały żadnej szansy urzeczywistnienia.

Zdawałoby się więc, że porozumienie francusko-włoskie powinno być pierwszym celem dyplomacji francuskiej, w zrozumieniu jego podstawowej wagi dla ugruntowania pokoju w Europie. Cóż bowiem znaczyć mogą formułki prestiżowe, o fikcyjnej raczej wartości, zwłaszcza w zestawieniu z daleko boleśniejszemi dla dumy narodowej Francji koncesjami Brianda na rzecz ugody z Niemcami, którym stopniowo pozwolono osiągnąć niezmiernie wiele — właściwie wszystko to, czego ongiś ś. p. Stresemann, wódz masonerji niemieckiej, żądał od swego „przyjaciela“ Brianda. Daje to wiele do myślenia, skoro zważymy, że pozbawiono Francję gwarancji militarnych (okupacji Nadrenji) w przeddzień zwycięstwa Hitlera, przy równoczesnej nieugiętości z jej strony wobec dezyderatów Włoch. Z powodu obalenia rządu Tardieu i powołania gabinetu radykalnego p. Steega, powolnego narzędzia w ręku masonerji, pisze katolicka „Germanja“, organ centrum niemieckiego, m. in.: „Tym razem działalność ministra spraw zagranicznych, p. Brianda, nie będzie zneutralizowana wpływami p. Tardieu“. Twierdzenie to, zdradzające życzenia i nadzieje Niemiec, nawet katolickich, na pacyfizm masonerji francuskiej, gotowej zawsze do wszelkich ustępstw na rzecz Niemiec w celu szachowania Włoch i faszyzmu widmem ugody francusko-niemieckiej, wywołało na łamach prawi-

cowej prasy francuskiej silne wyrazy nieufności do celów polityki właśnie p. Brianda. W związku z tem „Figaro" przytacza następującą opinję ministra spraw wewnętrznych p. Georges Leyges, byłego członka większości rządowej Tardieu:

„Najbardziej zarzucam rządowi (poprzedniemu) jego stanowisko w polityce zagranicznej. Opróżnienie przedwcześnie Nadrenji — co za szaleństwo! Mówiąc o nierozwadze, o błędzie, używa się słów za skromnych. Prawda polega na tem, że w chwili opuszczenia przez nas Moguncji i zrzeczenia się wszystkiego, co zastaw ten przedstawiał dla nas tytułem słusznego bezpieczeństwa i hipoteki pokojowej na przyszłość, wprowadziliśmy Europę w dramatyczną sytuację, wywołującą najpoważniejsze obawy i konieczność ciągłej czujności. Że Briand jest papieżem pokoju, to pewne, nie jest to jednak papież, jakiego wymagają warunki współczesne. Jakżeż można było pięć lat przed terminem, nam pozostawionym, zgodzić się na ewakuację strefy ochronnej, której zniknięcie przewraca do góry nogami całą naszą pozycję dyplomatyczną i wojskową? Gdyby przynajmniej prace około umocnienia naszego pogranicza, fortyfikacje, uznane za niezbędne przez nasze naczelne dowództwo, były ukończone! Ale przecież Painlevé (ówczesny minister wojny) oświadczył trzynaście czy czternaście miesięcy temu, że w danych warunkach przed upływem pięciu lat nic nie będzie mogło być urzeczywistnionem!

„Więc? Okazujemy otwarty bok możliwemu atakowi — otwartą granicę. Co zaś jest szczególnie groźnem, to milczenie, przestrzegane przez agencje i pewne dzienniki wobec gwałtownych manifestacji antyseparatystycznych, urządzonych po opuszczeniu przez nasze wojska lewego brzegu Renu. Milczenie to było zorganizowane, przełamano jedynie przez odważne pióra. Manifestacja stahlhelmowców w Koblencji pozostałaby zupełnie nieznaną w opinji publicznej, gdyby nie sprawozdanie specjalnych

korespondentów. Taka metoda, służąca Quai d'Orsay, jest prawdziwem naruszeniem interesów narodowych. Jest ona też mocno niezręczną, gdyż sprawy takie zawsze wychodzą na światło dzienne. Stara się zrobić różnicę między Hindenburgiem a Hitlerem. Co za iluzja! Hindenburg jest już ponownie i całkowicie zjednanym dla idei wszechniemieckich, tak żywych przy jego ognisku domowem. Ach, nasze nierozważne ustępstwa nie omieszkały przynieść rezultatów! Jesteśmy obecnie szybko i wymownie wynagrodzeni za naszą ugodowość. Mówi się ciągle, że naród francuski chce tylko słyszeć o pokoju. Prawdą jest, że życzy on sobie szczerze pokoju, z całego serca, tak skrwawionego w czasie wojny, lecz gdy mówię do moich współziomków, wobec słuchaczy robotników i chłopów, o zgubie, na jaką się narażamy wskutek niewytłómaczalnego zaślepienia, spotykam się wszędzie z przyjęciem najserdeczniejszem, z najzupełniejszą aprobatą. Ileż razy mówiłem ongiś na radzie ministrów do Brianda: „Baczność! Nie idź pan tak daleko na drodze ustępstw. Gore — gore"! A teraz? Ostatecznie mogę oświadczyć, że przez moje mowy bardzo przyczyniłem się w kraju do kampanji przeciwko niemu".

III. PACYFIZM LOCARNEŃSKI I JEGO DZIEJE.

Opinja ta nie przeszkodziła obecnie p. Leygues wstąpić do gabientu p. Steeg'a, nazywanego przez jego zwolenników gabinetem Locarna, mającym za zadanie przeprowadzenie czemprędzej „pacyfikacji Europy" przez powszechną ugodę i rozbrojenie! Dotychczas wszakże dominowała we francskiej polityce zasada „securité d'abord", czyli uzależnienie rozbrojenia od uzyskania konkretnych międzynarodowych gwarancji bezpieczeństwa, a nietylko papierowych deklaracji i obietnic puszczenia w ruch ciężkiej machiny Ligi Narodów. Sam p. Briand był ongiś bardzo bliskim osiągnięcia tego ideału, w chwili przyjęcia

przez Ligę t. zw. „protokółu genewskiego“, którego ostateczne fiasco, spowodowane przez parlament brytyjski, przeciwny dysponowaniu przez kogokolwiek flotą angielską, chociażby na polecenie Ligi, spowodowało Brianda do zadowolenia się Locarnem. Należy stale mieć w pamięci dzieje obu tych instrumentów pokoju, ściśle związanych dla nas z polityką hr. Aleksandra Skrzyńskiego, z historją jego pierwotnych powodzeń genewskich, a następnych niepowodzeń locarneńskich.

Protokół genewski był bezsprzecznie wyrazem ogólnoludzkiego idealizmu, protestującego konsekwentnie od zakończenia wielkiej wonjy przeciw możliwości powtórzenia kataklizmu wojennego. Lecz był także wynikiem gry realnych i zwalczających się wzajemnie sił oraz przyczyn, które go przetrwały i znalazły swój wyraz w późniejszych układach międzynarodowych. Jedną z głównych moralnych pobudek protokółu była narzucająca się coraz silniej konieczność usunięcia banicji międzynarodowej, jaka poniekąd dotknęła Niemcy w 1919 roku. Nadomiar Anglja, działając pod wpływem swych wzrastających trudności gospodarczych, a także odradzającej się przeżytkowej niechęci do umacniania się potęgi francuskiej na kontynencie, podtrzymywała stale koncepcje układu gwarancyjnego, w którym udział równorzędny wzięłaby Rzesza. Niemcy zaś, godząc się na niezbyt dla nich kosztowne, bo zbyteczne właściwie pod względem prawno-politycznym, dodatkowe uznanie ze swej strony stanu rzeczy, stworzonego przez Traktat Wersalski na zachodzie, oraz na udział we wspólnych z tej strony gwarancjach, żądały zapłaty. Na ich rachunku, wystawionym przy tej okazji, widniały na miejscu naczelnem pruskie pretensje rewindykacyjne do polskiego Pomorza i Górnego Śląska.

Już w 1924 r. zarysowało się, w sposób coprawda mglisty, niebezpieczeństwo, że żądania niemieckie, ażeby Polska płaciła koszta przystosowania się Europy do warunków nowego bytu, mogą nie pozostać bez echa na tere-

nie międzynarodowym. Protokół jednak wprowadził obowiązkowy arbitraż z wyłączeniem spraw, ostatecznie załatwionych traktatami pokojowymi. Polska, przy równoczesnem utrzymaniu swych sojuszów, jako bezpośredniej ostoi jej bezpieczeństwa materjalnego, uznała solidarność międzynarodową, widząc w niej skuteczną ochronę nienaruszalności traktatów, jako podstawy swego bytu. Natomiast Niemcy przyłączyły się do wysuniętego w 1924 r. hasła solidarności powszechnej w nadziei przemycenia na tej podstawie choćby części swych postulatów odwetowych, jakkolwiek nie były one w zgodzie z wysuwaną równocześnie zasadą sprawiedliwości międzynarodowej. Wyzyskując umiejętnie upadek Protokółu dla dopięcia wytkniętego świadomie celu, kanclerz Luther, gdy podejmował z początkiem 1925 r. oficjalne zabiegi, mające położyć kres izolacji niemieckiej, łudził Polskę dobrą rzekomo wolą berlińskiego rządu i możliwością zawarcia polsko-niemieckiego traktatu handlowego. Równocześnie jednak wygłosił mowę w Królewcu, uderzającą w Traktat Wersalski i decyzje Konferencji Ambasadorów, a mierzącą bezpośrednio w nasz dostęp do morza oraz w ostatecznie uregulowany polsko-niemiecki stan posiadania nad Wisłą. Zaakcentował w ten sposób kardynalną różnicą, jaka w pojęciu Niemiec zachodzi między możliwością definitywnego uznania przez nie układu powojennych stosunków wschodniej a zachodniej granicy Rzeszy.

Stresemann zaproponował następnie Francji zawarcie paktu wzajemnej nieagresji i dodatkowe gwarancje jej obecnego stanu posiadania nad Renem, ograniczając te propozycje wobec wschodu do konwencji arbitrażowych, mających zapewnić na przyszłość sąsiadującym ze sobą państwom możliwość regulowania zatargów prawno-politycznych na drodze rokowań pokojowych. Jak stwierdza w swojej książce „Polska i Francja" ówczesny minister spraw wojskowych, gen. Wł. Sikorski, „wszczęte na tem tle rozmowy między Anglją, Francją i Rzeszą Niemiecką po-

zostały pod wieloma względami tajemnicą dla ówczesnego polskiego ministra spraw zagranicznych"... „P. Heriot, a nieco później p. Briand, postawieni wobec alternatywy: bądź uzyskania dodatkowych gwarancji w sprawie Alzacji i Lotaryngji, choćby to odsłaniało pośrednio pozycję międzynarodową Polski i Czechosłowacji, bądź to zrezygnowania z angielsko-niemieckich propozycji, wybrali pierwszą ewentualność. Nie wtajemniczając nas w ówczesne swoje na temat wniosków Stresemanna rozmowy, dbali o bezpieczeństwo Polski na swój sposób, lecz bez naszego w tych rozmowach udziału. Wykluczyć zaś sprawy polskiej z rokowań, które poprzedziły zawarcie układów locarneńskich, nie było sposobu. Nie dopuszczały zresztą do tego Niemcy. Dla nich celem głównym przygotowywanych traktatów było wprowadzenie wyłomu w stosunkach polsko-francuskich i skierowanie wysiłków międzynarodowych, zmierzających do ostatecznego utrwalenia pokoju, na drogę, na której Polska musiałaby w przyszłości opłacić dokonywaną z udziałem Rzeszy konsolidację kontynentu.

„Żałować więc należy, że ówczesna polityka zagraniczna Polski umożliwiła Anglji i Francji wyeliminowanie nas z rokowań przygotowawczych i pozbawiła Polskę wpływu realnego na rozwiązanie tego najtrudniejszego, a zarazem i najpoważniejszego dla nas na przyszłość zagadnienia. Żałować należy, że redakcja odpowiedzi (16-go czerwca 1925 r.) na memorandum Stresemanna dokonała się poza nami i że sierpniową notę p. Brianda zakomunikowano hr. Skrzyńskiemu w formie definitywnej, pozbawiającej go możności wprowadzenia do niej potrzebnych ze stanowiska polskiego zmian.

„Niemniej przeto układy locarneńskie ciężkim były ciosem dla naszego prestiżu międzynarodowego. Stworzyły one podstawy dla podstępnej akcji przeciwpolskiej, z której podjęciem przez nieprzejednane czynniki niemieckie, gdy ogólna sytuacja wyda się im należycie po temu dojrzała, należy się w przyszłości poważnie liczyć".

Jak i kiedy zatem przyjdzie do stworzenia projektowanej Konfederacji europejskiej wraz z jej Komitetem Wykonawczym i urzędującym stale sekretarjatem? Czy projektowana 17-go maja z. r. organizacja, dublując Ligę Narodów, podoła jednemu z pierwszych swych zadań, polegającemu na rozwikłaniu skomplikowanego problemu gospodarczego Europy? Czy sprawy komunikacyjne i finansowe, zagadnienia pracy i higjeny, stosunki międzyparlamentarne oraz usprawnienie współdziałania międzyeuropejskiego, a więc zagadnienia, rozpatrywane dotychczas na terenie genewskim, posuną się znacznie naprzód w razie realizacji propozycji Brianda — przewidzieć trudno. Tem trudniej uwierzyć w ich skuteczność, w najbliższym przynajmniej czasie, gdy mowa o ostatecznej pacyfikacji kontynentu i gdy chodzi o faktyczną realizację gorączkowych nadziei i pragnień ludzkości w tej dziedzinie. Projektowana instytucja międzynarodowa, która, we właściwem tego słowa znaczeniu, nie będzie federacją, okazać się może jeszcze mniej skuteczną, aniżeli nią była dotychczas Liga Narodów. Byłoby to zaś nieszczęściem dla przyszłości Europy, gdyby ten piękny, nacechowany pewnego rodzaju marzycielstwem politycznem projekt, przysłonił nam istotną rzeczywistość chwili współczesnej, rzeczywistość, pozostającą pod wpływem polityki światowych zaburzeń wojennych, reprezentowanej przez dyktatora wszechrosji sowieckiej, Stalina i sowieckiego komisarza wojny, Woroszyłowa, współdziałających dzisiaj na oczach całego świata z Brüningiem, Groenerem i Treviranusem.

Jak to już stwierdzono, Polska, narażona w pierwszym rzędzie na niebezpieczeństwo zbrojeń rosyjsko-niemieckich, jest zainteresowaną więcej, aniżeli jakiekolwiek inne państwo, w definitywnem skonsolidowaniu kontynentu. Leży również w naszym interesie, ażeby nie dopuszczać do pogłębienia się istniejących rozbieżności i aby wzmocnić oraz ugruntować pokój, na obecnym status quo. Jako państwo natomiast, które w dziedzinie gospodarczo-

przemysłowej odrobić musi ponadto skutki prawie półtorawiekowej niewoli, zainteresowani jesteśmy szczególnie w tem, aby wojna gospodarcza, która wybuchła w świecie tuż po ukończeniu Wielkiej Wojny, zakończyła się możliwie szybko i by leczenie klęsk, przez nią wywołanych, dokonało się najskuteczniej i w jaknajszybszem tempie.

IV. PACYFIZM KATOLICKI A MASOŃSKI.

Zasadniczą różnicą pomiędzy pacyfizmem masońskim a katolicko-zachowawczym stanowi ten niesłychanie ważny moment, że pacyfizm katolici domaga się pokoju sprawiedliwego, opartego o braterstwo równouprawnionych narodów, z których żaden nie jest uprzywilejowanem narzędziem Opatrzności, nie uznającej prawa jednych państw do panowania nad drugiemi (chyba, że wyższe względy cywilizacyjne i kulturalne uzasadniają opiekę społeczeństw, stojących na bardziej udoskonalonym poziomie rozwojowym, nad ludami pierwotnymi, wyłącznie jednak w interesie dobra duchowego, moralnego i materjalnego tych ostatnich). To też i nie może być mowy dla pacyfizmu katolicko-zachowawczego o czyjemkolwiek prawie hegemonji, o kontroli kogokolwiek nad cudzemi sprawami wewnętrznemi, co oczywiście nie wyklucza wcale ograniczenia suwerenności państw na rzecz organizmu ponadpaństwowego, wszystkim wspólnego, uzgadniającego powszechne wysiłki pokojowe poszczególnych organizmów państwowych i występującego w ich imieniu wobec wrogów pokoju i etyki chrześcijańskiej w życiu międzynarodowem.

Taki to pacyfizm wyznawał Kościół zawsze i stale, od początku swojego istnienia, ustanawiając już w średniowieczu t. zw. Treuga Dei i dążąc słusznie do poddawania państw, a zwłaszcza wzajemnych ich sporów, duchowej władzy rozjemczej Namiestnika Chrystusa. Średniowieczna Polska, rozumiejąc właściwie te nadprzyrodzone posłannictwo Stolicy Apostolskiej, uznała wyraźnie w tym

względzie jej zwierzchnictwo, czego dowodem omawiany niedawno na łamach „Naszej Przyszłości“ dokument historyczny Dagome Judex. I w naszych czasach szereg państw, m. in. Hiszpanja i państwa Ameryki Południowej, uprosiły Stolicę Piotrową o przyjęcie stałego pomiędzy niemi rozjemstwa. Kościół zresztą wyraźnie i bezapelacyjnie potępia wojnę zaczepną, podpadającą pod zbrodnie, objęte piątem przykazaniem, tudzież powiedzeniem Pisma Świętego: „Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie“.

Zgoła innym jest „konkurencyjny“ pacyfizm masonerji, pretendujący do zasługi w obdarzaniu świata pokojem i instytucjami międzynarodowemi i twierdzący, że „etyką świecką“, zgoła fikcyjną i nikogo — wobec braku podstaw absolutnych — nie przekonywującą, doprowadzi narody do zaniechania namiętności i walk wzajemnych o lepszy byt, w imię „prawa“, opartego znowu nie o Absolut, lecz o analogiczny do kontraktu społecznego Rousseau'a układ międzynarodowy. Skoro zaś wszelkie umowy dla państw, kierujących się „prawem silniejszego“, obowiązują tylko zależnie od własnego uznania i chwilowej konjunktury (teorja świstka papieru), zaś poza „presję moralną“, na której m. in. opiera się „skuteczność“ „ubezprawnienia“ wojny przez pakt Kelloga, żaden z dotychczasowych paktów nie wyszedł, to pacyfizm tego rodzaju nietylko jest iluzorycznym, lecz nawet obłudnym i podejrzanym. Dlatego to właśnie przytoczyliśmy w innem miejscu niniejszych wywodów swoistą opinję o wartości tego pacyfizmu, szczerze wypowiedzianą przez gorącego jego „zwolennika“ z szeregów Reichswehry. Obserwując ostatnią ewolucję wewnętrzną w Niemczech od chwili ewakuacji Nadrenji, przerażający wzrost kierunku odwetowego, dążącego do nowego rozbioru Polski, groźne, a niemal jawne zbrojenia wspólne niemiecko-sowieckie, opisane w poprzednim numerze „Naszej Przyszłości“, a wyraźnie zwrócone przeciwko pokojowi Europy i przewyższające pogotowie wojenne innych państw, pomimo rzekomego

„rozbrojenia“, musimy ze zgrozą śledzić propagandę drugiej międzynarodówki i innych instytucji, bezpośrednio podległych masonerji, jak np. Ligi praw człowieka i obywatela i t. d., zmierzającą do zapewnienia żądaniom rewizyjnym, „mniejszościowym“ i „rozbrojeniowym“ Niemiec najdalej idącego poparcia na arenie międzynarodowej. Dzięki tej to kampanji Niemcy urastają stopniowo do roli apostołów wolności, pokoju i sprawiedliwości, obrońców uciśnionych i skrzywdzonych. Poważne organy prasowe w wielu krajach naiwnie czy obłudnie dają wiarę tej hipokryzji i perfidji. Polska zaś, największa ofiara dotąd zaborczości niemieckiej, ze swoją tradycyjną tolerancją i przesadną słowiańską łagodnością, przedstawiana jest przez tę właśnie pacyfistyczną propagandę jako kuźnia militaryzmu i planów wojennych, grożących jakoby spokojnym sąsiadom, jako zaborca odwiecznie germańskich, względnie rosyjskich ziem, jako prześladowca okrutny wszelkich mniejszości etnicznych z Niemcami i Żydami na czele. Pacyfizm ten stara się wszelkiemi siłami z Ligi Narodów i projektowanej Paneuropy uczynić narzędzie, służące egoistycznym celom finansjery międzynarodowej i innych wielkich trustów polityczno-gospodarczych, dążących, pod płaszczykiem międzynarodowej sprawiedliwości, do gnębienia suwerennych interesów państw, swoją tradycją i misją historyczną stanowiących przeszkodę na drodze „tajnym celom“ różnych mafji i klik, dobrze zakonspirowanych. Podczas gdy dla pacyfistów chrześcijańskich, potępiających szowinizm i prawo siły, jedynym wrogiem są ci, którzy dążą do rewolucji wszechświatowej lub do nowych zaborów na rzecz samozwańczego „narodu wybranego“, pacyfizm masoński, wpatrzony w hasło „walki z tronem i ołtarzem“, właściwego swojego wroga upatruje w — „klerykaliźmie“ i „reakcji“. Podczas więc, gdy pacyfizm chrześcijański dąży do solidarności wszystkich narodów cywilizowanych w obronie najwyższych dóbr kultury i moralności przed zalewem eurazyjskiego barbarzyństwa, a więc do szczerego brater-

stwa państw chrześcijańskich wobec zakusów czerwonego antychrysta, pacyfizm masoński walczy raczej z włoskim faszyzmem, sprzyja rewolucji w Hiszpanji i oskarża Polskę — o prześladowania mniejszości narodowych, okrutny ucisk Ukraińców i — last not least — zagrożenie pokoju europejskiego bezprawnem (!?) zagarnięciem Pomorza i Wileńszczyzny! Naczelnym organem masonerji, służącym właśnie takiej propagandzie, stał się obecnie „Manchester Guardian", dziennik liberałów angielskich. Zależność t. zw. „liberalizmu" od masonerji jest wszak dawno stwierdzonym faktem. Zaciekłość antypolska tego organu spowodowała ostatnio organ konserwatystów angielskich „Times" do szeregu artykułów, broniących Polski przed fałszami i insynuacjami „liberałów".

Nie twierdzimy oczywiście, by ten podział pojęć pacyfizmu dał się ściśle zastosować wszędzie i zawsze, dając właściwy klucz dla doszukiwania się masońskich czy chrześcijańskich pobudek danego ruchu pacyfistycznego. Niewątpliwie obfitość szlachetnych frazesów, zawarta w programach masońskich, natchnąć może wiele dusz o idealistycznym, chociaż areligijnym podkładzie, do chęci budowania „udoskonalonego" gmachu marzeń o harmonijnem współżyciu ludzkości na — gruzach "świątyni, z której odszedł Bóg". Nie oskarżamy też bynajmniej Brianda, czy innych wybitnych pacyfistów, o świadome działanie według wskazówek masonerji. Twierdzimy jedynie, że masonerja ma w ruchu pacyfistycznym, przez siebie inspirowanym, ukryte cele, nic nie mające wspólnego z naszemi ideałami, oraz, że t. zw. oficjalna współczesna akcja pacyfistyczna, ześrodkowana w Genewie, Paryżu (Wielki Wschód) i Berlinie (druga międzynarodówka), służy — świadomie, czy nieświadomie — tym właśnie celom.

Nie znaczy to oczywiście, by katolicy i zachowawcy nie mieli brać udziału w ruchu pacyfistycznym, a tem mniej oczywiście, aby mieli mu przeciwstawić — militaryzm jako cel sam sobie! Nic podobnego; katolicy i zachowawcy

mają właśnie obowiązek przyczynienia się w miarę sił i środków do ugruntowania na świecie pacyfizmu chrześcijańskiego. Skoro zaś nie może być mowy ani o stworzeniu innych, lepszych od obecnych organizacji międzynarodowych, tem mniej więc o ich lekceważeniu lub zwalczaniu, to właściwą dla nas wytyczną powinno być dążenie do stopnioego opanowywania tych instytucji i akcji. Papieże nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości lub niejasności pod względem stanowczego zorjentowania opinji katolickiej w tym właśnie kierunku. Nie wolno więc nikomu zbyt po prostacku tłómaczyć sobie słów Pisma Świętego, że „dzieci ciemności są sprytniejsze od dzieci światła". Należy właśnie dowieść masońskiej „elicie intelektualnej", oskarżającej nas o zacofanie, że wszystkie jej oklepane frazesy są tylko zniekształconem echem prawd odwiecznych, zawsze głoszonych przez Kościół, który w Stolicy Apostolskiej oddawna posiada organ ponadpaństwowy i ponadnarodowy, po tysiąckroć doskonalszy od wszelkich Lig i Trybunałów międzynarodowych, które dopiero wtedy nabiorą właściwego autorytetu i należytej powagi, gdy pamiętać będą, iż „sprawy duchowe i doczesne są faktycznie nierozdzielnemi", że więc też „wszelki związek narodów musi mieć niezbędnie stosunki z Kościołem katolickim". Jakżeż ma zapanować etyka w stosunkach międzypaństwowych, jeżeli ma być pozbawioną jedynego swojego uzasadnienia, czyniącego z jej przykazań nakaz wyższy, pochodzący od Absolutu, a więc niemogący podlegać wahaniom, różnym komentarzom, czy egoistycznie pojmowanym „interesom narodowym". Z chwilą, gdy osądzenie dobra lub zła, sprawiedliwości lub krzywdy w życiu międzynarodowem ma być oparte o zmienne konwenanse, a nie o niewzruszalne tezy dekalogu, wszelki pacyfizm staje się fikcją, cynicznie pokrywającą brutalną, bezlitosną walkę o byt.

Klasycznym przykładem masońskiej ideologji pacyfistycznej jest artykuł ministra spraw zagranicznych Cze-

chosłowacji, d-ra Benesza, jaki się ukazał w świątecznym numerze „Prager Presse". Wyrażając wiarę w osiągalność stałego pokoju, autor kreśli dzieje pacyfizmu, wyliczając wszystkich wielkich „filozofów", którzy stali się pionierami „humanitaryzmu", „absolutnej wartości osoby ludzkiej", zaczynając od „Konfucjusza, Jezusa"... (w takiej to kolejności!) i kończąc na — Herderze i Guglielmo Ferrero! Zdaniem jego „idealizm Chrystusowy" został „zrealizowany" przez „rewolucję francuską"! (która, jak wiadomo, nie była ani pacyfistyczna, ani nie szanowała „absolutnej wartości osoby ludzkiej"!). Zdaniem jego pacyfizm jest „tryumfem wewnętrznej i zewnętrznej demokracji". Żyjemy na szczęście w okresie powszechnej reakcji przeciwko „zdobyczom rewolucji francuskiej" i niwelacyjnym tendencjom demokracji i socjalizmu, tak, że anachronizm poglądów p. Benesza rzuca się w oczy. Charakteryzuje on jednak doskonale „idealizm" masoński, zastępujący etykę chrześcijańską mglistym „humanitaryzmem".

Zasadniczą różnicą pomiędzy pacyfizmem chrześcijańskim a masońskim zajmuje się w „La Vie Intellectuelle" O. Pierre Delattre, znany jezuita francuski, przyczem dochodzi do wniosków, które zasługują na podkreślenie. Zaznaczywszy, że wyszydzany pacyfizm należy do tych wypływających z duszy narodu prądów, które w całości przenika duch chrześcijański i wstręt do wszelkich kombinacji politycznych oraz do spekulacji giełdowej, autor stwierdza, iż istnieją dwa przeciwstawne pojęcia życia publicznego: Jedno, materjalistyczne i pogańskie, nie uznaje Kościoła, jego misji, jego praw i przez zbytnie ubóstwianie ojczyzny podnosi państwo do znaczenia najwyższego celu, źródła wszystkich praw. Drugie, spirytualistyczne i chrześcijańskie, przyznaje Kościołowi prymat, który wywodzi on ze swej misji i ze stosunku do ostatecznego celu człowieka; nie kwestjonuje to pojęcie zadań i uprawnień państwa, tylko wyznacza im odpowiednią rolę.

Obecnie, po „okropnej rzezi, która zhańbiła Europę"

(Benedykt XV), rozbrzmiewają hasła i wezwania do zbliżenia serc, do większej sprawiedliwości i miłości w stosunkach między klasami społecznemi, do porozumienia i współpracy narodów; wszystko to, zarówno co do swego pochodzenia, jak i co do celu, jest chrześcijańskie. Na gruncie społecznym Kościół posiadał Kettelera, Manninga i in. i w znacznym stopniu uchronił lud od wpływu socjalizmu.

Po społecznym papieżu Leonie XIII przyszedł papież Akcji Katolickiej. W czasie wojny wiele mówiono o koordynacji sił, o jednolitem kierownictwie. „W walce z nienawiścią i niezgodą mamy naukę i kierownictwo“ (Benedykt XV).

Słowa takie w czasopiśmie francuskiem są bardzo znamienne i pocieszające. Obłudny pacyfizm masonerji znalazł i we Francji właściwą przeciwwagę.

W swojej ostatniej mowie świątecznej do kardynałów Ojciec Święty następującymi słowy scharakteryzował pacyfizm katolicki w odróżnieniu od masońskiego:

„Chciałbym jednak, aby zatryumfował pokój Chrystusowy, a nie tylko jakiś nieokreślony oraz natrętny i nierozważny pacyfizm. Prawdziwy, trwały i owocny pokój przychodzi od Boga. O tym pokoju wspomniał nam niedawno we Mszy Św. Kościół święty, Matka nasza i niezrównana nasza Mistrzyni, słowy św. Pawła Apostoła: „A pokój Boży, który przewyższa wszelki zmysł, niechaj strzeże serc waszych i myśli waszych w Chrystusie Jezusie“ (Filip. IV, 7). „Pokój Chrystusowy“ przewyższa zmysł, pokój prawdziwy. Wielkim przeto jest błędem sądzić, że pokój prawdziwy i trwały może panować pomiędzy narodami i ludźmi, którzy przedewszystkiem chciwie i wyłącznie szukają dóbr zmysłowych, materjalnych i ziemskich. Dobra te, będąc z natury swej niedoskonałemi i ograniczonemi, nie mogą zaspokoić pożądań i pragnień wszystkich, rodzą natomiast zawiści i waśnie. Jedynie bowiem skarby i bo-

gactwa duchowe: prawdy dobra i cnoty, przynoszą pokój i szczęście jednostkom i narodom.

Drugi błąd, przed którym głos apostolski, przez Boga natchniony, winien wszystkich przestrzec, polega na fałszywem mniemaniu, że prawdziwy pokój może panować pomiędzy ludźmi i narodami, wśród których niema pokoju wewnętrznego, to znaczy, gdy w ich umysłach i sercach nie rządzi wszechwładnie duch pokoju: w umysłach, by uznały i poważały zasady sprawiedliwości, w sercach, by w nich zwierzchnią władzę wykonywała miłość, uzupełniająca zakon sprawiedliwości. Pokój bowiem jest owocem ducha sprawiedliwości (Izajasz 32, 17) i miłości (św. Tomasz, Summa theol. 2-ae, g. 29, 3), a przedewszystkiem z natury rzeczy owocem miłości.

Niezwykle trudnem jest, aby panował i trwał prawdziwy pokój w umysłach i sercach tych obywateli i klas społecznych, wśród których brak sprawiedliwego podziału zysków i ciężarów, praw i obowiązków, przyjaznych stosunków pomiędzy pracą i kapitałem, co da się osiągnąć jedynie za pomocą pokojowej współpracy. Jeszcze trudniej, jeśli wręcz niepodobnem jest, aby trwał pokój pomiędzy narodami i państwami, gdy zamiast prawdziwej i zdrowej miłości Ojczyzny panuje i szaleje egoistyczny i bezlitosny nacjonalizm, który krzewi zazdrość i nienawiść, zamiast zgodnego pragnienia dobra, nieufność i podejrzenie zamiast braterskiej ufności, współzawodnictwo i walkę zamiast zgodnej współpracy, ambicję, żądną hegemonji i przewagi zamiast uszanowania praw wszystkich, zwłaszcza praw słabszych i maluczkich.

Wreszcie absolutnie niemożliwą jest rzeczą, aby narody zażywały owoców pokoju w dziedzinie ładu publicznego i wolności, co stanowi istotę pokoju, gdy wewnątrz i zewnątrz zagrożone są przez poważne niebezpieczeństwa, nie posiadając dostatecznych środków do obrony. Bez wątpienia te poważne i groźne niebezpieczeństwa wynikają z konieczności ze wzrastającej propagandy wywroto-

wej i antyreligijnej, nie można jednak usunąć i pokonać tych niebezpieczeństw przy pomocy środków materjalnych".

W końcu, zalecając modlitwę o pokój i ukaranie narodów, któreby chciały wojny, Ojciec Święty oświadczył, że wierzyć nie chce, by wobec okrutnych skutków ostatniej wojny znalazł się naród, któryby takiej zbrodni, samobójczej w dodatku, chciał dokonać.

Adam Romer.

PATRJOTYZM CHŁOPSKI.

Nieodłączną cechą i podłożem pojęcia patrjotyzmu jest, między innemi, odpowiednia doza samozaparcia się jednostki na rzecz ogółu — ojczyzny. Im większą jest ta doza, tem wyższem, płomienniejszem jest uczucie patrjotyczne. Rzecz to jasna, bezsporna, wypróbowana doświadczeniem wszystkich czasów. Patrjotyzm pełnego żołądka, chciwy, zachłanny, targujący się z państwem o zyski materjalne, nie jest oczywiście żadnym patrjotyzmem.

Samo wyrażenie „patrjota“ oznacza człowieka, który poświęca się dla kraju, który na jego rzecz czegoś sobie odmawia — w skrajnem przeciwieństwie do społecznego pasorzytnictwa, które tuczy się cudzem mieniem lub kosztem organizmu państwowego.

Dawna Polska upadła bez żadnej wątpliwości przedewszystkiem klasową zachłannością, grubym materjalizmem i pasorzytnictwem szlachty i magnatów. „Ojczyzna — to zbiór praw i przywilejów, stanowi szlacheckiemu przysługujących“ — oto kwintesencja ówczesnego szlacheckiego pseudo-patrjotyzmu. Musiało upaść państwo, na takiej ideologji oparte.

W okresie niewoli i demokratyzacji nastąpiła refleksja, choć nie brakło już poprzednio pewnej w tym względzie inicjatywy, że Polska nie zdoła się oprzeć zaborcom zbrojnie, czy przynajmniej moralnie, jeżeli nie powoła do walki najliczniejszej w kraju warstwy — włościańskiej. Stąd hasło „uobywatelenia“ chłopa, z początku słabe i ostrożne, napotykające na opór zacofanego szlacheckiego konserwatyzmu, potężniało z każdem dziesięcioleciem, przybierając wreszcie charakter jednego z najważniejszych postulatów społeczno-narodowych. Niestety, zrozumieli je równocze-

śnie i zaborcy i nawet wcześniej od nas stosować zaczęli konsekwentną metodę stopniowego wyzwalania chłopa z ograniczeń dawnego ustroju, przywiązując go do rządu dobrodziejstwami natury materjalnej i buntując planowo przeciw „szlachcie-wyzyskiwaczom".

I oba te prądy, oba wysiłki, inteligencji polskiej i rządów zaborczych, w kierunku uobywatelenia chłopa i przeciągnięcia go na swoją stronę, charakteryzują wewnętrzną ewolucję naszego społeczeństwa w ostatniem stuleciu dziejów porozbiorowych. Wysiłki te doprowadzają w końcu do tego, że chłop, nie odgrywający dawniej żadnej, albo prawie żadnej roli społeczno-politycznej w Polsce, występuje wreszcie w drugiej połowie zeszłego stulecia na arenę publiczną, jako coraz bardziej równouprawniony i uświadomiony obywatel.

Marzenia dawnych wieszczów i patrjotów zaczynają się jak gdyby realizować. Ze szlachtą (resp. inteligencją) polską polski lud! Obywatelsko aktywna ludność ziem polskich zwiększa się o sześćdziesiąt procent. Zdawałoby się, że niezmiernie ważny i owocny w korzystne dla kraju rezultaty etap w konsolidacji społeczeństwa polskiego został przebyty. Chłopi wchodzą do ciał ustawodawczych, garną się do szkół średnich i wyższych, biorą coraz czynniejszy udział w organizacjach społecznych i gospodarczych, tworzą potężniejące z dniem każdym ugrupowania polityczne, podnoszą się kulturalnie i materjalnie, wypierając ze wsi lichwę żydowską — a przedewszystkiem manifestują na wiecach, pochodach i w innych okazjach. Zwłaszcza po odzyskaniu niepodległości państwa rola ta wszechstronna chłopa polskiego wzmogła się z natury rzeczy tak dalece, że zaważyła w pierwszym rzędzie na ustroju państwa, jego rozwoju politycznym i gospodarczym, oraz na różnych szczegółach i przejawach życia publicznego. Wszak dzisiaj już prawie żadne większe zebranie publiczne, organizacja, czy manifestacja, czy wystawa, nie może odbyć się bez barwnej krakowskiej lub łowickiej sukmany!

Ale w całym tym doniosłym procesie aktywizacji mas włościańskich do roli obywatelskiej, którego punktem kulminacyjnym i zarazem najwymowniejszym symbolem były rządy Witosa, tkwił od początku pewien zaród organicznej choroby, która spowodowała dotkliwe wypaczenie tego procesu, a w konsekwencji i naszego państwowego ustroju, kształcącego się w znacznej mierze pod kątem widzenia materjalnych interesów włościaństwa.

Proces bowiem uobywatelenia chłopa, z nielicznymi wyjątkami niegdyś biernego i obojętnego na losy państwa (Racławice i podobne porywy nie miały powszechniejszego znaczenia), rozpoczął się prawie odrazu pod znakiem faktycznej licytacji między inteligencją polską a rządem zaborczym, a potem między różnemi polskiemi stronnictwami — o pozyskanie przychylności chłopa drogą schlebiania mu i ofiarowywania (a przynajmniej obiecywania) coraz większych korzyści materjalnych. Krótko mówiąc, w zapale chłopomańskim, czy partyjno-wyborczym, ofiarowano chłopu całą Polskę niemal na własność, wmówiono w niego, że on jest właściwym, głównie uprawnionym w niej gospodarzem. Stworzono, przy pomocy socjalistów, koncepcję i nazwę „Polski ludowej“ i wywieszono w sejmach, wiecach i prasie hasło, że jeżeli Polska nie ma być „ludową“, to lepiej, żeby jej wcale nie było! Jednocześnie prowodyrzy chłopscy — notabene nie zawsze z chłopów się rekrutujący — dali im do zrozumienia, że mogą sobie wolną Polskę urządzić całkowicie na „chłopską modłę“ i robić z nią, co im się żywnie podoba.

„Prawo chłopa“ — czyli w gruncie rzeczy zachłanność jego na jak największe korzyści materjalne za wszelką cenę — postawiono na najwyższym piedestale patrjotyzmu, p o n a d w s z e l k i e m i n n e m p r a w e m. Ugiąć musiał się przed niem nawet przodujący w radykalnych reformach socjalizm, przynajmniej na razie, przyoblekając się w sui generis patrjotyzm. Naruszono na korzyść chłopa w zasadzie prawo własności ziemi. Stworzo-

no dla niego Państwowy Bank Rolny i inne instytucje kredytowe, niby ogólno-rolnicze, z których jednak większa własność, jako skazana na zagładę, korzystać mogła tylko w niewielkim stopniu. Stworzono dla niego najdemokratyczniejszy na świecie system wyborczy do wszelkich oficjalnych ciał i instytucji, zapewniając mu zdecydowaną supremację liczebną we wszystkiem, na czem się trochę rozumie i we wszystkiem, na czem się wcale nie rozumie. Zwolniono go w znacznej mierze z podatków, tak dalece, że gdy nieraz nędzarzom w miastach, ubogim krawcom, szwaczkom i praczkom, sekwestruje się za zaległe podatki ostatnie graty, to bogaty chłop, którego folwark z inwentarzem ma wartość dobrych kilkudziesięciu tysięcy złotych, wyjęty jest z pod obowiązku podatkowego.

Można sobie łatwo wyobrazić, jak taktyka tego rodzaju, uprawiana coraz intensywniej, coraz bezkrytyczniej, musiała oddziałać na ciemne, w grubym materjaliźmie wyhodowane umysły chłopskie! „Polska — to ja!“ — pomyślał sobie każdy chłop, a zwłaszcza każdy poseł chłopski i cały swój rozum, wszystkie dążenia i apetyty skierował jednostronnie na korzyść swego stanu, zachowując się wobec innych spraw i potrzeb państwowych albo obojętnie, albo wrogo, albo wreszcie stosując system targów. Okazało się to najjaskrawiej w czasie inwazji bolszewickiej. Gdy nieprzyjaciel, pędząc przed sobą osłabione wojska polskie, wkroczył już szerokim frontem w najrdzenniejsze polskie ziemie, grożąc zagładą państwu i cywilizacji, wtedy chłop polski, Witos, piastujący godność prezesa rady ministrów, oświadczył, że nie wyda okólnika, wzywającego chłopów pod sztandary armji ochotniczej, dopóki wykonanie reformy rolnej nie zostanie mu zapewnione.

Zaiste, doskonały moment do targów! Patrjotyzm chłopa polskiego zajaśniał w całej pełni! A i tak stosunkowo niewielka ilość synów chłopskich zgłosiła się potem do armji. Bo i po co? Wszak chłop polski żyje w wolnej i niepodległej republice „ludowej“ po to, aby z niej korzystał.

Inni mają go bronić i starać się o jego dobro, no i o jakieś tam dobro państwa! Dla innych obowiązki, dla chłopa same prawa! Wszak dzisiejsza Polska ludowa, to „zbiór praw i przywilejów, stanowi włościańskiemu przysługujących“!

Czyli — ideologja Polski przedrozbiorowej w całej okazałości, tylko, że przywileje przeniosły się z jednej warstwy społecznej na drugą i to w poprawionem przez demagogję wydaniu!

I takie przywileje daje się ludziom, takie pojęcia wtłacza się w mózgi tym, którzy nie rozumieją nietylko konieczności państwowych, nietylko korzyści najbliższej swej okolicy czy powiatu, ale nawet własnego interesu; ciemnej masie, która np. odpędza drągami geometrów, dokonujących niezbędnych pomiarów, albo wzbrania się współdziałać w poprawieniu drogi, łączącej wieś ze światem, upatrując w tem jakiś „podstęp pański“ lub „szykanę starosty“!

Wobec tego wszystkiego stwierdzamy, że t. zw. patrjotyzm chłopa polskiego, sławiony nieraz w prasie, poezji i fabrykowanej ad hoc historji, jest czystą fikcją. Lud nasz wiejski — mówiąc oczywiście o ogóle, a pomijając wyjątki — nie jest w gruncie rzeczy ani patrjotyczny, ani nawet „uobywatelony“. Nie zdaje sobie sprawy z niczego, co nie dotyczy jego bezpośredniego interesu, a stopień jego obywatelskiego i państwowego uświadomienia jest, mimo wszelkich szkół, gazet, wieców i kooperatyw, w gruncie rzeczy niewiele wyższy od stanu z czasów pańszczyźnianych. Imponuje mu na serjo tylko silna władza — starosta i żandarm. Pod ich czujnem a surowem okiem (gdzie takie oko istotnie czuwa) chłop pracuje dobrze i zachowuje się dobrze. Jest wówczas — na chwilę — podobnym do owego legendarnego kmiotka, opiewanego w krakowiakach i bajeczkach dla dzieci. Chociaż dzisiaj już i ta nawet legenda, istniejąca pod czujnem okiem władzy, znacznie się zaciera. Śmiech bierze obserwatora na widok np. zebrań

lub wycieczek lokalnych towarzystw rolniczych, gdy chłopscy członkowie, słuchając przemówień i fachowych objaśnień „inteligenckich“, mrużą ironicznie oczy i wymieniają między sobą spojrzenia, mówiące wyraźnie: „Nech gada zdrów, a taki ziemia dla nas i koniec“!

Takim jest chłop pod silną władzą. A jeżeli tej władzy nad sobą nie czuje? Wówczas kieruje nim jeden tylko instynkt, wykształcony zarówno wielowiekową niedolą, jak i nowoczesną metodą „uobywatelenia“: zagrabić, co się da, a resztę zniszczyć! Stwierdziliśmy to aż nazbyt dotkliwie w czasach wojennych i powojennych i stwierdziliśmy nawet więcej: we wsiach, gdzie chłop był w ryzach trzymany twardą a sprawiedliwą ręką ziemianina, znacznie mniej było rabunków, niekiedy nawet dobrowolne, samorzutne restytucje rozebranego mienia, niż tam, gdzie dziedzice bawili się w chłopomanów, przyjaciół ludu, urządzali chłopom zabawy, troszczyli się o ich dobrobyt i oświatę. Z tych ostatnich dworów nie pozostawiły „wypadki wojenne“ najczęściej kamienia na kamieniu.

Tak zwany patrjotyzm chłopa polskiego jest więc niczem innem, jak tylko grubym, prymitywnym, krótkowzrocznym materjalizmem, nienasyconą nigdy chciwością na cudze mienie, zwłaszcza na ziemię każdego zamożniejszego sąsiada, którą radby zagarnąć, nawet ponad możność jej zagospodarowania — choćby leżeć miała odłogiem. O resztę dba chłop niewiele, chociaż nieraz lubi udawać patrjotę, nawet inteligenta! Odgrywa czasem rolę tę tak znakomicie, że trudno się poznać na tem, iż to tylko komedja. Ale zawsze przytem przebija z jego oczu chytry błysk, mówiący: „Gadaj zdrów, a taki ziemia dla chłopa“! Bo kultura chłopa polskiego nie wzniosła się jeszcze na serjo ponad słynne niegdyś hasło rabunkowego egoizmu stanowego: Ziemia, lasy i pastwiska!

A demagogja w odrodzonej Polsce, budując (kosztem innych warstw) wspaniałe gmachy szkolne po wsiach i umieszczając w nich nauczycieli-agitatorów, jeszcze bar-

dziej chłopa w tych hasłach i pożądliwościach utwierdzała. Pomagały w tem rządy i urzędy i różne organizacje inteligenckie czy mieszane, pomagają dziś jeszcze wszystkie stronnictwa demokratyczne, a niekiedy nawet i bardziej płochliwe jednostki wśród ziemiaństwa oraz różni uczeni socjologowie, wpajając w twarde czaszki chłopskie przekonanie, że państwo i wszystko, co w niem jest, to jest przedewszystkiem dla chłopa; dla niego wszelakie przywileje, pomoc i ułatwienia i najszersze prawa polityczne w dodatku — a co do obowiązku względem ojczyzny, no, to tylko o ile chłop zechce, o ile raczy uznać za stosowne, nie krępujące w niczem jego prywatnego interesu.

W ten sposób rozwijał się u nas proces wychowania i uobywatelenia chłopa!

Daleko, zaiste, bardzo daleko jeszcze do tego, zanim chłop polski przekształci się w prawdziwego obywatela. W danych warunkach nie przekształci się chyba nigdy. Jednostronne przewracanie mu w głowie uprawnieniami politycznemi i przywilejami gospodarczymi nie podniesie chyba jego obywatelskiego poczucia. Rozzuchwali go tylko według przysłowia: Nie daj Boże z Iwana pana!

Powiedzieć nadto można — na podstawie kilkudziesięciu lat doświadczenia, — że należytego oświecenia, uobywatelenia chłopa i wydatniejszego podniesienia jego dobrobytu boją się, jak ognia, nasze kliki partyjno-demagogiczne. A boją się słusznie, chłop bowiem ucywilizowany, zamożny i zadowolony przestanie potrzebować narzucanej mu opieki radykalnych prowodyrów i kierować się zacznie własnym, zdrowym „chłopskim rozumem“. Demagogja, dotąd na chłopie żerująca, straci wtedy poprostu chleb, rację bytu, no i — mandaty. To jasne!

Dlatego też utrzymanie chłopa w ciemnocie i drapieżnej chciwości, a przez to w nienawiści do klas inteligenckich i w stanie ciągłego fermentu, jest walną zasadą naszej

sejmokracji, powiedzmy nawet szczerze: demokracji! *). Prawda, że przeprowadza się kmiotków i parobków przez wiece polityczne i obchody. Ale wiece na wsi, to z reguły buntowanie chłopa przeciw komuś — rządowi, dworowi, księdzu — połączone z płaskiem schlebianiem gorszym instynktom słuchaczy, zakończonem zwykle bezmyślnym postulatem „rządów robotniczo-włościańskich". Tłuszcza wyje brawo, ale na drugi dzień tak samo wyć będzie brawo na innym wiecu mówcom przeciwnego obozu. A co do obchodów patrjotyczno-ludowych, to sprytni lub naiwni aranżerowie pędzą pięknie czwórkami uszykowanych kmiotków przez ulice miast czy miasteczk, jak stado baranów, z furkotem chorągwi i przy dźwiękach raz „roty", to znów „czerwonego sztandaru", klepanych bezmyślnie przez sztucznie rozagitowane szeregi. Ale żadne stronnictwo nie chce podnieść chłopa na serjo na wyższy poziom samodzielnego patrjotycznego uświadomienia i kultury, aby nie stracić w nim posłusznego narzędzia.

Bo i cóżby poczęli nasi menerzy ludowi w rodzaju Dąbskich, Witosów, Kwapińskich, Thuguttów et Co., gdyby uświadomiony, ucywilizowany chłop polski zrozumiał nareszcie i chwycił w rękę na serjo swą rolę obywatelską w państwie? Możeby urządził to poprostu według racjonalnych, prostych prawideł „chłopskiego rozumu"! Gdyby się wówczas okazało, że talenta polityczne i publicystyczne tych panów są w gruncie rzeczy żadne, bo polegają tylko na wiecznem podburzaniu i demagogji? Gdyby

---

*) Twierdzenie to nie sprzeciwia się poprzedniemu o schlebianiu materjalnym apetytom chłopa, gdyż partje demokratyczne z jednej strony budzą te apetyty hałaśliwą propagandą i pozornie postepowem, niemal wywrotowem ustawodawstwem, obliczonem niby na korzyść chłopów i innych „warstw pracujących", ale z drugiej strony konstruują to ustawodawstwo w zakresie politycznym, społecznym i gospodarczym w taki sposób, aby realne jego korzyści dla ludu, głoszone w tytułach ustaw, zgóry sparaliżować (reforma rolna, ciężary fiskalne, kasy chorych, polityka gospodarcza „konsumencka", bezmyślna ordynacja wyborcza i t. d.).

tak jeden z drugim stanął przed koniecznością twórczej, konstruktywnej pracy i okazał się w niej zerem?!

Wielkie więc i bardzo doniosłe pole działania otwiera się przed państwem i tymi wszystkimi, którzy zechcą i mogą brać udział w prawdziwie obywatelskiem wychowaniu chłopów. Ale wychowanie to nie może iść dotychczasową drogą. Nie wolno „poczciwego kmiotka“ w watę owijać i tłómaczyć mu, że Polska dla niego tylko jest stworzona. Nie wolno blagować mu, że „chłopek na zagrodzie (albo i bez zagrody) równy jest wojewodzie“! Już raz ktoś podobnie u nas prawił i wiadomo, na czem się skończyło: na zupełnem rozwydrzeniu i wypaczeniu owej warstwy, która za cenę świętego spokoju i grubych materjalnych korzyści wolała oddać kraj najeźdźcy, niż zerwać się w jego obronie. Nie powtarzajmy tego eksperymentu z chłopem, który w niczem nie różni się dzisiaj pod tym względem od dawnej szlachty! Wszak nie tak dawno kongres t. zw. Centrolewu, w którym liczebny prym wiodą stronnictwa włościańskie, pogroził w Krakowie państwu interwencją zagranicy, w imię czego? W gruncie rzeczy w imię materjalnych interesów chłopskich, w imię nienasyconej zachłanności chłopa, hamowanej nieco przez rządy obecne!

Nie potrzeba chyba komentarzy. Stało się to oczywiście za podszeptem socjalistów, którzy nie poraz pierwszy dali tu upust swym międzynarodowym, antypaństwowym tendencjom. Ale rzecz w tem, że najinteligentniejsze warstwy włościaństwa polskiego, reprezentowane na tym kongresie, podszeptu tego posłuchały!

Od stu lat wogóle, a od pięćdziesięciu w szczególności, prawi się naszemu kmiotkowi z całym rozmachem o jego korzyściach i przywilejach. Karmi się go nimi aż do rozdęcia. Możeby teraz zacząć go uczyć nieco obowiąków? Bo naprawdę pełnym obywatelem państwa jest tylko ten, kto nietylko swe prawa, ale i obowiązki rozumie i wykonuje. Bez tego pozostanie

zawsze obywatelem drugiej klasy, choćby się nawet chwilowo wzbogacił i uzyskał wszelkie wpływy polityczne. I na to żadne sukcesy wyborcze, ani wrzaski na kongresach, ani cały aparat demagogji nie pomogą!

Pierwsze i główne zadanie w akcji prawdziwego uobywatelenia chłopa polskiego przypada oczywiście rządowi. Chłop nasz zbyt prymitywnym jest jeszcze elementem, aby bez respektu przed autorytetem władzy, z własnego li tylko poczucia, zrozumiał swe obowiązki względem ogółu i opanował swój gruby, zachłanny materjalizm. Musi tu najpierw wkroczyć autorytet władzy. Chłopa nie poruszy się odezwą, apelem, ale tylko rozkazem, za którym chłop widzi żandarma. Smutne to, ubolewania godne, ale prawdziwe. Chłop musi nabyć przekonania, że państwo nie prosi go o to, czy owo, ale żąda i potrafi go zmusić. Pozatem można i trzeba robić możliwie najwięcej na korzyść chłopa, ale to jedno musi mu się wpoić na początku: respekt i strach przed władzą!

Bez spełnienia tego podstawowego warunku, wszelkie popieranie potrzeb chłopskich, kulturalnych czy materjalnych, jest naiwną sielanką, która mści się srodze przy pierwszej sposobności.

A jakże nasze rządy, nie mówiąc już o sejmokracji, która byłaby rozprzęgła i zniszczyła Polskę doszczętnie w razie dalszych siedmiu lat trwania swej demagogji i anarchji, brały się do niedawna do „wzmocnienia autorytetu władzy“? Niechże jeden drastyczny przykład służy za wiele innych.

Podbuntowane przez jakiegoś radykała chłopstwo w Chodorowie (Małopolska) zburzyło śluzę stawu, zasilającego tamtejszą wielką cukrownię. Nadjeżdża starosta w asystencji kilku policjantów, aby „zrobić porządek“. Na jego przyjęcie ustawiają się baby wiejskie szpalerem, tyłem do drogi i, podniósłszy spódnice, dają w ten oryginalny sposób wyraz poszanowania przedstawiciela władzy! Sta-

rosta, podobno zresztą dzielny urzędnik, ale skrępowany nakazami „utrzymania dobrego stosunku z ludnością“, nie śmiał inaczej zareagować na tak wybitny objaw poczucia obywatelskiego ze strony chodorowskich kumoszek, jak tylko wysłaniem raportu do wojewody. Wojewoda też nie śmiał wydać decyzji, ale odniósł się do Warszawy, gdzie sprawa — wsiąkła w akta.

Zasada demokratyczna uświęciła w ten sposób swój tryumf, autorytet władzy podniósł się niezmiernie, a dzieło „państwowego wychowania ludu“ zostało w danym powiecie ukoronowane tak osobliwym sukcesem!! Bo z całą pewnością każdy z chłopów chodorowskich będzie miał teraz niezmiernie wysokie pojęcie o polskiej władzy — po takim jej przejawie! Pomyśli sobie, że jednak za „cesarza austrjackiego było inaczej“. I waluta silnie stała i żandarm i starosta i był — porządek. A dzisiaj pod warszawskim rządem (sic!) chłopu, a nawet babie, wszystko wolno — wszystko! Wprawdzie sejmy rozpędzają, ale na prowincji można brykać i lada agitator więcej znaczy od starosty i wojewody! *).

Dzisiaj każdy chłop przyzwyczaił się do tego, że w Warszawie i w województwie i w wielu starostwach każdy jego apetyt uważają za „wolę ludu“, której wprost sprzeciwić się nie wolno pod groźbą „gniewu“ tegoż ludu. Dlatego wszyscy łamią tam sobie — w jego pojęciu — głowę tylko nad tem, jakby mu jeszcze więcej dogodzić, jakby materjalne jego pożądania zaspokoić, bo przecież folwark, czy obora chłopska to — Ojczyzna! I nie zawsze myli się chytrze kalkulujący kmiotek w tem przekonaniu.

Nikt zaś nie rozumie — czy nie chce wyznać — tego, że chłop, to „rekrut w dziele cywilizacji“, którego syste-

---

*) Może z energją przeprowadzona akcja pacyfikacyjna w Małopolsce Wschodniej zrobiła wreszcie odpowiednie wrażenie na chłopie ruskim, a przy tej sposobności i na polskim. Ale dotyczy to jednego tylko okręgu, a zresztą system rządzenia powinien być zasadniczo taki, żeby nie było potrzeby chwytać się gwałtownych środków „pacyfikacyjnych“.

matycznie i karnie ćwiczyć trzeba, aby stał się dobrym, uświadomionym obywatelem. W tem całe słowo zagadki rządzenia społeczeństwem, tak stosunkowo prymitywnem, jakiem jest jeszcze lud polski! Chłop polski niezmiernie cenną stanowi rezerwę sił narodowych, cenniejszą, niż to sobie wyobrażają nawet zapaleni demokraci, ale pod warunkiem, że rezerwa ta odpowiednio będzie szkolona i że będzie miała święty respekt przed „władzą“. Nie trzeba chłopu w ciasnej głowie przewracać, ale kształcić go przedewszystkiem w obywatelskich obowiązkach, w poszanowaniu prawa i władzy.

Niestety, demokracja myśli inaczej. A propaganda wyborcza różnych partji także inaczej. Nawet niektórzy konserwatyści są przekonani, że głaskaniem i ustawicznym kompromisem zrobi się z chłopa obywatela. Chcą czapką, papką i solą, w całem tego słowa znaczeniu, przerobić prostych „zjadaczy chleba“ w tych aniołów, co to przyszli przepowiadać Piastowi koronę.

I dlatego patrjotyzm chłopski jest w Polsce dotąd jeszcze legendą.

„Stańczyk“.

GŁOSY CZYTELNIKÓW.

Od p. prof. Wacława Moraczewskiego ze Lwowa otrzymaliśmy następujące uwagi, które tem chętniej zamieszczamy, że stanowią pewien bardzo typowy przejaw zapatrywań na ideologję zachowawczą, wzmocniony jeszcze powagą autora.

INICJATYWA.

Stronnictwo zachowawcze lubi nazywać się mózgiem narodu. Niezaprzeczenie, ze względu na zamożność, na wyższe, bądź co bądź, wykształcenie, na znajomość zagranicy — należy mu się ten tytuł, bo przecież prawie wszyscy zwolennicy tego stronnictwa należą do t. zw. inteligencji.

Z tego względu można się spodziewać, że stronnictwo zachowawcze stanie się kuźnią myśli państwowej, że wobec tego braku inicjatywy, jaki dzisiaj powszechnie panuje, inicjatywę tę podejmie, że stanie się rzecznikiem, — jeżeli nie wykonawcą — programu, który do uzdrowienia stosunków, do poprawy ustroju państwa ma się przyczynić. Pomagać mu w tem może właśnie ta jego wyżej wspomniana inteligencja i kultura, a nadto niezależność i odpowiednia bezinteresowność, która cechować winna warstwę najwyższej inteligencji, sądzącej i planującej sine ira et studio.

Plany te muszą oczywiście odnosić się zarówno do polityki wewnętrznej, jak zewnętrznej i ekonomicznej. Słowacki, w swym artykule o potrzebie idei, ostrzega przed ślepem naśladowaniem zagranicy i radzi szukać we własnej historji narodowej materjału dla dalszego programu.

Pogląd ten uledz musiał z biegiem czasu wielkim zmianom. Zżycie się i porozumienie między narodami jest coraz większe, a różnice rasowe, mimo, że pozostały niemal bez zmiany, nie dotyczą ustroju i planu budowy. Są może raczej tylko zaznaczone w jej stylu i wykonaniu, ale zasadniczo nie zmieniają tego lub owego ustroju. Widzimy zresztą, że radzono się nieraz obcych specjalistów przy tworzeniu lub kontrolowaniu naszych urządzeń.

Wzorowanie się zatem na społeczeństwach, bardziej od naszego w postępie cywilizacyjnym zaawansowanych, nietylko nie byłoby szkodliwem, ale nawet pożądanem. Indywidualność zaś nasza wyrazić się może w całej pełni w nadaniu każdej sprawie lokalnego kolorytu, w wykonaniu szczegółów. Chodzi o to, aby całość najbardziej podobną była do tego, co nam historja innych narodów jako pożyteczne zaleca.

Tembardziej więc stronnictwo zachowawcze, dbając o zachowanie wypróbowanych historycznie metod rządzenia i naprawy stosunków, może czerpać z tych zagranicznych wzorów.

Jeżeli ustrój ekonomiczny państwa musi uledz pożądanym zmianom, to od stronnictwa zachowawczego powinna wyjść inicjatywa nie w kierunku poprawienia bytu jednej klasy, z upośledzeniem innej, na co skwapliwie czekaliby jego przeciwnicy, ale w kierunku słusznej a sprawiedliwej reformy. Sprawiedliwość ta jest przecież j e d n a dla inteligencji i rozumu i opierać się winna na bezstronnej krytyce tego, co było dotąd.

I tak ubezpieczenia społeczne, a zwłaszcza bliżej mi z praktyki znane kasy chorych, podlegają nietylko u nas, ale i w Niemczech, we Francji i t. d., gruntownej krytyce. Nie chodzi tu jednak wcale o ulżenie jednym, a pognębienie drugich, ale o usunięcie wadliwych urządzeń, a utrzymanie zdrowej zasady. Zależy tu, między innemi, na lepszem uposażeniu tych, którzy opieki potrzebują, a usunięciu tych

niezdarnych, a wielce kosztownych urządzeń, które żadnej stronie zadowolenia nie dają. I tak, wybór lekarza — że zatrzymam się przy kasach chorych — ma być dowolny, ale uposażenie jego powinno być tak wysokie, aby urzędnik, czy robotnik był w możności starannie się leczyć.

Reformy zagraniczne dążą właśnie w kierunku indywidualizacji i podniesienia skuteczności tych urządzeń, nie pomijając słusznych i wzmagających się potrzeb pracowników.

Podobnie w kierunku tej indywidualizacji powinnaby dążyć, w myśl rozumnych zasad zachowawczych, także i ochrona przemysłu przez państwo. Jeżeli wysokie cła importowe mają ochraniać niezdolne do życia lub nieumiejętnie prowadzone gałęzie produkcji krajowej, to z równą logiką możnaby żądać ceł wewnętrznych, chroniących np. ziemie poznańskie, produkujące przeciętnie czternaście cetnarów z morga, przed niektóremi ziemiami kresowemi na wschodzie, które produkują tylko 8 cetnarów. Rozumna polityka dążyć powinna do dostarczenia za możliwie niską cenę środków spożywczych, czy odzieży, licząc się z tem, że nie wydany na drogi chleb pieniądz pójdzie, a w każdym razie pójść może, na zakupno innych produktów i siłę kupna społeczeństwa w ten sposób pomnoży. Przytem stały wysiłek winien zdążać do podniesienia wydajności pracy, ułatwienia zbytu i obniżenia kosztów przewozu.

Dążenia tak zwanego mózgu narodów muszą odnosić się także i do polityki wewnętrznej i tu z uznaniem podnieść należy, że praca zachowawcza najracjonalniej dotąd tę sprawę traktowała. Współżycie narodów jest przecież koniecznością ogólną. Słusznie ktoś zauważył, że niema jednolitego państwa w Europie, że np. południe Francji jest inne, niż północ, że we Włoszech, w Anglji, a szczególnie w Szwajcarji żyją różne plemiona, różnymi mówiące językami, a mimo to żadnej wzajemnej niechęci sobie nie okazują. Żadne z nich nie jest upośledzonem, żadnemu nie jest

zamknięta droga do najwyższych urzędów, żadne nie uzurpuje sobie prawa przewodzenia nad innemi. Takie poszanowanie praw i kultury innych narodowości leżeć winno w programie tych, którzy mózgiem narodu się mienią.

I stąd wypływa także program polityki zewnętrznej, która wymaga tej samej tolerancji, sprawiedliwości i niezachwianej prawości. Na szczęście nasza dotychczasowa polityka zewnętrzna odpowiada tym warunkom i byłoby napewno gorzej, gdyby nasze uczucia, nasze nastroje wewnętrzne nie miały się z nią solidaryzować. Hałaśliwe, agresywne zachowanie się prasy brukowej względem naszych sąsiadów powinno być przez inteligencję narodu najsurowiej potępione. Jeżeli wyrażać się będziemy z szacunkiem o ludziach, którzy posiadają tę samą, jak my, kulturę, to temsamem oddamy cześć kulturze i cywilizacji. Sądzić o jakimś narodzie z postępków drobnej a krzykliwej jego części byłoby równie błędem, jak dopuszczenie opinji, że ohydne i barbarzyńskie sposoby pacyfikacji są wyrazem woli naszego narodu. Przecież większość naszego społeczeństwa otrząsa się przed tymi sposobami.

Wybujałość szowinizmu i nacjonalizmu po wojnie jest takim samym wyrazem zdziczenia i cofnięcia się cywilizacji, jak objawy chciwości i samolubstwa, które obecnie całą niemal ludzkość ogarnęły. Kto ostał się w powodzi tych słabości ludzkich i zachował godność człowieczeństwa? Jedynie ludzie o wysokiej inteligencji. W programie więc i naszej także inteligencji powinna leżeć pacyfikacja Europy.

A pacyfikacja ta, to nie jest sabotaż wojny, ale usunięcie raz na zawsze zbrojnego załatwiania nieporozumień. Do czegóż np. dąży to porozumienie agrarne ośmiu państw, które przyjęte zostało z taką sympatją, jako stworzenie zawiązku porozumienia wszecheuropejskiego? Do czego dążą wysiłki wszystkich najlepszych ludzi w narodach, jak nie do coraz większego harmonizowania i zespalania interesów ogółu! Sprzeciwiają się im tylko ci, którzy dla samolubnych, na krótką metę obliczonych interesów, obawia-

ją się porozumienia, choć mu w zasadzie nawet nie są przeciwni.

Ludzkość czeka w swych dążeniach zawsze na swego prawodawcę. Można każdej chwili zapanować nad tłumem, który był i będzie zawsze mniej więcej biernem narzędziem w ręku rozumniejszego lub brutalniejszego. Inicjatywę uchwycić zawsze można, zwlekają z nią ci tylko, którzy „vincere sciunt, victoriae uti nesciunt".

Ale czy ma być to tylko inicjatywa, obliczona na poklask tłumów, ograniczająca się do haseł popularnych? Czyż nie godniejszą jest mózgu społeczeństwa ta, która w przyszłości ma ludzkość uszczęśliwić, albo przynajmniej los jej poprawić, choćby na razie nielicznych tylko miała zwolenników?

Jeżeli stronnictwo zachowawcze jest istotnie mózgiem narodu, skupieniem inteligencji, to napewno nie sięgnie po łatwy tryumf haseł popularnych i demagogicznych. Nie zechce też zapewne ograniczyć się do zabezpieczenia sobie własnych wpływów i korzyści, ale zapragnie lauru, który nigdy nie więdnie i który zdobi czoła tych, co „nad sąd ludzi i spraw ich zawiłość przenieśli własną nienawiść lub miłość".

Prof. Dr. Wacław Moraczewski.

Niejeden z naszych czytelników, dostatecznie zorjentowanych w sytuacji politycznej kraju i w zmaganiach różnych naszych rodzimych światopoglądów, ździwi się może z zamieszczenia w naszem wydawnictwie artykułu, propagującego różne kwestje, które w programie i mentalności zachowawczej oddawna — conajmniej od szeregu lat dziesiątków — są już uzgodnione i niejako same przez się zro-

zumiałe. Ale właśnie dlatego zamieszczamy taki artykuł, nadesłany z tak poważnej strony, żeby przedstawić dowód, jak dzisiaj jeszcze zapatrują się na konserwatyzm nawet jego wyraźni sympatycy, do których Szanowny Pan Profesor Moraczewski niewątpliwie należy.

Poucza się nas o podstawowych zasadach społecznych i humanitarnych tak, jakgdybyśmy byli istotnie przeżytkami i wstecznikami z czasów ustroju stanowego czy feudalnego. Jeżeli tak myślą o nas poważni, wysoce wykształceni zwolennicy idei zachowawczej, to czyż dziwić się można podobnym zarzutom ze strony socjalistów czy innych demagogów?!

Wysuwa szanowny autor np. tezę, że w programie konserwatywnym powinna leżeć „sprawiedliwość dla wszystkich", nie zaś jednostronne poprawienie bytu jednej klasy społecznej (oczywiście ziemian i przemysłowców) z upośledzeniem innych.

Gdzież to szanowny autor zauważył w naszej polityce podobne klasowe instynkta lub twierdzenia? Może takie rzeczy wysuwać chyba tylko ktoś, nie znający całej naszej działalności i literatury z ostatnich kilkudziesięciu lat, a zwłaszcza z okresu odrodzonej Polski i przedstawiający sobie nowoczesnego konserwatystę w postaci szlachcica z czasów pańszczyźnianych, naganiającego niewolników do pracy harapem. Sprawa nie wymaga chyba nawet wyjaśnienia, skoro żyjemy już w drugiej ćwierci XX-go wieku. Przecież dzisiaj sprawa ma się odwrotnie. Ludzkość cierpi niewątpliwie na zbyt szybki przerost urządzeń radykalno-demokratycznych i rządy wszystkich niemal państw cywilizowanych — nie wyłączając Polski — łamią sobie głowę nad odpowiedniem, rozumnem zmodyfikowaniem zbyt daleko posuniętej demagogji społecznej, a „klasy posiadające" giną materjalnie pod ciężarem nadmiernego, bezkrytycznego demokratyzmu.

Podobnie nie śni się nawet nikomu z nas o usuwaniu

różnych dobroczynnych, humanitarnych urządzeń nowoczesnych. Chodzi oczywiście tylko o to, aby postępowe te urządzenia nie były narzędziem do materjalnej ruiny dorobku zarówno pracy, jak i kapitału, narzędziem do proletaryzacji całego społeczeństwa, no i źródłem funduszów wyborczych różnych partji, które żerują zarówno na pracodawcy, jak i na robotniku. Żądamy gruntownej racjonalizacji tych wszystkich urządzeń, nie zaś ich zniesienia, a zarazem stanowczo protestujemy przeciwko narzucaniu konserwatyzmowi roli „wroga ludu i postępu". Jesteśmy tylko zdecydowanymi przeciwnikami wszelkiej tromtadracji społecznej i robienia ludowi obietnic, rujnujących warsztaty pracy, deprawujących robotnika, a niewykonalnych na serjo wobec — braku pieniędzy!

Nie możemy natomiast zgodzić się z szanownym autorem w teorji „taniego chleba". Popularne bowiem to hasło, nadużywane powszechnie przez partje radykalne, jest istotnie tylko teorją. Wszak w imię tego hasła niszczy się od lat dwunastu planowo i systematycznie wszelkie warsztaty pracy przemysłowe i rolne, obniżając ich dochodowość — jak szanownemu autorowi z pewnością wiadomo — znacznie poniżej jakiejkolwiek opłacalności, stawiając rolnictwo nasze obecne już w obliczu zupełnej ruiny, wytrącając przez to samo i robotnikom pracę i zarobek z ręki — a nie dając im nic wzamian, Bo cóż pomoże robotnikowi, praktycznie biorąc, zniżka ceny chleba o kilka groszy, której nawet w budżecie swym nie poczuje, wobec faktu bankructwa warsztatów pracy, wpędzającego przedewszystkiem robotnika w bezrobocie i nędzę. Nie o to chodzi, czy kilo chleba kosztuje o parę groszy mniej lub więcej, ale o to, żeby go robotnik wogóle był w stanie zakupić. A jakże będzie w stanie, gdy bankrutujące warsztaty pracy coraz mniej dawać mu będą zarobku, a w końcu staną z wyczerpania?

Do wzmożenia siły kupczej ludności trzeba w pierwszym rzędzie oczywiście pieniędzy, bo nie znamy jeszcze

innego sposobu. Trzeba więc przedewszystkiem dać zarobić kapitałowi, aby mógł sprawiedliwie wynagradzać pracę. Niszcząc zaś kapitał takimi teorjami, jak np. bezwzględny postulat taniego chleba, nietylko nie wzmaga się siły kupczej mas ludowych, ale przeciwnie, podcina się im egzystencję. Gdy praca dobrze opłaca, to drobne różnice cen artykułów pierwszej potrzeby nie mają dla nabywców tych artykułów większego znaczenia. A dla pustej kieszeni najniższa nawet cena tych artykułów będzie zawsze jeszcze niedosiężną!

Ale dopóki płace robotnicze, np. w rolnictwie, regulowane są na podstawie fikcyjnej ceny żyta 40 zł., a warsztaty rolne pracują z grubym deficytem przy rzeczywistej cenie przeszło o połowę niższej, redukując się i bankrutując, to jak tu można marzyć i mówić o teorji „taniego chleba"!

Zalecana przez autora tolerancja narodowościowa należy również do tych kardynalnych warunków racjonalnego rządzeni państwem, które dla nas, konserwatystów, są same przez się zrozumiałe. Naszem dążeniem było i jest zawsze zgodne współżycie wszystkich narodowości i wyznań w państwie. Nie potrzeba nam tego mówić. P o k ó j s p o ł e c z n y, r e l i g i j n y i p o l i t y c z n y j e s t p r z e c i e ż f u n d a m e n t a l n ą p o d s t a w ą p r o g r a m u k o n s e r w a t y w n e g o. Ale pokojowość i najszersza nawet tolerancja nie powinny być w praktyce równoznaczne ze słabością, która obniża autorytet państwa, a rozzuchwala wszelakie elementy buntu czy wywrotu. Nie możemy więc propagować zasady, że wzamian za agitację antypaństwową lub akty sabotażu i gwałtu należy „nagradzać" buntowników wszelkiemi możliwemi ustępstwami, aby tą metodą ułagodzić ich i pozyskać dla państwa. Byłaby to metoda nawskroś błędna i przekonałaby tylko naszych wewnętrznych i zewnętrznych nieprzyjaciół o słabości państwa. Bezwzględnie stosować trzeba

zasadę, że gwałtem i szantażem nikt od rządu polskiego żadnych ustępstw dla siebie nie wymusi.

Nie dopuściłoby do tego zresztą żadne cywilizowane, dobrze zorganizowane państwo na świecie. Przytoczenie przez autora różnic szczepowych między Francją północną a południową jest błędne. Jeżeli jaki kraj bowiem nie uznaje u siebie różnic narodowościowych, to właśnie Francja. Prawo francuskie mianuje każdego, bez różnicy rasy i narodowości, kto nabył francuskie obywatelstwo, poprostu Francuzem — bez żadnych różnic i zastrzeżeń. Polska jest pod tym względem bez porównania bardziej tolerancyjną, gdyż uznaje w swych granicach odrębną narodowość niemiecką, ukraińską, a nawet żydowską. Ale podstawowym warunkiem ich całkowitego równouprawnienia, a raczej równego traktowania z rdzennie polskimi obywatelami, musi być zupełna lojalność tych narodowości względem państwa i narodu polskiego — bez zastrzeżeń.

Proszę mi wymienić choć jedno państwo w Europie, które zniosłoby przez lat blisko dwanaście takie zbrodnicze wichrzenia i gwałty pewnej mniejszości narodowej, jakie znosiła do niedawna Polska od Ukraińców, przystępując do słusznej i sprawiedliwej pacyfikacji dopiero wobec masowych zamachów i masowo organizowanych podpaleń! Nie znajdzie się ani jedno! A czyż np. naprawdę uciskani w Niemczech Polacy, domagając się założenia gdzieś szkoły polskiej, mają zaczynać od podpalań niemieckich folwarków?! Bo jeżeli propaguje się bezkarność ukraińskich podpalaczy w Polsce, to conajmniej z równą logiką należałoby poddawać ten sam system mniejszościom polskim zagranicą. Dochodzimy do absurdu!

Tak samo pragnienie jak najlepszych stosunków ze wszystkimi sąsiadami Polski jest jedną z integralnych zasad polityki konserwatywnej. Ale i tu musimy żądać wzajemności, aby nie narazić państwa naszego na zarzut słabości. Nie wolno być naiwnym, czy idealistą na terenie międzynarodowym. Niepodobna odpowiadać systemem

ciągłych ustępstw i ukłonów na prowokacje wrogów zewnętrznych i wyraźne ich machinacje na naszą zgubę. Dlatego nie bardzo rozumiemy napomnienia szanownego autora, że „hałaśliwe, agresywne zachowanie się naszej prasy brukowej względem naszych sąsiadów powinno być przez inteligencję narodu najsurowiej potępione". Jakież to agresywne zachowanie się z polskiej strony ma na myśli p. prof. Moraczewski? Czyż np. na bezczelną mowę Treviranusa i niezliczone inne prowokacje niemieckie, nie mówiąc już o oficjalnie niemal głoszonych ich zaborczych apetytach na Wielkopolskę i Pomorze, mamy milczeć? Czyż każde odparcie z oburzeniem podobnych zakusów przez prasę polską może być nazywane „hałaśliwem" lub „agresywnem"?

Polityka nie jest poezją i nie znosi nadmiaru altruizmu. Cóż z tego, że, jak tego pragnie autor, „wyrażać się będziemy z szacunkiem o Niemcach" lub „oddawać będziemy cześć ich kulturze i cywilizacji", której zresztą nikt z nas nie neguje? Czy przez to Prusak, w jakimś szlachetnym porywie, przestanie pożądać Wielkopolski i Pomorza? Zdaje mi się, że postąpi wprost przeciwnie, bo go taki nasz idealizm jeszcze bardziej rozzuchwali!

Z tego wszystkiego jeden tylko smutny, a wielce symptomatyczny wyciągnąć możemy wniosek: że mianowicie długoletnia niewola tak już osłabiła wolę i poczucie siły państwowej w niektórych, nawet wysoce inteligentnych sferach naszego społeczeństwa i tak panicznym strachem napełniła je wobec każdego objawu cudzej agresywności, że nietylko korzyć się chcą przed każdym, który im pięść pokaże, ale nawet „ohydą i barbarzyństwem" nazywają każdy akt niezbędnej samoobrony państwowej czy narodowej!

A wreszcie, co do wezwania szanownego autora, aby konserwatyści w pracy swej politycznej nie wahali się narazić na niepopularność, to już naprawdę nie wiemy, co odpowiedzieć. Bo kto, jak kto, ale konserwatyści polscy, a zwłaszcza Stronnictwo Prawicy Narodowej, nie gonili chyba nigdy za popularnością! Przecież staliśmy i stoimy

jeszcze po dziś dzień z naszem zdecydowanem zdaniem przeciw zmiennej, jak wiatr, opinji, oportunizmowi i porywom szerokich sfer społeczeństwa. Nie wahamy się też i w „Naszej Przyszłości“ mówić prawdy przedewszystkiem naszym własnym wyznawcom, nie oglądając się wcale na to, czy przez to prenumerata pisma nie poniesie uszczerbku. Ale właśnie dlatego zwalczać będziemy zarówno szowinizm, jak i miękki altruizm w polityce!

Redakcja.

KRONIKA.

O WYCHOWANIE ELITY MŁODZIEŻY.

Na łamach poważnej prasy francuskiej toczy się oddawna polemika na temat t. zw. „surmenage scolaire“, czyli przeciążenia rzekomego młodzieży w szkołach średnich i wskutek tego wadliwego jej przygotowania do szkół wyższych, na co ustawicznie się uskarżają profesorowie tych uczelni. M. in. pojawiły się na łamach „Revue des deux mondes“ ciekawe wywody znanej działaczki oświatowej, starające się nawet skonkretyzować pewne maksymalne, względnie minimalne wymagania pedagogiczne i higjeniczne, jej zdaniem konieczne dla ustalenia pojętności naukowej i zabezpieczenia rozwoju fizycznego młodzieży. Obecnie członek królewsko-belgijskiej akademji języków i literatury Francji, profesor p. George Rency, wygłosił na posiedzeniu akademji obszerny referat, poświęcony właśnie temu zagadnieniu.

Zdaniem jego „przeciążenie“, na które skarżą się w szkołach na wszystkich stopniach nauczania, ma główną swoją przyczynę w przesadnych programach. „Uczniowie, wychodząc ze szkół powszechnych, przeładowanych już niepotrzebnemi zgoła lekcjami, z niewystarczającą znajomością języka francuskiego, nie znajdują już czasu w wychowaniu średniem na zapełnienie tej fatalnej luki. Ich wypracowania stylistyczne są nadto lekceważone, zwłaszcza w klasach wyższych. Lektura zaś domowa jest niewystarczająca i pozbawiona metody. Można zapewnić, że z braku czasu większość naszych retoryków opuszcza „Ateneum“ lub inny zakład średni, nie przeczytawszy wielkich dzieł klasyków i wartościowych autorów nowoczesnych.

Sytuacja ta, która się pogarsza z dniem każdym, poważnie zagraża interesom, do których obrony jesteśmy powołani". Akademja uchwaliła jednogłośnie, w myśl wywodów uczonego krytyka, rezolucję, zalecającą skrócenie lekcji i reorganizację nauczania, mającą na celu umożliwienie uczniom lektury i inicjatywy osobistej. Nie waha się ona wyrazić się następującemi słowy:

„Akademja pozwala sobie przedstawić panu ministrowi nauk i sztuk, że przeładowanie programów nauczania średniego i stałe cofanie się lekcji literatury przed lekcjami nauk (ścisłych) utrudniają rozwój kultury powszechnej, a szczególnie kultury literackiej naszego kraju".

Rezolucja ta wywołała zachwyt w poważnej prasie francuskiej, oddawna ubolewającej nad analogicznemi wadami nauczania w szkołach francuskich. „We Francji — jak pisze „Le Temps" — wymagania nauk ścisłych sprzeciwiają się kulturze klasycznej". Udało się coprawda p. Victor Berard, prezesowi komisji dla badania przeciążenia szkolnego, przeforsować pewne nieznaczne obcięcia programów szkolnych. P. Pierre Marraud wydał nawet nowy projekt rozkładu zajęć szkolnych, uważając go za maksymalny. Nie ulega jednak już wątpliwości, że naczelna rada szkolna francuska uzna go za minimalny i jako taki potraktuje. Chodzą nawet wieści, jakoby zapowiadało się dalsze jeszcze obciążenie programów szkolnych, w celu zadowolenia wymagań specjalistów w poszczególnych dziedzinach naukowych. Wszystko bowiem odbywa się nie drogą jasnego ustalania zasadniczych wytycznych nauczania oraz dostosowywania do nich i do rozporządzalnego czasu rozmiarów poszczególnych lekcji, lecz przez kompromisowe uzgadnianie żądań rzeczonych specjalistów, wyobrażających sobie możliwość naprawdę równomiernego uniwersalnego kształcenia w szkole średniej.

Zamiast dążyć do rozbijania szkoły średniej na szereg szkół fachowych, przedewszystkiem zaś do zasadniczego podziału tej szkoły na „realną", z uprzywilejowaniem nauk

ścisłych i klasyczną, z pierwszeństwem dla literatury i historji, zależnie od zdolności uczniów, nowoczesna doktryna demokratyczna i utylitarna, właściwa masonerji, tak wszechpotężnej, jak wiadomo, we Francji, upiera się przy école unique, przy monopolu nauczania państwa, przy niwelacyjnych tendencjach w dziedzinie edukacji. Doktrynerzy nie chcą za nic, jak skarży się „Le Temps", nawrócić do tradycyjnych podstaw kultury francuskiej, na których w dziewiętnastym wieku wyrośli uczeni tej miary, co Claude Bernard, Paul Bert, Pasteur, Henri Poincaré, Paul Appell, Emil Picard, Paul Painlevé „i tylu innych"! Upierają się, wbrew wszelkiemu doświadczeniu i wszelkiej oczywistości, przy zaprzeczaniu nauce humanistycznej roli najlepszego środka do kształcenia umysłów aż do wieku, w którym nastąpić musi specjalizacja najlepszego przygotowania również właśnie i do nauk ścisłych.

Zwolennicy klasycyzmu we Francji dalecy są oczywiście od wszelkiej animozji do nauk ścisłych. Niemniej wskazują oni ze wzrastającym niepokojem na coraz to większe postponowanie nauczania klasycznego na rzecz rozszerzenia programów ścisłych. Zmniejszenie ilości godzin nauk klasycznych na korzyść ścisłych, bez zmniejszenia objętości programu, utrudnia tylko uczniom pracę, gdyż muszą wchłaniać w siebie daleko więcej przedmiotów w daleko krótszym czasie. Uczeń więc obecnie musi, bez względu na swoją specjalizację, zdawać egzamin tak, aby był równomiernie przysposobiony do nauk technicznych, filozoficznych, prawnych czy ścisłych, co oczywiście jest niepodobieństwem. Trzeba być wprost niezwykle uzdolnionym i zamiłowanym do nauk klasycznych, by w takich warunkach wytrzymać w gimnazjum klasycznem, pomimo przeciążenia go naukami ścisłemi, zamiast uciekać odrazu do jednolitego typu szkół państwowych. Greka już została z tych szkół wyeliminowana, demokracja rządząca czeka zaś tylko na właściwą chwilę dla pozbycia się również łaciny. Gdy to nastąpi, „école unique" dopnie swojego celu.

„Demagogja — pisze „Temps“ — kończąc swoje dzieło, znajdzie środek równomierny zaoszczędzenia elicie przeciążenia — kasując poprostu ową elitę“!

Budząca się we Francji coraz silniejsza reakcja przeciwko absurdom demagogji w dziedzinie szkolnej winna i u nas zachęcić do walki z analogicznemi zupełnie stosunkami. Są one dla każdego miłośnika humanizmu i zwolennika dobrych tradycji wychowawczych, dbałego o ciągłe zapewnienie młodego narybku elicie umysłowej społeczeństwa, wręcz opłakane. Słyszymy wciąż narzekania na przeciążenie pracą młodzieży i na rzekomą nieudolność ciała nauczycielskiego, niepodobna jednak zorjentować się należycie, w czem właściwa przyczyna. Jedno jest pewne: dzisiejsza młodzież daleko mniej od nas, starszego pokolenia, kształci się w klasycyźmie. Nauki humanistyczne są lekceważone na korzyść ścisłych, tak jednak, że przygotowanie do nauk uniwersyteckich szwankuje, nie dając wzamian „elity technicznej“ politechnikom i wyższym szkołom gospodarczym. Literatura grecka, kolebka całej naszej kultury literackiej, została całkowicie pominięta, młodzież uczy się conajwyżej jej naśladownictw łacińskich, historja nowoczesna prawie że nie istnieje. Młodzież wchodzi do życia uniwersyteckiego i obywatelskiego, wiedząc coś nie coś o Napoleonie i nie orjentując się zupełnie w bezpośrednich przyczynach dzisiejszych zagadnień politycznych, społecznych i gospodarczych, wytworzonych wojną światową i dziejami, bezpośrednio ją poprzedzającemi. Tak samo, jak i we Francji, widzimy tendencję do zniwelowania poziomu wykształcenia średniego, gwoli dogodzenia mniej zdolnym, z największą szkodą dla kandydatów do etlity umysłowej. W dodatku ustawiczna zmiana podręczników, fatalny niekiedy ich dobór oraz doktrynerskie poglądy wielu nauczycieli, skorszych raczej do eksperymentów popisowych, aniżeli do prawdziwej nauki, wreszcie zadania zupełnie niepotrzebnych, w znaczeniu ogólnokształcącem, lekcji oraz specjalne forytowa-

nie wychowania fizycznego, niesłychanie podrywają osiągalność zasadniczych celów szkoły średniej.

Nie będąc fachowymi pedagogami, możemy jednak zauważyć, że daleko lepiej od eksperymentów i doktryn byłoby, gdyby miarodajne czynniki wychowawcze zechciały cokolwiek rozglądać się we wzorach i przykładach, które dawno jeszcze przed wojną światową zdołały znakomicie rozwiązać zagadnienie wytworzenia młodej elity umysłowej, zdrowej na ciele i na duchu, zdolnej do poświęcenia się wszelkim naukom wyższym, z zapewnionem pierwszeństwem przed współzawodnikami o mniej doskonałym rozwoju zdolności umysłowych, względnie o średniej wiedzy powszechnej. Przykładów takich jest zapewne bardzo dużo. Może jednak najbardziej znanym w Polsce, ze względu na wielką ilość uczęszczających ongiś do tego zakładu uczniów Polaków, winien być przykład Akademji Terezjańskiej w Wiedniu. Za czasów monarchji austro-węgierskiej jej program wykształcenia średniego przewidywał obowiązkowo wszystkie przedmioty dawnego klasycznego gimnazjum, a więc grekę i łacinę, conajmniej dwa języki żywe, a więc francuski, angielski lub którykolwiek z t. zw. „krajowych“, rysunki, gimnastykę, szermierkę, konną jazdę, tańce, ogrodnictwo, roboty ręczne (rzeźbę, stolarstwo i t. p.), szereg gier sportowych (z meczami), pływanie, musztrę wojskową i t. p., oraz fakultatywnie inne języki, muzykę, śpiew i t. d. Dzięki idealnemu rozkładowi godzin na wszystko był czas, dzięki zaś znakomitej opiece sanitarnej i posiadaniu dużego ogrodu z placami ćwiczeń, zdrowotność i wyrobienie fizyczne stały na poziomie całkowicie „angielskim“. Nikt nigdy nie narzekał na brak czasu lub przeciążenia. Oczywiście mniej zdolni lub nie nadający się do wychowania klasycznego zawczasu byli eliminowani, przechodząc — bez żadnej pretensji z niczyjej strony — do bardziej odpowiadających ich właściwościom zakładów. Można być przecież znakomitym fachowcem, nie mając jednak pretensji należenia do elity, od której musimy doma-

gać się pewnej powszechnej wiedzy i mniej więcej wszechstronnego uzdolnienia.

Uważamy zatem, że Polska musi podjąć energiczny i racjonalny wysiłek o zapewnienie wyrobienia sobie elity z pośród odpowiednio kwalifikowanej młodzieży. *Dlatego musimy wydać walkę bez pardonu niwelacyjnym tendencjom demokracji w szkolnictwie.* Niech będzie jak najwięcej szkół fachowych, im więcej, tem lepiej. Niech każdy zawód współzawodniczy w wychowywaniu sobie odpowiedniego, wyspecjalizowanego narybku. Niech jednak ci, którzy za młodu zdradzają zdolności i skłonności do osiągania wyższego poziomu średniego wykształcenia, zachowają możność i prawo do osiągnięcia takiego poziomu. Nic gorszego, jak stopniowe degradowanie klasycznego, humanistycznego gimnazjum do roli jedynej szkoły średniej, pozbawionej charakteru wytwórni elity i przeznaczonej do masowej fabrykacji półinteligencji, niezdolnej ani do nauk wyższych, ani do fachowego poświęcania się poszczególnym zawodom. Demokracja, jak w tylu innych już dziedzinach, bankrutuje i w swojej koncepcji egalitaryzmu wychowawczego. Najwyższy czas, byśmy się i z tego przesądu XX-go wieku wyleczyli i uznali odwieczną prawdę: że niemasz równości pomiędzy ludźmi, skoro Stwórca — pomijając już warunki materjalne — djametralnie różne nadał im zdolności umysłowe.
